

Śląska Biblioteka Publiczna

71776

II

H.

WYD. J. J. J. J. J.

ZŁAT NADZIEI I WALKI

1861—1864.



WYDAWCA
KRAJOWA KASINA
WARSZAWA

BOLESŁAW I JÓZEFA ANC.

Z LAT NADZIEI I WALKI

1861 — 1864.

»HISTORIA JEST MISTRZYNIA ŻYCIA.«



BRODY 1907.
NAKŁADEM I DRYKIEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA.

2279
38

LPT 5c

71446

II

Stan. Lupa

Cena 5' -

Katowice 8.6.1938



Przedmowa.

„Historja jest mistrzynią życia“ słusznie twierdzili Rzymianie. Jej znajomość, przejęcie się i zrozumienie ducha dziejów narodu, podnieca i podtrzymuje przywiązanie do swojskości, ukochanie przeszłości i przyszłości swego narodu i rozumowo pogłębia uczucie miłości Ojczyzny.

Gruntowne poznanie przeszłości naszej, jest niezbędne, do kierowania nawaą przyszłości, aby o ile można, ustrzedz ją od wirów i raf podwodnych.

Pamiętny rok 1863 pomimo prób rozlicznych przedsiębranych w rozmaitych politycznych obozach, nie posiada dotychczas zupełnie bezstronnej a dokładnej swej historyi.— A kto wie, czy on ją kiedy posiadać będzie?

Natura wypadków w latach 1863. i 64. była tak niejednolita, iż niepodobna jest uporządkować ich w jeden system i należałoby raczej pisać dzieje tych lat, co najmniej oddzielnemi województwami, jeżeli nie powiatami a każdy oddział zbrojny miałby także swoją historyę.

Przytem znaczna liczba źródeł, dokumentów, pamiętników itd. znajduje się jeszcze ukrytą w rękopisach niewydanych, a więc niedostępnych dla oka krytycznego badacza.— A czasby było wydobyć te pośółkle papiery z pyłu zapomnienia.

Dziś kiedy z pod zgliszcz i popiołów nagromadzonych przez wrogów nad naszą rzekomo mogiłą, ogólny powiew swobody odkrywa coraz więcej odrodzone w ma-

sach ludowych zdrowe członki narodu, gdy z pod gór gruzów, spiętrzonych na piersiach tegoż narodu, odzywa się gromko głos: „żyję, żyć chcę i żyć będę!“ — dziś kiedy po 44. latach czas, śmierć i wypadki ostatnich dwóch lat pokryły rok 1863. wodą zapomnienia i całunem grobowym, my niedobitki ostatniej walki o niepodległość, nie powinniśmy wahać się, z przyłożeniem i naszej cegiełki, do ogólnego dzieła oświeślenia prawdy dziejowej, do zaprzeczenia nieraz faktami oszczerstwom, które tylokrotnie na ludzi i dzieła roku 1863 rzucono. Fisać prawdę i tylko prawdę, bez względu na gorycz, jakaby ona zawierać mogła, jest naszym obowiązkiem, a mądry dziejopis będzie umiał wysnuć prawdziwą nie dziejową wypadków, w których los pozwolił nam brać udział.

Myśl ta ciągle mi towarzyszyła, w tułaczem mem życiu, lecz troska i praca codzienna nie pozwoliły mi długo jej skutecznie.

Dopiero w roku 1898. gdy nadwyreżony stan wzroku zmusił mnie do bezczynności, próbowałem rzucić na papier, kilku szkiców z przeszłości, początkowo jako pamiątka dla moich dzieci — Parę takich szkiców w formie fejetonowej przyjęto i umieszczono w pismach naszych, a to mię zachęciło do dopełnienia ich, tak aby całość mojego piętnasto-miesięcznego udziału w powstaniu uwidocznioną była.

Przyjąłem powyższą formę, jako poczynniejszą i mniej od pamiętnikowej nużąca czytelnika. Staralem się zebrać najwybitniejsze momenta tak dodatnie, jak ujemne w których moja osoba zaangażowaną była, lub na które własnymi oczami patrzałem Staralem się być obiektywnym, występując raczej w roli widza i opowiadacza a nie uczestnika wypadków.

Los powstańczy przerzucił mię z Kujaw w Kra-

kowskie i Lubelskie.—O tych więc okolicach mówię tylko, starając się o dokładność, tak co do dat, jak i nazw ludzi i miejscowości, o ile stara pamięć mi dopisała. Imiennie oddaję cześć zasłudze, w przekonaniu, że czas i groby chronią już przeszłość od zemsty wroga.

Wiązanekę więc takich kilkunastu wspomnień przynoszę obecnie w ofierze moim współrodakom.

Pozornie są one luźne i oddzielne a jednak razem stanowią one jedną nierozdzieloną całość. Są one nawet różne co do formy i nastroju, lecz to jest wynikiem ich treści i usposobienia mego w chwili ich pisania, w przeciągu ośmioletniego peryodu.

Jest to niejako publiczna spowiedź moja z kilkunastu miesięcy mego życia. Spowiedź to szczerą, prawdziwą, tak jak te wrażenia radości, nadziei, bólu lub rozpacz, które w tym krótkim czasie przeżyłem, odczułem i przebolełem.

Jeżeli czasem w napisanych przezemnie zapamiętaniach o ludziach, zdarzeniach i datach, pomyliłem się, to napisałem to tylko w dobrej wierze i na zasadzie mego głębokiego przekonania.

Zresztą przedmiot mój nie jest wesoły, jak nie wesołe są przeszłe stuletnie dzieje nasze. O ile więc z radością podnoszę we wspomnieniach moich zasługę wobec narodu i nadludzkie poświęcenia jednostek, tak ze wstrętem i głębokim bólem serca widziałem się zmuszony opisywać niejako krwią i łzami fakta małoduszności, zdziczenia lub nawet zdrady narodu przez jego członków! Miłość jednak prawdy, nie pozwoliła mi zamilczyć o tej smutnej stronie, od której najszlachetniejsze wysiłki ludzkości nie są wolne. Bez tego opowiadanie moje byłoby jednostronnem, nieprawdziwem a więc minęłoby się z przeznaczeniem i celem jaki sobie założyłem.

*Pomiędzy wspomnieniami czysto osobistej natury pomieściłem jedno, a mianowicie: „**Łzawe wesele**“,*

w którem jedynie spełniam rolę opowiadacza. Działo się to jednak prawie przed memi oczyma a ogrom nieszczęścia i poświęcenia tak mię uderzył, że grzechemby było, aby fakta podobne nie przeszły do potomności.

W drugiej części książeczki pomieszczonych jest pięć „**Wspomnień z lat dzieciennych**” mej zacnej małżonki. Wypadki lat 1861. do 64. wryły się tak głęboko w serce i pamięć sześćco względnie dziesięcio-letniego dziewczęcia, (córkę męczennika narodowego przez lat czternaście w kazamatach Zamościa), że po przeszło 40. latach, dobrze dojrzała niewiasta bez potężnego wzruszenia i łzy w oku o nich mówić nie może. Wylała więc ona na papier swe wspomnienia w kilku ustępach, które podniosłością uczucia i formy na utrwalenie zasługują.

Zresztą serdeczna moja towarzyszka, nie tylko w życiu, ale i na tej książeczce obok mnie miejsce zająć winna. Jest ona bowiem prawie współautorką tak niniejszej pracy, jak i wszelkich moich dodatnich usiłowań, od lat kilkunastu. Jej to wytrwałemu współudziałowi w pracy okiem i piórem, zawdzięczam, iż obecne kartki mogę oddać do użytku naszego społeczeństwa!..

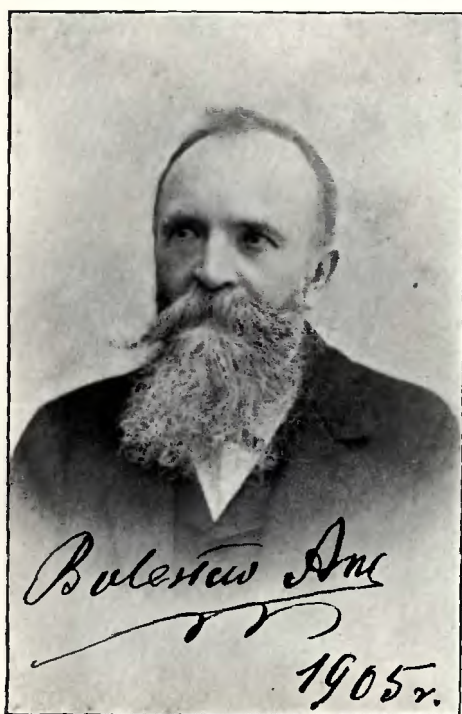
Puszczam więc je w świat, z tem gorącym pragnieniem, aby one oprócz chwilowej rozrywki, przyniosły pożytek i naukę młodszym naszym pokoleniom, aby one rzuciły choć promyk jasności i prawdy, na doniosłe wypadki tak szkalowanego powstania naszego, w którem los mi dał zaszczyt i szczęście, choć drobny i skromniutki brać udział.

Pisałem we Lwowie, w 116. rocznicę wiekopomnej Konstytucji 3-go Maja.

Bolesław Anc.



Sofia Aug 1904.

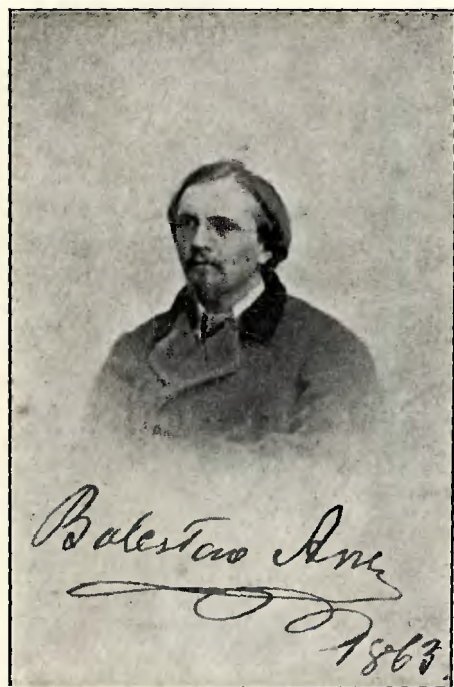


CZĘŚC I.

BOLESŁAW ANC.

ZE WSPOMNIEŃ POWSTAŃCA

1863 — 1864.



Balduino Anz
1863.

I.

Przeczcucie.

Powstanie styczniowe było — jak wiadomo — niespodzianką, nie tylko dla całego narodu, ale nawet i dla Komitetu Narodowego Centralnego, który się poczuł bezsilnym wobec wypadków, spowodowanych branką, tym piekielnym wymysłem duszy Zygmunta Wielopolskiego. Nic więc dziwnego, że należąc do organizacyi i mieszkając podówczas w Włocławku wraz z moim serdecznym druhem i kolegą Józefem Stępowskim, o mającym nastąpić wybuchu nic nie wiedzieliśmy. Nic o tem także nie wiedział i naczelnik miasta Włocławka, Zagórski, sybirak, zajmujący podówczas stanowisko, zawiadowcy, czyli jakby dzisiaj powiedziano naczelnika stacyi kolejowej. Dopiero dnia 23. stycznia przywiózł nam Władysław Sławiński wysłaniec Rządu Narodowego, pociągkiem kurierskim z Warszawy znany manifest, proklamujący ogólne powstanie przeciwko wrogowi.

Radość, przerażenie i osłupienie napępniały na przemian serca nasze, a poczciwy Józef, który przez dłuższe mieszkanie w Warszawie, obeznany był lepiej z tajnikami organizacyi, posmutniał gwałtownie, nie mogąc powstrzymać swych złowrogich przeczuć klęski. Ja miałem lepszą otuchę, gdyż dopiero od kilku miesięcy powróciłem z Petersburga do kraju i o organizacyi słabe a podniosłe miałem wyobrażenie.

Z tem wszystkiem obaj poczuwaliśmy się do obowiązku udania się na pole walki, lecz na Kujawach

o żadnym oddziale powstańczym słyhać nie było. Po naradzie więc z Zagórskim, stało na tem, iż powierzchownie nadal nasze obowiązki nauczycielskie pełnić będziemy, przy tamtejszem pięcioklasowem progimnazyum, a tymczasem całemi naszemi siłami wspierać będziemy tworzenie się nowych oddziałów w okolicy.

Tak więc codziennie prawie nocami, a to na przemian, wyjeżdżaliśmy ekstrapocztą, z depeszami nadchodzącymi z Warszawy, do okolicznych miejscowości a jeden z wtajemniczonych oficerów, Moskał rodem, w nocy zwykle, przychodził nas informować o ruchach Moskali.

Pierwszy oddział kujawski formować się począł w lasach pod Kowalem, pod dowództwem majora Ulatowskiego, byłego wojskowego z powstania 1831 r. Rwaliśmy się, aby tam pójść, lecz zacny Zagórski od tego nas wstrzymywał, zastaniając się rozkazami Rządu Narodowego, który polecał nam wstrzymać się, aż do zawiadomienia.

Nareszcie w nocy z dnia czwartego na piąty lutego, stawiał się u nas nieznany nam młodzieniec, z komunikatem władz organizacyjnych, iż mamy mu wskazać marszrutę do obozu, do którego sami udać się powinniśmy. Młodzieniec ten był to Juliusz Erlicki, lat około 21 liczący, były wychowaniec korpusu leśnego w Petersburgu, pełniący wówczas służbę w leśnictwie włościańskim, jako tak zwany podleśny biurowy. Był on wyekwipowany na wojnę, przywiózł bowiem z sobą stary pałasz żandarmski w blaszanej pochwie, dwa pistolety jednorurkowe i jedną kruciczkę dwururkową do dwunastu centymetrów długą. My z Józefem nic nie mieliśmy a wobec stanu wojennego i prawie nieznajomości miejscowych ludzi w Włocławku, gdzie ja zamieszkiwałem od 5 miesięcy a Józef

od dwóch zaledwie, zdobyć się mogliśmy na kupienie dwóch noży rzeźnickich w pochwach blaszanych, jako uzbrojenie a dwóch kozuszków krótkich, wieśniaczych i wysokich butów, jako wyekwipowanie.

Dzień następny nie wyjdzie nigdy z mej pamięci.

Dla niepoznaki nie przerwaliśmy dnia tego wykładów, tak w szkole, jak w pensyonatach nie zwierzając się nikomu a zostawiając tylko pisemne zlecenia, co do naszych osobistych interesów, sekretarzowi progimnazjum. Dopełnialiśmy o tyle, o ile było można nasze wyekwipowanie a wieczorem zamknęliśmy się we trzech w naszym mieszkaniu.

Było to na końcu miasta, przy ulicy prowadzącej do Kowala, w domu piwowara Bojańczyka, na poddaszu, gdzie zajmowaliśmy trzy pokoiki z kuchnią. Zasłoniwszy dobrze okienka poddasza, zajmowaliśmy się laniem kul do pistoletów i ostrzeniem pałasza i naszych noży za pomocą ręcznej osełki, jakoteż nabijaniem kruciczki loftkami a w tych wszystkich wojowniczych przygotowaniach Juliusz był naszym mistrzem; ja bowiem i Józef nie znaliśmy się zupełnie na rycerskiem rzemiośle.

Rozmowa rwała się i nie kleiła: każdy z nas skupiał się w sobie, oceniając ważność i stanowczość chwili.

Najpoważniejszym z nas był Józef, nie dlatego iż mając lat 24 był o dwa lata starszy odemnie, lecz z natury i z sierociej doli swojej. Ojciec jego był oficer z powstania listopadowego, jakoteż i matka, osierocili go w bardzo młodym wieku a opieka stryja także wojskowego i byłego emigranta, nie zawsze mogła dorównać rodzicielskiej, tembardziej, że stryjenka, Francuzka, nie odznaczała się podobno łagodnością charakteru. Po skończeniu gimnazjum w Lublinie spo-

tkaliśmy się w 1857 r. w Petersburgu, gdzie na jednej ławie oddaliśmy się studjom fizyczno-matematycznym.

Podniecony ruch narodowościowy wyswobodzeniem Włoch, wieści dochodzące nas o szkole polskiej wojskowej, utworzonej przez Wiktora Emanuela, o legionach polskich we Włoszech i na Mołdawii, pociągnęły Józefa w 1860 r. z wielu innymi gorętszymi a rozporządzającymi jakimikolwiek funduszami do opuszczenia Petersburga i emigrowania. Przekonawszy się na Mołdawii o bezpodstawności tych wieści, powrócił on cichaczem, lecz już nie do Petersburga, tylko do Warszawy, gdzie życie narodowe coraz silniejszym było tętmem.

Niepodległość Ojczyzny, która była celem jego marzeń, kazała mu zapomnieć o swojej karierze i pozostać w Warszawie, gdzie dla uzyskania wpływu na klasy pracujące, wpisał się w poczet robotników w fabrykach na Solcu. Tam pozostawał rok przeszło a tylko chwilowe zamknięcie uniwersytetu, po zaburzeniach studenckich 1861 r. i amnestya, która dla nas wszystkich nastąpiła w 1862 r., pozwoliły mu stawić się do ostatnich egzaminów w sierpniu 1862 r.

Młodo więc przeszedł poważną szkołę życia a znając tajniki organizacyi narodowej, wielce pesymistycznie zapatrywał się na losy rozpoczętego powstania.

—Iść powinniśmy, bo to nasz obowiązek gdy się krew leje, pójdziemy więc, ale na śmierć niechybną.

Juliusz, choć z nas najmłodszy, z natury trzpiotowaty, podzielał w zupełności zdanie Józefa, lecz jako prawdziwy wychowaniec korpusu moskiewskiego, zakonkludował.

—Ot, wiecie co, to może ostatni dzień naszego życia, pójdźmy gdzie pohulać... tyle naszego, co dziś użyjemy.

Ja tylko jeden nie podzielałem ich niewiary w przyszłość, starałem się natchnąć ich ufnością którą tylko w sobie podtrzymywałem, na podstawie wysokiego wyobrażenia o Komitecie Centralnym.

—Nie wszyscy, mówiłem, co idą na wojnę, zginąć muszą. Wprawdzie żywcem się wziąć nie pozwolimy, a gdy lud i cały naród będzie z nami, dlaczego nie mamy zwyciężyć.

To ich jednak nie przekonało i ciężkich ich przeżyć w niczem zmienić nie mogło. Dla rozproszenia takowych gotów byłem przychylić się do propozycji Juliusza, ale chwila była zbyt poważną, a pocziwy Józef tak smutny, że wniosek trzpiota sam przez się upadł i zajęliśmy się w dalszym ciągu ostrzeniem noży naszych.

Było około 10 wieczorem — ciemność i cisza panowały dokoła, gdy dało się słyszeć lekkie a znane nam do drzwi pukanie, Wszedł ów oficer a upewniwszy się, że jesteśmy sami, powiedział nam szeptem te tylko słowa:

—Jutro, o świcie, wyruszamy w trzy kompanje, w kierunku Kowala, zawiadomcie kogo należy.

W godzinę potem pocztylion przygrywając na trąbce, przewiózł mnie przez rogatki strzeżone przez wojsko, Moskałe bowiem wówczas jeszcze wielki respekt mieli przed trąbką pocziarską i ta w zupełności paszport zastępowała. Na ranem już powracałem tą samą bryczką pocztową i w drodze minąłem się z zapowiedzianą przez oficera wyprawą.

We dnie znowu byliśmy na lekcjach, jak zwykle, a zegnając się po obiedzie z pocziwym sekretarzem szkoły, Bronisławem Kwiatkowskim z znaczącym uściskiem dłoni wręczyliśmy mu list z prośbą, aby go dopiero nazajutrz otworzył

Wieczorem dla niepoznaki rozłączyliśmy się z Juliuszem, który oddzielnie odjechał, wraz z swoim pałaszem i jednym z dwóch pistoletów.

Około 9 wieczorem i my z Józefem wyruszyliśmy ekstrapocztą, mając za pasem nasze wielkie noże, on miał oprócz tego pistolet, a ja wyż wymienioną kruciczkę, kożuszki i buty wielkie osłoniłymi płaszczami, a Józef, któremu zabrakło czystej bielizny, włożył na siebie dwie moje nowe koszule, które mi niedawno matka naznaczyła chemicznym atramentem, wypisując całe imię i nazwisko moje; dzięki trąbce poczytłiona, wyjechaliśmy bez przeszkody z miasta traktem prowadzącym do Brześcia Kujawskiego.

Jeszcze przed północą znaleźliśmy się we wsi Ołgonowie, w patryotycznym domu państwa Boguszów, gdzie zastaliśmy kilkunastu powstańców, udających się do oddziału. Brat młodszy gospodarza, ś. p. Andrzej, były żołnierz Mierosławskiego z 1848 roku, patriota i męczennik sprawy, (w kilka tygodni potem był powieszony w Włocławku) rozdał pomiędzy nas broń, poczem przekąsiwszy nieco, spoczęliśmy pokotem na sianie, przebudzono nas przed świtem i kilku drabiniastymi wozami odwiózł nas Andrzej Bogusz do obozu majora Ulatowskiego, rozłożonego w lesie cieplińskim, niadaleko Przedcza, tam zastaliśmy już Juliusza, który w charakterze poręcznika-instruktora, ćwiczył rekrutów w maszerowaniu i nas obydwóch chciano uczcić podobnem dygnitarstwem. Nietylko żeśmy tego nie przyjęli i podoficerami nawet zostać nie chcieliśmy a piękne nasze dubeltówki wraz z ładownicami, odstąpiliśmy więcej umiejętnym od siebie, stając ochoczo w szeregach prostych kosynierów.

.
.

Zostawiając do innego ustępu opisanie obozu i szczegółów jego organizacyi, ograniczę się tu do powiedzenia, iż dnia 8. lutego przybył i objął dowództwo oddziału Kazimierz Mielecki. Major Ulatowski został komendantem piechoty, a nasz towarzysz Juliusz Erlicki był jednym z najczynniejszych jego pomocników, dowodził on naszą kompanją, był wesół i męczył nas bez litości swemi ćwiczeniami.

Druha mego Józefa nic rozerwać, ani znużyć nie zdołało; był on ciągle pogrążony w zadumie i melancholii, a najkomiczniejsze sceny obozowe nie mogły wywołać na usta jego uśmiechu.

.
Dnia 10. lutego o świcie oddział nasz, opuszczając stanowisko, został zaatakowany tyłu przez nadchodzących Moskali. Zakomenderowano: „na lewo-zwrot—marsz!“ i za chwilę staliśmy pod lasem wyciągnięci w długą linję, przed naszym frontem stał Juliusz z pałaszem w ręku, a pierwszy strzał Moskali, zwałił go na ziemię.

Zabrzniała znowu komenda: „tyraljerzy naprzód!“ a po wymienieniu kilkunastu strzałów, zakomenderowano: „kosynierzy marsz naprzód—hurra!“

Rzuciliśmy się kupą bezładną do lasu, gdyż utrzymanie szeregów nie było tam możebnem. Tyraljerzy moskiewscy uciekając odstrzeliwali się, a nie ubiegliśmy jeszcze i dziesięciu kroków, gdy mój druh najserdeczniejszy Józef, padł tuż obok mnie, nie domówiwszy całego „hurra!“

.
Tak się spełniło przeczucie moich przyjaciół, a gdy nazajutrz złożony na łożu boleści w przyległej wiosce, odzyskałem chwilowo przytomność, opowiedziano mi, iż pomiędzy ośmnastoma poległymi w po-

tyczce cieplińskiej, ośmnastoma barbarzyńsko pokłutymi i obdartymi przez wrogów, pochowano także i młodego profesora z Włocławka, nazwiskiem Bolesław Anc, jak to wskazywały strzępy koszuli na których nazwisko to było wypisane.

Zostałem więc upiorem i nic dziwnego, że ogłoszony za umarłego, tem mianem zostałem powitany w kilka miesięcy potem, przez nieboszczyka już nie-stety, kolegę mego Bronisława Grabowskiego, który spotkawszy mnie na ulicy Wierzbowej, zapytał głośno, czy zmartwychwstańca, czy upiora wita?

Niech to wspomnienie będzie grudką ziemi złożoną dłonią przyjaciela, na zapomnianej mogile!..

Lwów — Styczeń 1904.



KAZIMIERZ MIEŁECKI.

Dowódca oddziału i Naczeln. wojen.
Województwa Kąliskiego.

Zmarł z ran odniesionych w poznańskim.

II.

Pod Cieplinami.

Ludno i gwarno było w lesie cieplińskim, pod Przedczem na Kujawach, kiedyśmy wraz z Józefem Stępowskim 7 lutego 1863 r. o świcie na wozach drabiniastych wjechali wraz z kilkunastu powstańcami. Garstka, około 300 ludzi licząca, posiadająca około 30 strzelb myśliwskich, trochę kos, a reszta z kijami, ćwiczyła się na polance w obrotach wojennych, pod komendą ówczesnego naczelnika oddziału, majora Ulatowskiego. Zastaliśmy tam wczorajszego naszego towarzysza Juliusza Erlickiego, który jako dawny kadet korpusu leśnego, moskiewskiego, zajmował już stanowisko porucznika instruktora.

Kilkanaście kociołków zawieszonych na improvizowanych trójnogach, syczało nad ogniem. Warzył się płyn jakiś, który zupę miał reprezentować, a gdzieś niegdzie jakiś młodociany kucharz piekł nad ogniem kawałek słoniny, który mu śniadanie miał okraszyć.

Tu znowu wozów pełno, z odzieżą, prowiantami, a wyrzucane z nich kosy, wydawały dźwięk stali właściwy.

Przy kuźni polowej odzywały się uderzenia młotów kowali, prostujących kosy, a siekiery, wycinające młode dębczaki na styliska, hukiem napełniały powietrze.

Dziwna rzecz, że przy takim gwarze i hałasie, żadna wideta nie zatrzymała nas przy wjeździe do lasu

widocznie uważano się tam za zupełnie bezpiecznych, albo też wszyscy znali Andrzeja Bogusza, który nas prowadził. Natomiast pełno wieśniaków młodych i starych z wielką ciekawością przypatrywało się mustrze, kociołkom i kuźni, a niektórzy z ciekawszych nie wahali się nawet wsadzać głowy do lichego szałas, skleconego z gałęzi, który służył za schronienie dla sztabu.

Nasz przewodnik, Andrzej Bogusz, zaprowadził nas do tego szałas, gdzie znaleźliśmy komisarza rządu narodowego, Stanisława Frankowskiego, który, jako ułomny, dość zabawnie ze swoim wielkim pałaszem wyglądał. Oprócz niego i kilku oficerów, zastaliśmy tam dawnego naszego kolegę z Petersburga, Zygmunta Warylkiewicza, który wyemigrowawszy w 1860 r. powrócił do kraju w chwili wybuchu powstania.

Po skończonych ćwiczeniach przedstawiono nas naczelnikowi, który nam, jako nauczycielom gimnazjalnym, zaproponował stopnie oficerskie. Odrzuciliśmy tę propozycję, i podoficerami nawet nie chcieliśmy zostać, mając pełną świadomość tak odpowiedzialności, jak i naszej nicości w sztuce wojskowej; dubeltówki nawet nasze ustąpiliśmy umiejętniejszym a sami jako prości kosynierzy zaciągnęliśmy się pod komendę Juliusza.

Ochotnicy przybywali ciągle, broni zaś zapasowej nie było, tak, że o posiadanie kosi trzeba się było dobijać i do niej torować sobie drogę łapówkami, dawanemi kowalowi.— Nieład był wielki, a ludzi doświadczonych mało; sądząc, iż czem dłuższa kosa tem skuteczniejsza, opracowaliśmy sobie kosi na cztero lub pięcio-metrowych styliskach, z młodych surowych dębeczaków, a trudno było je zmienić, gdy się spostrzegło, iż taką kosą ruszać niepodobna.

Po południu wzięliśmy udział w ćwiczeniach ma-

newrując prostemi kijami, bo kosy nasze nie były gotowe, wieczorem zaś uzbrojony w mój długi a ciężki drag z kosą na końcu, byłem po raz pierwszy postawiony na pikiecie, gdzieś na skraju lasu.—Z okularów moich, choćby się były nie stłukły, nie mogłym mieć pociechy, i po raz pierwszy wtedy przekonałem się, że dla dobrego żołnierza wzrok normalny jest niedozowny.

Ósmego lutego z rana znowu ten sam Andrzej Bogusz przywiózł nam nowego naczelnika oddziału, w osobie Kazimierza Mieleckiego. Młoda, żołnierska postać Mieleckiego, krótka, energiczna mowa, którą wygłosił przed frontem, dodały nam otuchy, iż większy ład i porządek zapanują w naszym obozie. Kapelan, Bernardyn, odprawił nabożeństwo, Mielecki odbył przegląd na polance, zalecał karność i posłuszeństwo, a staremu majorowi Ułatowskiemu pozostawił dowództwo piechoty.

Wozów z żywnością, bronią i amunicją przybyło sporo, ustawiono jeszcze dwie kuźnie polowe, a przekuwanie i przybijanie kos szybko postępowało, słoniny i chleba nie brakło, a ja, co nigdy przedtem wódki nie piłem, z łatwością nauczyłem się przełykać całą szklaneczkę tego napoju.

Ludzi i koni ciągle przybywało i ku niemałemu zdziwieniu około wieczora zobaczyliśmy sformowaną naszą kawalerię, bilsko 30 koni. Wprawdzie uzbrojenie pozostawiało wiele do życzenia, bo niektórzy mieli zaledwie pałasze, zawieszane na sznurkach, inni lance, z jednym lub dwoma pistoletami, a inni jeszcze same strzelby myśliwskie, przewieszane przez plecy, była to kawaleria, która mogła czuwać nad obozem.

Około ósmej lub dziewiątej wieczorem oddział kawalerii sformowawszy się przed szalaszem naczelnika,

po cichej komendzie, danej dowodzącemu, ruszył z miejsca i gdzieś wymaszerował, a z nim i komisarz pełnomocny i koleżka Waryłkiewicz.

W kilka godzin potem, drzemiąc pod drzewami, zostaliśmy przebudzeni silnym hałasem, sprawionym przez powracającą kawalerię, która otaczała kilka wielkich wozów. Na jednym z nich, drabiniastym, siedziało dziesięciu bezbronnych żołdaków moskiewskich. Inne wozy naładowane były mundurami, bielizną i podobnymi rekwizytami.

Na ten widok wielka radość zapanowała w obozie: wszyscyśmy zapomnieli o spaniu i radziłyśmy się byli dowiedzieć o tem, co zaszło i w jakich okolicznościach. Na mój pluton wypadła kolej trzymania warty przy jeńcach. Od nich tak jak i od kawalerzystów dowiedzieliśmy się, że nasza kawaleria napadła wieczorem na magazyn, czyli tak zwany czekhaus moskiewski w Przedczu, strzeżony przez dziesięciu żołnierzy z jednym podoficerem, że ten ostatni chcąc się bronić został ranny strzałem pistoletowym, a dziesięciu żołnierzy się poddało. Stąd to zdobyte łupy w ubraniach, a głównie jedenaście karabinów zabranych żołnierzom które stanowiły dumę wyprawy, jako pierwsze karabiny w oddziale Mieleckiego.

Śmiać i płakać się chciało, patrząc na tych carskich niewolników: w przekonaniu, że śmierć ich nie minie, płakali i tarzali się po ziemi, błagając litości, jak również przyrzekając nam wiernie służyć, jeżeli życie będzie im darowane. Jakże się zdziwili, gdy im podano jedzenie i wódkę. Bali się tego tknąć, sądząc że zatrute, i ciągle jęczeli: „batiuszka pamiłuj—pamiłuj batiuszka!“ Ledwie własnym przykładem skłoniłmy ich do wzięcia pożywienia. — Siedzieli oni całą noc na tym samym wozie, a ręce im po przywiezieniu rozwiązano.

Nazajutrz, 9 lutego o świcie wielka parada, wielkie nabożeństwo, a pocziwy nasz kapelan Bernardyn, wszedłszy na pniak świętego drzewa, wygłosił gorące kazanie rozpoczynające się od słów, które do dziś dnia zapamiętałem:

„Po tak świetnem zwycięstwie, jakim nas wczoraj Najwyższy obdarzyć raczył“ itd.

Tu uśmiech ironiczny przebiegł mimowoli po ustach słuchaczy, a dalej dowiedzieliśmy się, że:

„Należy, abyśmy podziękowali Panu Bogu za tę łaskę i abyśmy pozostali tak jak wczoraj pełnymi odwagi i wiernymi naszej świętej sprawie“.

Łatwośmy w ustach pocziwego Bernardyna na bohaterów wyszli.

Po nabożeństwie powstał szmer w szeregach, rozeszła się bowiem wieść po obozie, iż jeńcy moskiewscy wypuszczeni być mają. Zmysł samoobrony przemógł w szeregach powstańczych nad uczuciem ludzkości. Nie bez słuszności rozumowano pomiędzy żołnierzami, że nie tylko wolno ale i obowiązkiem jest narodu ujarzmionego, użyć wszelkich środków, dla pozbycia się ciemiężców, gdzież bowiem są fortece i więzienia dla ubezwładnienia jeńców, którzy puszczeni na wolność, pójdą znowu służyć wrogowi.

Szmer w szeregach wzrastał, a wykrzykniki „śmierć Moskalom—powiesić!“ coraz wyraźniejszymi się stawały. Mielecki stanął przed szeregami, a wyciągnąwszy rewolwer, krzyknął głosem stentora: „Milczeć! a kto usta otworzy, temu łeb rozwalę!“

Wszystko ucichło—zakomenderowano „na prawo marsz!“ i pomaszzerowaliśmy na polankę do ćwiczeń.

Podczas reszty dnia panował wielki ruch i ożywienie w obozie, kurjerzy ciągle wyjeżdżali i przyjeżdżali, kawalerya w ciągłym była ruchu, a narady w szalasiu naczelnika nie ustawały, nasz spowiednik

miał coraz więcej penitentów, wieczorem po zjedzeniu kawałka słoniny z chlebem i popiciu wódką, część żołnierzy przytuliła się do ziemi, przypruszonej śniegiem, a druga część krzątała się około pakowania rekwizytów, układając je na wozy. Na nasz pluton przypadła kolej strzeżenia jeńców moskiewskich.

Znowu też same jęki, zale, łamenty i prośby niewolników carskich, którym się zdawało, iż kosy, które dzierżyliśmy w rękach, były przeznaczone do rozerwania ich nędznych ciał na kawałki.

Ruch w nocy przyjeżdżających i wyjeżdżających z obozu powiększył się jeszcze, a w namiocie naczelnika nikt oka nie zmrużył. — Około trzeciej w nocy zbudzono wszystkich cichaczem i zalecono jak największy spokój. W milczeniu sformowały się szeregi, nas zapomniano złuzować ze straży, czy też umyślnie nas tam pozostawiono, bo aż około piątej zrana oddział kawalerii przyszedł nas zastąpić, otoczono Moskali, kazano im ruszyć w pochód, a jęki i narzekania powiększyły się jeszcze, bo jeńcy myśleli, że ich na śmierć prowadzą.

Niestety, wyprowadzono ich za las i puszczone na wolność, a oni za parę godzin oddział moskiewski na nas naprowadzili. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

W godzinę po wyprowadzeniu jeńców, furgony eskortowane przez kilkunastu kawalerzystów, wysłane były w kierunku przeciwnym; wkrótce i piechota po wysłuchaniu cichej modlitwy Bernardyna i otrzymaniu od niego błogosławieństwa, ruszyła w pochód. Uszykowani byliśmy według regulaminu Mierosławskiego, to jest kompanie ustawiały się w trzy szeregi, z których pierwszy, frontowy, należał do strzelców, a dwa następne do kosynierów. Kompanij tych było cztery, z których dwie pierwsze tylko posiadały strzelców,

razem około 60 strzelb; trzecia składała się z samych kosynierów, a w czwartej dwie trzecie części tylko same drzewca posiadały. Karabiny, zdobyte dnia poprzedniego, dostały się podoficerom.—Wszystkich ludzi w oddziale było około 500 a z tego co najmniej 50 dzieci poniżej lat 15. Wielu było bosych, obdartych, a jednak ochoczo szliśmy w cichości naprzód.

Brzask dnia 10 lutego zaczął oświecać wierzchołki drzew lasu, gdy długim węzem wyszliśmy na drogę polną.

Zrobiliśmy może dwa kilometry, słońce zaczęło oświecać otaczające nas przedmioty, gdy z tyłu nadbiegł w galopie kawalerzysta i Mieleckiemu, jadącemu obok nas konno, zdał jakiś raport.

Zabrzmiała komenda: „stój, na lewo zwrot, marsz!“ — i napowrót wróciliśmy ku lasowi, ustawiono nas pod nim na drożynie tak, że front nasz, to jest strzelcy, znaleźli się w trzecim szeregu. Widocznie poczcíwy major Ulatowski zapomniał o potrzebie zmiany frontu, choć kompanię kosynierów ustawił w tyle za nami, a biedaków z kijami wysłał śladem furgonów. Naczelnik Mielecki z kilkoma kawalerzystami na bok odjechali.

Niedługo chwilę staliśmy, nie wiedząc, co mamy robić, gdy jeden, drugi a potem więcej strzałów padło z lasu. Było to wymownym dowodem, że tyralierzy moskiewscy tam byli a wymowniejszym jeszcze była śmierć naszego młodego porucznika i przyjaciela Erlickiego, który stojąc przed naszym frontem, padł od pierwszej nieprzyjacielskiej kuli.

Zakomenderowano: „strzelcy, naprzód, w tyralierzy!“ a szeregi nasze zaraz się zmieszaly, gdyż musieliśmy przepuścić, stojących w trzecim szeregu. Nastąpiła krótka wymiana strzałów i nasi tyralierzy chowając

się za drzewami mierzyli ze swych fuzyjek, do niewidzialnych dla mnie Moskali. Słońce wtedy w całej pełni oświecało horyzont.

Major Ulatowski zakomenderował: „kosynierzy naprzód, hurra!” i z tym okrzykiem puściliśmy się kupą do lasu. Moskale widocznie się cofali, odstrzeliwając się, bo kule świstały,—a ledwie ubiegliśmy kilka kroków, gdy padł obok mnie przyjaciel mój, Józef Stępowski.

Huragan, jak lawina, porwał mnie z sobą i nie miałem nawet na tyle czasu, aby się zastapować, że może mój przyjaciel potrzebował pomocy. Bieglśmy jak wicher, przez długi szmat lasu a tu ani dopaść, ani zobaczyć wroga, którego obecność wskazywały tylko nieregularne strzały.

Pędem i nieforemną kupą wypadliśmy na polankę, ubieglśmy tak ze sześćdziesiąt kroków, gdy nagle jak grzmot, powitał nas rotowy ogień, wysyłany do nas przez szeregi, które w moich oczach jak krzaki wyglądały, kilkunastu się zwinęło i padło, innych ogarnęła panika, której nawet groza pałaszy i rewolwerów oficerskich powstrzymać nie mogła. Znaleźliśmy się znowu w lesie, rozpoczęto odwrót, który zamienił się prawie w ucieczkę. Gdyby nie przytomność Mieleckiego, który z kawaleryą w tej chwili Moskali z boku zaatakował, mogli byli nas wystrzelać co do nogi.

Rezultatem tej utarczki było, iż Mielecki z oddziałem, do połowy zmniejszonym znalazł się tego dnia w lasach Śleszyńskich. Na polu bitwy pogrzebano nazajutrz 18 powstańców, obdartych i strasznie poranionych, a w okolicznych dworach znalazło się kilkunastu rannych. Ja ocknąłem się nazajutrz we wsi Katarzynie,

Moskale stracili swego dowódcę, kapitana Jan-



STANISŁAW FRANKOWSKI

Komisarz wojenny Rządu Narodowego

W województwie Kąliskim.

Zmarł we Lwowie w 1899 r

kowskiego, Polaka i kilku żołnierzy, zabitych przy ataku kawaleryi.

To się działo 10 lutego pod Cieplinami.

.
Aby oddać cześć padłym męczennikom w walce z wrogami, wzmiankuje, iż oprócz wyżej wymienionych, w kilka tygodni potem Andrzej Bogusz dał życie na szubienicy w Włocławku, Zygmunt Waryłkiewicz po paru miesiącach złapany przez Moskali, został rozstrzelany w Kole, naczelnik Mielecki po kilkunastu bitwach przeszyty kulą moskiewską, zmarł w Poznaniu, a komisarza Rządu Narodowego, Stanisława Frankowskiego po ciężkich mękach, z wszelkich morderczych kalectw pochodzących, pochowaliśmy przed trzema laty we Lwowie na cmentarzu Łyczakowskim.

Lwów w Grudniu 1902. r.

III.

Nemezis.

Już strzały, zgiełk i wrzawa cichnąć zaczęły w lesie i na polach Cieplińskich, wczesnym rankiem dnia 10 Lutego 1863 r. Już zwyciężony w pierwszej swej potyczce oddział Mieleckiego, cofał się w nieładzie ku lasom Śleszyńskim a rozsypani po polach kozacy, przesyłali od czasu do czasu strzały tak za nim, jak i za odciętymi od niego oddzielnymi powstańcami, a jęki konających i obdzieranych rannych, znaczyły ślady przejścia piechoty moskiewskiej, nie tylko na polu walki ale i w zakątkach przysiółka, przytykającego do lasu, gdzie kilku powstańców, przejętych paniką pogromu, szukało schronienia między snopami i sianem!

Przez pola, przylegające do lasu Cieplińskiego, prawie równoległe do krawędzi lasu, wzdłuż rzeczki, biegł zdyszany powstaniec, w kierunku stanowiącym prawie kąt prosty, z ruchem cofającego się oddziału, od którego przy ogólnem zamieszaniu i jego krótkim wzroku, los go odzielił.

Był to młodzieniec, mający około 22. lat o inteligentnych rysach twarzy, wyrażających nietyle znużenie i przestrasz, ile cierpienie duchowe i zwątpienie.

Gdy kilka zbłąkanych kul moskiewskich, koło ucha mu świsnęło, zatrzymywał się z gniewem i determinacją, powtarzając sobie:

—Niech łotry, raz zabiją!— ha i lżej będzie, bo nie przeżyję przynajmniej wstydu i hańby ucieczki!

A jednak szedł on dalej z rozpaczą w duszy..

— *Taka to jest nasza polska waleczność o której pieśń nuci?! —* To dosyć jest małego rotowego ognia i kilkunastu trupów, abyśmy z atakujących poszli w rozsypkę! Inni zginęli, polegli; — Juliusz padł pod lasem od pierwszego strzału, ukrytego nieprzyjaciela, — Józef — ten obok mnie, gdyśmy zaledwie kilkanaście kroków w głąb lasu ubiegli z kosami do ataku! — zawołał hurra!... i w połowie wyrazu głos jego i życie przecięte zostały!...

Oni zginęli!.. a ja zostałem a przecież razem daliśmy sobie słowo: „zwyciężyć, lub zginąć, a nigdy żywcem w ręce wroga!..“

Oni tu pozostali na polu walki a ja pociągnięty ogólną paniką, jestem sam okryty niesławą!..

Celuj więc dobrze, głupi kozaku, którego nie widzę i zabierz to życie, które jest mi tylko ciężarem i hańbą!..

A jednak oni padli tuż obok mnie i też same moskiewskie kule, które we mnie trafić mogły, nie dotknęły mnie, tak jak i setki innych świstających około mych uszów, przez cały las. A potem na owej polance, gdyśmy z kosami wypadli, ten zabójczy ogień rotowy, grzechoczący, jak groch po przetaku, nie tylko mnie, ale nas wszystkich mógł był położyć!

Inaczej się jednak stało, cofnęliśmy się w nieładzie do lasu, panika objęła wszystkich, tak że hańbie nie pierzchnęliśmy z pola walki! . . . , . . .

Takie i tym podobne myśli o hańbie i wstydzie ogólnym i osobistym tłoczyły się bezładnie do głowy powstańca a ręka jego ścisnęła kurczowo rękamięc małej dwururanej krucicy, która mu wraz z nożem-sztyletem za pasem, jako jedyna broń pozostała.

Coraz powolniej szedł na oślep, oddalając się od strzałów, gdy nagle na kilkadziesiąt kroków od siebie na lewo spostrzegł trzy postacie biegnące ku niemu i starające się przeciąć mu wszelki odwrót.

Pytanie: „ludzie czy szakale?” stanęło przed jego oczami, gdy ujrzał ich uzbrojonych w pałki i postronki a ręka z krucicą wyciągnęła się mimowolnie w ich kierunku.

—Dajcie pokój panie, my wam nic nie zrobimy, tylko was zwiążemy i Moskałom oddamy!

Na takie słowa wyszły z ust wieśniaków kujawskich, występujących w roli siepaczy wroga przeciw obrońcy narodu, krew ścięła się w żyłach młodzieńca; wykarmionego poezją naszych wieszczów, wiarą Mierosławskiego w patryotyzm i niewyciężoną potęgę ludu polskiego!

Ostatni promień słońca zagaśł dla niego, ostatnia łuska złudzeń opadła mu z oczu a czarna rozpacz owładnęła bezpodzielnie duszą jego.

Rozległ się huk strzału a zrozpaczony młodzieniec padł na wznak, kłęby krwi i dymu z ust jego buchnęły!...

Owa mała krucica, nabita loftkami, ręką poległego przyjaciela, śmierć mu zadała; ostatnie widzenie jego było błysk ognia na panewce, — ostatnia myśl „wybacz mi matko!“ Jednocześnie odczuł on w głowie zamęt, podobny do zamięszania łyżką w garnku, —i wszystko się skończyło.

Tu powinienby być koniec opowiadania. bo i cóż więcej o losach zmarłego „entuzysty“ (mówiąc grzecznie) powiedzieć można.

A jednak, los mu odsłonił rąbek pośmiertnej tajemnicy.

Młody powstaniec zarażony zwątpieniem epoki,

umierał bez głębokiej wiary w życie pozagrobowe. A raczej nie był pewien a w wątpliwościach swoich, pocieszał się tem, że jeżeli według pojęć bezwzględnej sprawiedliwości Boskiej nagroda i kara po za grobem istnieją, to dobre czyny za życia, na szali tej sprawiedliwości zaważyć muszą. Nie łamał on więc sobie głowy nad rozwiązaniem nierozwiązalnej zagadki, lecz postanowił żyć, jak na uczciwego człowieka i Polaka przystało, zostawiając resztę sprawiedliwości i zmiłowaniu Przedwiecznego!

Nastała cisza i ukojenie w zmysłach zrospaczonego młodzieńca, gdy naraz, jakieś odległe dźwięki zaczęły go przecucać a odczuwanie jakichś mimowolnych ruchów, samowiedzę jego pobudziło.

Wiedział on, że umarł a więc wnioskował: jest jednak jakieś życie po za grobem!

Szmer głosów stawał się coraz wyraźniejszym a ruchy jego coraz dobitniejsze, gdy do uszów jego doszły wyrazy: „to szlachcie“ spróbował poruszyć palcami ręki, wtedy usłyszał okrzyk—toć on żyje!

Nie było żadnej wątpliwości, strzał był źle wymierzony, a męka życia nieskończyła się jeszcze!

Otworzył oczy i ujrzał nad sobą tych samych trzech wieśniaków — szakali, obdzierających go starym a gdy wyjęknął skrwawionemi usty „dobijcie mnie!“ w odpowiedzi dostał kopnięcie nogą z dodatkiem „zdechniesz sam ciarachu!“ — Zemdlał,—a gdy się ocucił, nie było już nikogo;— cisza panowała dokoła. —

Próbował podnieść się, lecz olbrzymi ból w tylnej części głowy przykuł go do ziemi..

Już zimowe słońko lutowe podniosło się wysoko gdy zdołał usiąść a wtedy spostrzegł, iż oprócz bie-

lizny nic na sobie niema, lekkiego jednak mrozu nie odczuwał wcale. Krew lała mu się z ust, które wraz z *językiem i gardłem* coraz więcej puchły i tężały a gorączka coraz więcej paliła.

Podniósł się wreszcie z trudem i szedł przed siebie, nie wiedząc dokąd, okolica bowiem była mu nieznaną.

Idąc przez pola, doszedł do jakiegoś jeziora, których na Kujawach pełno, przebrnął przez nie, załamując cieniutki lód, po pachy w wodzie. To się drugi raz powtórzyło, a pomimo zamarznięcia na nim bielizny, zimna nie czuł.—Umrzeć! raz skończyć! było to jego jedyną myślą, jedynem życzeniem.

Tak dotarł do zabudowań wiejskich, a ujrawszy chlew, wszedł do niego, padł na gnój, myśląc, że tam nikt mu nie przeszkodzi umrzeć.

Niestety po chwili zajrzała tam wieśniaczka a spostrzegłszy na pół nagie i pokrwawione straszdyło, nie podała mu żądanej wody, lecz z krzykiem na wieś wyleciała.

Wieś ciągnęła się wzdłuż szerokiej drogi, po której chodzili liczni gospodarze, na krzyk kobiety nadbiegli do chlewa, wyciągnęli rannego, roztrzaskując głośno, czy należy go oddać Moskałom.

—A!... to wam się panie szlachcicu powstania zachciało, do pańszczyzny wrócić chcecie!... Toć my ciebie powrozem zwiążemy i do Włocławka dostawimy!...

Nikt nie pomyślał o daniu ratunku rannemu, którego paliła gorączka, podniecony tą gorączką i nikczemnością tych szakali, wstał i zdobywszy się na głos, na jaki pozwoliły mu poszarpane gardło i usta, ryknął:

—Przekleństwo wam i waszemu potomstwu niech będzie wieczne, pamiętajcie, że krew moja na dzieci i wnuki wasze spadnie!...

Na te słowa gromada rozstała się, jakby spiorunowana a ranny przeszedł w poprzek drogi w pole.

Idąc wprost ścieżką, doszedł niedługo do przełazu w ogrodowym płocie, a gdy go przekraczał, z ogrodu podniosły się krzyki przerażenia.

Zgorączkowany, wycieńczony młodzieniec zemdlał a gdy się przecucił, leżał w łóżku we dworze wsi Katarzyna. Znalazł się przy nim lekarz z Przedcza a po zbadaniu orzekł: iż śmierć jest tylko kwestyą godzin, gdyż ów straszny ból w tyle głowy dowodzi, że tam musiały uwięznąć łoftki z naboju.

Zanim gorączka zupełnie przytomność choremu odjęła, napisał słów kilka serdecznego pożegnania do matki, — potem niby usnął, szukając zawsze środka pozbawienia się życia. Śmierć jednak nie nadchodziła.

Nazajutrz nad brzegiem jeziora, które przylegało do dworu, znaleziono ubranie męskie i czapkę, pływającą po wodzie.

W katarzyńskim dworze mówiono, że ranny powstaniec w napadzie gorączki wybiegł w nocy i w jeziorze śmierć znalazł.

Nie umiera jednak człowiek kiedy chce, lub mu to ludzie przeznaczają, ale wtedy kiedy musi!

Nie wybiła jeszcze wówczas ostatnia godzina naszego powstańca. Przewidywania lekarza, nie sprawdziły się, widać, że ołów naboju, albo wysunął się wcześniej z lufy krucicy, albo przez pomyłkę nie był tam włożony.

Los kazał mu żyć i kilkanaście dni potem znajdujemy go wycieńzonego w obozie Mieleckiego pod Oślęcinem.

Przyprowadzono właśnie trzech wieśniaków ze wsi Katarzyny, aby ponieśli zasłużoną karę za zdradę na-

rodu i obdzieranie na polu bitwy, a w nich poznał nasz młodzieniec swoich oprawców. Brzydząc się nimi miał litość nad tymi ciemnymi, zdziechałymi ludźmi, których serce tylko dla chciwości i nieuczciwości było otwarte. Widział on w nich tylko ciemne narzędzie okropnej Nemezis dziejowej, mszczącej się na całym narodzie za to, iż przez tysiąc lat istnienia, klasa rządząca nie umiała i nie chciała uobywatelić mas ludowych i doprowadzić do samopoznania narodowego!

Błagał więc on o łaskę dla tych nieszczęśliwych i życie darowane im było...

Lwów w Sierpniu 1901 r.

IV.

Macieju zawracaj!

Dnia 21. lutego 1863 roku, to jest prawie przed 37 laty, w jednej z dolin kujawskich, zmierzającej ku Gopłu, jechałem na małym folwarcznym koniku, w towarzystwie ekonoma, ze wsi Kamień, który służył mi za przewodnika.

Zmierzaliśmy do oddziału Mierosławskiego i Miełckiego, którzy gdzieś nad Gopłem połączyć się mieli.

Rozbitek z potyczki pod Cieplinami z dnia 10. Lutego, ranny tam choć nie ciężko, przewożony byłem z dworu do dworu, gdzie wraz z moją osobą postrach paniczny wchodził.

I tak we wsi Katarzynie, na mój widok dzierżawca pan Zieliński w tej chwili do Warszawy wyjechał,—a pani Z. jakkolwiek odważniejsza, kazała mię choć w gorączce wywieźć, utopiwszy naprzód moje rzeczy w jeziorze, jako dowód, że ja sam się utopiłem.

Jakiś pocciwy kwestarz, Karmelita, przewoził mnie po nocach, uzbroiwszy się w trzy rewolwery, dla odparcia ewentualnego napadu włościan, bardzo źle dla powstania na Kujawach usposobionych.

W Osłęcinie u zamej staruszki pani Ostrowskiej, pielęgnowano mię uczciwie, ale biedna pani O. umierała ze strachu, co nawet szczerze mi wypowiedziała, w sposób dość naiwny:

—Panie drogi, mówiła, pan się na śmierć poświęciłeś, to cię męka nie przestrasza, ale ja, panie! ja, co

nigdy różgą dotknięta nie byłam, ja się boję, drzę na samą myśl kozackich knutów! — Panie! ja Ojczyznę kocham, powstaniu sprzyjam, ale niech pan jedzie gdzieindziej!!

Pomimo więc wstrzymania panny Franciszki, córki pani O., która pielegnowała mnie z poświęceniem prawdziwej Polki, prosiłem, aby mię dalej odesłano.

I tak w dni 10, zwiedziłem coś sześć schronień, a widząc, że przy wyjeździe najwięcej mi są radzi, postanowiłem wrócić do obozu, pomimo że upływ krwi mię osłabił i oprócz płynnych pokarmów nie przełknąć nie mogłem.

Tak więc z panem ekonomem ujechaliśmy wolnym truchikiem, z jakie półtóry mili, gdy dały się słyszeć coraz wyraźniejsze strzały karabinowe, przeplatane czasami grzmotem armat.

Była to bitwa pod Nową-Wsią nad Gopłem, a jak nam powiedziano pod Trojaczkiem; po zasięgnięciu języka, okazało się, że pomiędzy nami a naszymi znajdują się Moskale.

Należało się więc cofać w porządku i koło wieczora byliśmy z powrotem w Kamieniu, we dworze pani S. (nazwiska na szczęście przypomnieć sobie dokładnie nie mogę). — Mówię u pani S., bo pana S., wcale nie było, czy też dla bezpieczeństwa wyjechał pod opiekę Moskali. Była tam i córeczka, miła pаниenka, bardzo uprzejmie gruchająca z kolegą, powstańcem, rannym w rękę, także pod Cieplinami.

Nazajutrz doszła i do Kamienia wieść o pogromie pod Nową-Wsią, i rozproszeniu naszych oddziałów. Wieść przesadna, jako wynik przestachu.

W każdym razie pani S. zdecydowała, że dwóch powstańców to trudno ukryć, w następstwie czego mnie miała ona odwieźć w bezpieczne miejsce. — Na-

turalnie zgodziłem się na to, zajechała kryta kareta, zaprzęzona w cztery konie i sama pani S. wraz ze mną do niej wsiadła.

Dała ona znak i wąsaty Maciej (o ile sobie przypominam)—zaciął konie. — Jechaliśmy bocznemi drogami, z jaką miłą i wszystko było dobrze.

Pani S. była trochę zaniepokojoną, lecz opowiadała mi, że mię do jakiegoś Lutomyśla (jeżeli się nie mylę) zawiezie.

Gdyśmy wyjechali na gościniec, dało się słyszeć kilka strzałów z pobliskich wzgórz okrytych gajkami.

Pani S. się przełękła, a Maciej z kozła coś o Moskalach zagadał. Za chwilę zatrzymał konie, twierdząc: że gdzieś na wzgórzu widzi kozaków, plądrujących w lasku a pani S. prosiła mię, abym wysiadł dla sprawdzenia tego, czego, jako krótkowidz, sprawdzić nie mogłem.

Zaledwem wysiadł, gdy drzwiczki karety się zatrzasnęły, a głos pani S. dał się słyszeć rozkazująco: „*Macieju zawracaj!!..*“

I trzask z bicia się rozległ, kareta zawróciła w galopie, a ja nie mogąc wiele widzieć i nie znając wcale okolicy, zostałem z moją konfederatką na środku gościńca!

Już potem pani S. nigdy nie widziałem, lecz przypuszczam, iż sumienie jej nieraz wyrzucało ten czyn, małoduszny popełniony pod wpływem strachu, a może w jej snach budził ją czasami widok, kołyszającego się na szubienicy powstańca, którego ona z tchórzostwa wrogom oddała!!

Otóż dla uspokojenia wyrzutów sumienia pani S. dodam, iż Bóg inaczej zrządził. Moskale (jeżeli

oni tam byli) nie ujrzeli mnie, a ja idąc wprost przed siebie i po kilkudniowym tułaniu się po domach, dobiłem się nareszcie do obozu Mieleckiego, w okolicy tegoż samego Oślęcina — Wkrótce jednak musiałem dla leczenia się, oddział opuścić, i udać się w Krakowskie do mej rodziny.

Potem, wiele — bardzo wiele — przeszedłem i widziałem, lecz drugiej takiej pani S. już nie spotkałem.

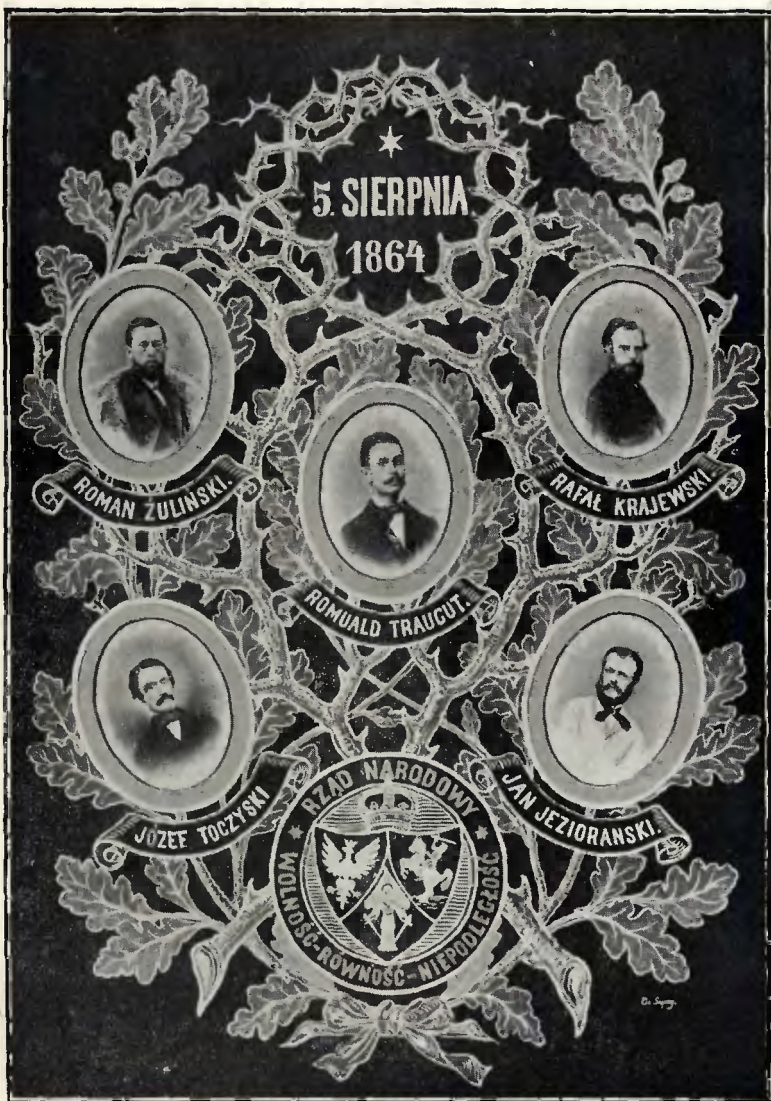
Lwów w Lutym 1900 r.

P. S. Przy redagowaniu księgi pamiątkowej „*W Czerdziesiąt rocznicę powstania styczniowego*“ spotkałem w niektórych rękopisach wspomnień wyrazy uznania dla patriotyzmu i poświęcenia obywatelskiego domu państwa S. w Kamieniu.

Z przyjemnością stwierdzam ten fakt, dowodzący, że akt małoduszności przezemnie wyżej opisany, spełniony został przez panię S. wyjątkowo w chwili nieprzewidywanej paniki.

„I sprawiedliwy upada siedmdziesiątsiedem razy na godzinę“ — mówi Pismo Świąte.

Lwów w Czerwcu 1907 r.



RZĄD NARODOWY
odżatni — męczeński.

V.

„Do Rządu Narodowego.“

└ Dziwny to był stan skupienia, jakby stan chwilowego zawieszenia broni, jaki zapanował w województwie krakowskiem, po bitwie pod Grochowiskami, — a trwał prawie do końca kwietnia 1863 r.

Zwycięstwo Pyrrhusowe dziesięciodniowego dyktatora, które dla niego i większej części jego czterotysięcznej armii zakończyło się Iglawą i Ołomuńcem, a dla drugiej połowy rozproszeniem i utratą tak drogo nabytej broni i rynsztunku wojennego, zwycięstwo to, które równało się dla nas ogromnej klęsce, wcale nie ośmieliło Moskali, pomimo tryumfalnej przechadzki, którą Czengery przez Nowe Miasto, Szkałmierz, Proszowice, Miechów i Jędrzejów, odbył do Kielc z powrotem. Najbliższym rezultatem Grochowsk była Iglawa dla Langiewicza, a „c z y n“ generalski dla pułkownika Czengerego.

/ Pomimo tego Moskale z niedowierzaniem skryli się w Kielcach, a oprócz garnizonów w Staszowie (pułk kostromski Zwierowa), w Olkuszu (Szachowski) i Częstochowie, całe województwo krakowskie było wolne od tej szarańczy /

Tymczasem odezwa Rządu Narodowego, zapowiadająca dalszą walkę, jakoteż że żadnej dyktatury już nie będzie, podniosła ducha po klęsce i zdecydowała wahających się „białych“ do wzięcia gorętszego udziału w powstaniu i organizacyi.

Ta ostatnia znacznie się ożywiła a lękliwe żywioły, widząc wahania się i niepewność Moskali, gorący w niej wzięły udział. Podatki narodowe napływały obficie, pocztą narodowe zostały wzorowo urządzone. Trakty we wszystkich kierunkach były ustalone, wystarczała ćwiartka bibułki z upoważnieniem i pieczęcią a wszędzie się znajdowało gościnność, pomoc i podwodę, bez zapytania gdzie? po co? i na co?

Organizacya wojskowa także nie zostawała w tyle, zbierając rozprzeczłych żołnierzy Langiewicza i ochotników, z Krakowa przybywających.

Tak oprócz dzielnego Czachowskiego, Kononowicza, Grelińskiego i innych, którzy się formowali i już ścierali z Moskalami w Sandomierskiem.—Oxińskiego z Lüttichem, którzy szachowali Moskali w Wieluńskiem, zaczęły się tworzyć oddziały Chmielińskiego a później Iskry pomiędzy Włoszczową a Jędrzejowem.

Dla pokrycia i zasłonięcia tych formacyj, dla utrzymania na wodzy opryszków miejscowych i donosicieli, sformowany był oddział konny pułkownika Bończy a później podobny Bogusza (Mazurkiewicz.)

Piękny to był ten oddział Bończy... Moskale nazwali go oddziałem zandarmów wieszających, i każdego z jego żołnierzy z góry na szubienicę skazali.

Tak pięknie wyćwiczzonego i umundurowanego oddziału konnicy w całym powstaniu nie widziałem. Wszyscy oni mieli sukmanki białe i krakuski czerwone, broń piękną, dobraną, lance z chorągiewkami i konie wcale dobre, o ile odparzone nie były.

Zarzucano Bończy, że unikał bitwy, a on spełniał tylko swoje zadanie, pociągając Moskali za sobą i zasłaniając przez to inne oddziały.

Sam Bończa (podobno Bleszyński), były oficer moskiewski, był nadzwyczaj pięknym mężczyzną, z twa-

rzą poważną i zadumaną. Brunet, wysokiego wzrostu, z oczami wyrazistemi, wielkim nosem i czarną, wielką brodą, był mało mówny, a rozkazywać umiał.

Kilkakrotnie w sprawach organizacyi z nim rozmawiałem, lecz ani jednego uśmiechu u niego nie odkryłem, ani jednego słowa poza sprawami służbowymi od niego nie usłyszałem.

Szkoda—po paru miesiącach kołowania po województwie zginął on 20. czerwca 1863 r. a oddział jego w znacznej części się rozproszył, resztki zaś rozproszonych przyłączyły się do Chmielińskiego.

Widziałem Bończę konającego, posiekanego i pokłutego jak rzeszoto w Lubczy, około Działoszyc, a od jego żołnierzy i brata mego, rannego w tej potyczce, oto czegom się dowiedział.

Bończa cierpiący jechał na bryczce za oddziałem, który się kierował od Lubczy (Wielowiejskich) do Gór (własność potomków generała Dembińskiego). Widocznie nie miał dostatecznej wiadomości o ruchach Moskali, gdyż nagle z rowu, otaczającego las, do Gór należący, padły strzały na oddział. — Bończa skoczył na koń, sformował oddział i zakomenderował do ataku, sam naprzód się puszczając. Ugodzony kulą, spadł z konia, co wywołało popłoch w oddziale. Uciekano w nieładzie i zanim się opamiętano, by powrócić na pomoc wodzowi, został on pokłuty i posiekany przez Moskali, którzy cofnęli się do Pinczowa a resztki tego oddziału w Lubczy oglądałem.

Tamże w Lubczy, Bończa pochowanym został,— a czy jest tam jaki znak, że tam leży ciało obrońcy ojczyzny?

.

Zanim do dalszego opowiadania powrócę winnem dopełnić charakterystyki epoki, o której piszę.

Przez kilka miesięcy po Grochowskich, organizacya narodowa w Galicyi rozwijała także bardzo wielką czynność. Władze austriackie na formowanie się oddziałów przez palce patrzyły, ale niestety i Moskale mieli dobre informacje. Wiedzieli oni naprzód, gdzie i kiedy, jaki oddział ma wkroczyć i zawsze z przeważającą siłą na niesformowanych powstańców, zaraz po wkroczeniu napadali. Tak przepadł oddział Mierosławskiego pod Igołomią, Miniewskiego pod Krzykawką, Grekowicza, pod Szklarami, — Łopackiego pod Ratajami i wiele innych. — Oddział Bończy także w 50 koni przekroczył granicę, urosł już w kraju do 250 a zastępując formacye miejscowe, wielkie oddał usługi.

Teraz wracam do rzeczy.

Otóż pewnego dnia w końcu Maja lub początku Czerwca 1863 roku, wyjechałem z Kielc, w celu uorganizowania ucieczki rannych powstańców, wziętych do niewoli, a pozostających w leczeniu przez Moskali w szpitalu cywilnym. Chodziło o to, aby wyzdrowiających ocalić od więzienia i kary moskiewskiej, przesyłając ich do obozów powstańczych, lub w miejsce bezpieczne. W tym celu rekonwalescenci wymykali się pojedynczo poza miasto, a przygotowane podwozy ich zabierały.

Miałem przytem coś ważnego do zakomunikowania „obywatelowi“ naczelnikowi województwa, ze strony „obywatela“ naczelnika miasta Kielc, kolegi mego Edwarda Plewińskiego, profesora tamtejszego gimnazjum; udałem się przeto pocztą narodową w Stopnickie, gdzie w małej wiosce Sokołowie w okolicy Buska i Szańca, zamieszkiwał naczelnik województwa krakowskiego Władysław Gołemberski, były student uniwersytetu moskiewskiego, a od roku mniej więcej 1858 nauczyciel gimnazjum realnego w Warszawie.

Był on bardzo czynnym we wszystkich robotach przedpowstańczych. Należał do Komitetu Centralnego i reprezentował w nim kierunek Jurgensowski, to jest pośredni pomiędzy „białymi“ a „czerwonymi“. Przeniesienie się jego na wieś niedługo przed powstaniem miało, zdaniem mojem, na celu wyzyskanie wpływu i stosunków szlacheckich dla spraw narodowych.

Po powstaniu pracował on wiele na polu publicystyki w Galicyi i na Węgrzech, gdzie podobno umarł.

Gołemberski dał mi zlecenia do naczelników powiatów miechowskiego i olkuskiego, jakoteż polecił jechać do Warszawy w ważnej misyi ustnie się tylko załatwić dającej.

W okolicy Szkalmierza, czy Proszowic odkryłem z przyjemnością kolegę mego młodszego z Petersburga, Tadeusza Cieszyńskiego (zmarł on w Paryżu 1867 r.) Dalej ominąwszy Miechów, gdzie się rozsiedli już Moskale, pojechałem bez przeszkód przez Żarnowiec, Pilicę do stacyi kolei w Zawierciu, a stamtąd do Dąbrowy Górniczej.

Naczelnikiem powiatu olkuskiego był wtedy Wincenty Siemiński, jeden z czterech braci, już dziś nieżyjących. Brali oni czynny udział w powstaniu, będąc współwłaścicielami wsi Zagórza, wraz z fabrykami i kopalniami, tuż pod Dąbrową Górniczą.]

Gdy się pan Wincenty dowiedział, że mam jechać do Warszawy, prosił mię, bym zabrał od niego list do Rządu Narodowego. Chciał on, zdaje mi się, zakomunikować w Warszawie skargi niektórych „obywateli“ na rzekomo grubijańskie obchodzenie się z nimi dowódcy oddziału Oxińskiego. Przed wyjazdem faktycznie wręczył on mi nie karteczkę z bibułki, jak to było w zwyczaju organizacyi, lecz całą ekspedycję na wielkiej kopercie zaadresowaną:

„Do Rządu Narodowego“

w Warszawie.

Widocznie, pewność siebie nas obu zaślepiła, jego że napisał, a mnie, że wziąłem do bocznej kieszeni palta podobną ekspedycję,—i to jadąc do strzeżonej pilnie przez Moskali Warszawy. Bez wszelakiego więc niepokoju, wsiadłem do pociągu w Dąbrowie, a w kilkanaście godzin znalazłem się w Warszawie, na dworcu kolejowym.

Tu dopiero, gdym zobaczył, jak przy wejściu z peronu żandarmi pasażerów rewidowali osobiście, przeszukując niektórych i po kieszeniach, poznałem całą nierozwagę i lekkomyślność naszą!

Za późno jednak było się cofnąć, lub próbować zniweczyć korespondencję, znajdującą się w kieszeni. Postąpiłem więc śmiało naprzód i korzystając ze znajomości języka moskiewskiego, przemówiłem do żandarma słów kilka. Los chciał, że moje kieszenie nie skusiły go, obmacawszy mię tylko po wierzchu, przepuścił.

Była to jedna z chwil najprzykrzejszych, lecz trwała krótko,—bo tylko czas potrzebny do obmacywania kieszeni i okazania paszportu.

Od siedmiu czy ośmiu miesięcy nie byłem już wtedy w Warszawie, a wydała mi się ona taką samą, jak była poprzednio, ożywiona, ruchliwa, odświeżona i rzechy można, swobodna. Prawie nic więzów nas krępujących nie znać było na tej stolicy naszej, tak, że gdyby czarodziej jaki postawił był kogo obcego naraz w Warszawie, to nigdy nie domyśliłby się, że w tem gwarliwem mieście bije zakrwawione serce ojczyzny naszej, szamocącej się podówczas z wrogiem w śmiertelnych uściskach.

Przy ulicy Chmielnej, czy Marszałkowskiej, od-

szukałem z łatwością biuro architektoniczne Rafała Krajewskiego, jednego z pięciu męczenników, którzy po upływie kilkunastu miesięcy na szubienicach moskiewskich zawisnąć mieli.

O ile mię pamięć nie zawodzi, był to człowiek ponad lat 30 liczący, wzrostu średniego, z włosami blond i takimże zarostem, z nosem wydatnym i niebieskimi oczami. Takie przynajmniej wrażenie po nim mi zostało.

Był on, zdaje się, małomówny, bo wysłuchawszy mojej relacji i odebrawszy ekspedycję, „Do Rządu narodowego“ zaadresowaną, rzekł mi tylko:

—To bardzo nieostrożnie, lecz ponieważ to pana nie przstraszyło, to i ja panu dam coś do przewiezienia w Sandomierskie i Krakowskie. Trzeba jechać kuryerką na Radom. Proszę przyjść jutro.

Nazajutrz stawilem się i oprócz ustnych zleceń, Krajewski obdarzył mię przeszło stu arkuszami niebieskich kwitów, na podatki narodowe, kilkunastoma pieczęciami przeznaczonemi dla powiatów i miast dwóch województw.

Więcej już Krajewskiego nigdy nie widziałem.

Pieczęcie włożyłem do kieszeni ubrania mego, a papierami otoczyłem się pod kamizelką jak pancerzem i tak skierowałem się do hotelu Saskiego, gdzie się zatrzymałem po przyjeździe.

Na ulicy Wierzbowej, blisko placu Teatralnego, usłyszałem nagle głos, wołający mię po imieniu i pytający:

—A co to, ty żyjesz? Przecieżeś ty zginął gdzieś na Kujawach!

Wykrzyknik ten, wielce niebezpieczny, wyrwał się był memu dawnemu koledze szkolnemu i uniwersyteckiemu Bronisławowi Grabowskiemu.

Chwycony za rękę do uścisków, popuściłem mój pancerz z kwitów, który zaczął się obsuwać i wyłazić z pod kamizelki. — Wstąpiliśmy więc do sieni, gdzie przez nikogo niepostrzeżeni, zaradziliśmy złemu. Kolega zaś dowiedziawszy się, że to nie ja, a zacny nasz towarzysz, Józef Stępowski, ubrany w koszulę znaczoną mojem nazwiskiem, poległ na polach ciepłińskich, — poszedł dalej swoją drogą.

Nazajutrz pierwszą kuryerką (tak nazywano wówczas dylizanse pocztowe) wyruszyłem z głównej poczty.

Na rogatce jerozolimskiej miałem znowu niespodziankę: „niebiescy bowiem duchowie“, czyli żandarmi rewidowali tam nie tylko pakunki, ale i osoby.

Kazali nam z powozu wysiadać, a gdym zobaczył, co robią z innymi, przyszła mi myśl spróbować wszechwładnego na Moskali środka. — Papierowy mój pancerz był wprawdzie tym razem na gołym ciele, utwierdzony, lecz o pieczęcie, wypychające kieszenie, lękałem się.

Gdy więc przyszła na mnie kolej, żandarmowi dwuzłotówkę w łapę wśliznąłem, a on rękami po mnie przeciągnął i rzekł: „haraszo!“

Potem przy moście na Pilicy, zburzonym przez Kononowicza a budowanym wtedy przez saperów moskiewskich, stały znowu dwa posterunki wojskowe, po obu stronach rzeki, — ale tam nie było „duchów niebieskich“, a z „Mochami“ mówiąc po moskiewsku, łatwo sobie dałem radę.

W Radomiu i Kielcach nie miałem żadnego alarmu i oddałem, co komu należało, poczem pojechałem zdać sprawę naczelnikowi województwa z ustnie danych mi zleceń.

A były to ostatnie moje odwiedziny Warszawy, mające za cel wyprawę „Do Rządu Narodowego.“

Lwów w Grudniu 1898 r.

VI.

Czengery.

Niema zapewne nikogo w Polsce całej, z ludzi starszych i inteligentnych, którzy pamiętają wypadki powstania 1863 i 64 roku, ani z młodszego pokolenia zajmującego się choć trochę przeszłością narodu, ktoby nie słyszał o Czengerym, dzikim satrapie moskiewskim.

Wiele już papieru zapisano o nim i po polsku i po moskiewsku, wiele z jego czynów i działań znalazło dotychczas ocenę więcej lub mniej sprawiedliwą, a to stosownie do obozu do jakiego piszący należał, ale sądzę, iż nie od rzeczy będzie podać do wiadomości niektóre drobniejsze, bo osobiście dotyczące faktu, które mogą historykowi posłużyć do uzupełnienia i uwypuklenia charakteru i moralnej jego wartości.

Piszący te słowa miał wielokrotnie sposobność zetknąć się i to w wybitnych chwilach z tym kacykiem, i uchwycenia wydatnych rysów, tej już dziś, bądź co bądź, historycznej postaci.

Może z tych szkiców okaże się, iż ów dziki Czengery, ów krwiożerczy postrach matek i dzieci polskich, rabuś i podpalacz bezlitosny, miał jeszcze chwile dodatnie, i nie był najgorszym, z najgorszych siepaczy cara.

A więc w imię Boga! zbierzmy nasze wspomnienia z pobytu mego na ziemi krakowskiej i sandomierskiej, wspomnienia rozpieczętowane przez 37 lat tułania się po świecie.

Naturalnie, że podam tylko te fakta, których jestem pewien, a co do osób, z którymi się stykałem, oddam mimochodem, cześć ich zasłudze, i wymienię je o tyle, o ile one są już na sądzie Boga, lub przez zemstę moskiewską osiągniętymi być nie mogą,

W pewnych razach choć z bólem w sercu pomnę nazwiska ludzi i miejscowości, aby tem nie zaszkodzić nikomu.

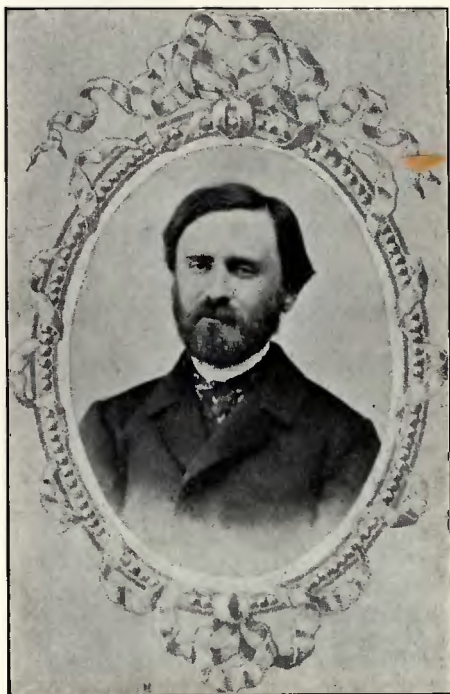
Wyłizawszy się z uszkodzeń cielesnych, które były następstwem potyczki z Moskalami pod Cieplinami (nazywano ją bitwą bądź pod Przedczem, bądź pod Izbicą) na Kujawach, gdzie mię powstanie zaskoczyło, powróciłem dla rekonwalescencji w Krakowskie, jako moje rodzinne okolice.

Pobył u matki mojej w Jędrzejowie był niebezpiecznym, gdyż tam Moskale częste robili przemarsze; wypoczywałem więc przez dni kilkanaście na wsi w Bizorendzie ponad Nidą w bliskości Małogoszcza w domu szwagra mego.

Przybyłem w Krakowskie około 2-go marca 1863 roku, a więc w dni kilka po bitwie i klęsce naszej pod Małogoszczem.

Była to niezaprzeczona klęska, gdyż, jak wiem od naocznych świadków, na zgliszczach spalonego miasteczka 220 trupów nagich, obdartych i strasznie pokaleczonych, na cmentarzu małogoskim pochowano.

Było to zwycięstwo pułkownika moskiewskiego Czengerego, nad bezbronną miejsciną, zemsta, wywarta za to, iż oddziału Langiewicza zniszczyć mu się nie udało! Rabunek, pożoga były jego bronią i zachętą do odwagi dla jego żołdactwa, zaprawionego już na rzeziach i pożogach w Wąchocku, Bodzentynie i Staszowie.



ADOLF PIĘKOWSKI.

Minister policyi ostatniego Rządu Narodowego.
Zmarł w Paryżu w 1868 r.

Czengery, podówczas pułkownik, dowódca smoleńskiego pułku piechoty, urodził się podobno na Wołyniu z matki Polki a ojca Węgra. (Czengery zdaje się po madiarsku znaczyć „Cygan“). Mówił on po prawnie po polsku, a był gorącym katolikiem na swój sposób. Nie był on więc Moskałem z urodzenia, lecz tylko najemnikiem i służalcem cara.

Znajomość moja z nim polegała w tem, że w roku 1860 lub 61, przy jakimś przemarszu przez Jędrzejów, widział mię w mundurze studenta uniwersytetu petersburskiego i kilka wyrazów po moskiewsku ze mną zamienił.

Potem zaznajomiliśmy się lepiej, a w jakich okolicznościach, to się okaże z mego opowiadania.

Kłeska małogoska, jakkolwiek otrąbiona, jako zwycięstwo nasze, wywarła przynębiające wrażenie w okolicy, mogącej ją z bliska ocenić. — Wydostanie się jednak z matni moskiewskiej Langiewiczza, połączenie się jego z Jeziorańskim, a wypłynięcie i okazywanie się obu oddziałów w Ojcowie, szybko zatarły to wrażenie.

Gdy zaś roznieśli się wieść o szczęśliwym ataku naszych na Moskali, oszańcowanych na cmentarzu w Skale, o wielkiem formowaniu się w Goszczy, to i otucha nowa wstąpiła w serca mieszkańców województwa.

Ogłoszenie dyktatury w Goszczy w dniu 8 marca 1863 r. wprowadziło jednych w zachwyt, innych w osłupienie, a wogóle doniosłość takiego faktu wywołała wielkie zdumienie.

Hamletowskie „być albo nie być“ stanęło przed oczami Moskali, którzy porozumiawszy się, zaczęli oskrzydlać ze wszech stron dyktatora. — Załogi Kielce, Olkusza i Staszowa, jako najbliższe, najwięcej nacie-

rały, a poza niemi ruszyły się także wyprawy morskiewskie i z Radomia i z Częstochowy.

Czengery, jako najstarszy i najsilniejszy, kierował ruchami.—Z ośmiu kompaniami piechoty swego pułku dwoma działami, dwoma szwadronami dragonów i ty-leż kozaków spieszył przez Chęciny, Jędrzejów i Pinczów na spotkanie z boku Langiewicza, mającego przed sobą załogę staszowską, a za sobą kniazia Szachowskiego z załogą olkuską.

Utarczki pod Chrobrzem i Welczem z wojskiem Czengerego następowały po sobie, a zakończyły się generalną bitwą w lasach pod Grochowiskami dnia 18 marca 1863 r.

Odnieśliśmy zwycięstwo, gdyż Moskałe się cofnęli, a dwie kompanie pułku kostromskiego ze Staszowa srodze kosami poturbowane zostały.

W parę dni potem widziałem pole bitwy a raczej wyręb w lesie, gdzie zasiekano kupę Moskali pomiędzy sągami, a trzech z nich rannych okrutnie, bo z pociętymi ramionami i obojczykami widziałem w szpitalu narodowym w Pinczowie.

Wiadomo jednak, że było to niestety zwycięstwo Pyrrhusowe!

Rada wojenna w Welczu,—postanowienia tej rady, aby rozdzielić korpus dyktatora na oddziały, wobec osaczających wrogów — to wszystko nieznanem było ludności, a dopiero znacznie później do jej wiadomości doszło.— Ogół sądził z tego, co widział — widział on niby zwycięstwo—a potem rozstrój, wyjazd dyktatora i jego generałów, zakrawający na ucieczkę znacznej części czterotysięcznego korpusu—i w zwycięstwo takie wierzyć przestał!

Sami Moskałe zdumieni byli, a zwyciężony Czengery stopniem generalskim nagrodzony został — dzieńcodniowy zaś dyktator oparł się w Igławie!

Lecz to wszystko, niestety, zanadto dobrze jest znane i nie moją rzeczą zastanawiać się nad przyczynami tej klęski.

W owym czasie, po odpoczynku, byłem już w pełni w czynnej służbie organizacyi województwa krakowskiego.

Robiłem wszystko co możebne, aby przeszkodzić upadkowi ducha wśród mieszkańców, — a spełniając polecenia władz narodowych, tak jak w oddziale nie pytałem „po co i dlaczego“ w przekonaniu, iż tylko bezwarunkowe posłuszeństwo może zapewnić tryumf idei w czasach powstania!

Rozpatrzywszy się w okolicznościach, widziałem, że Moskale zajęci stłumieniem powstania na miejscu i skupieniem sił do tego celu, nie wiedzą nic, co się dzieje w innych województwach, doszedłem do przekonania, iż nie mają oni wyobrażenia o mojej najbliższej przeszłości kujawskiej — Przestałem więc ich unikać w rodzinnem miasteczku, a wkrótce i do Kielc dojeżdżać zacząłem. — Mając tam jedną z sióstr moich, częściej tam przesiadywałem, poznałem się nawet z kilkunastoma dragonami, którzy w stajniach mego szwagra kwaterowali.

Naczelnikiem miasta Kielc był mój dawny kolega, którego obowiązki na miejscu trzymały, organizacya miała tam bardzo czynną a dobre stosunki z oficerami nawet Moskalami związane przed powstaniem, okazywały się pożytecznymi.

Kilku oficerów Polaków i kilku Moskali należało do tych idealistów, którzy mieli powstać razem z nami, lecz gdy przyszło do rzeczy, to szli przeciwko nam, ograniczając się do informowania nas o ruchach swoich, jeżeli te znali dosyć jeszcze na czasie.

Zdarzyło mi się kilkakrotnie przepędzić wieczory

z tymi panami i słuchać krytyk naszych wodzów z punktu widzenia czysto wojskowego. — Nie wątpię, iż gdyby szanse powstania choć trochę się były powiększyły, — to kilkunastu z nich do nasby było przeszło.

W rzeczywistości skończyło się na dwóch oficerach i jednym z acnym 20-stoletnim młodzieńcu Bolesławie Łackim, który jako junkier w owym czasie wyszedł do oddziału Bończy, lecz nieszczęśliwy schwytany w parę miesięcy potem w bitwie z Chmielińskim, skazany na śmierć, rozstrzelany został w Radomiu.

Czengery tam go wysłał, bo jak zwykle urzędowe wyroki śmierci i egzekucye od siebie oddalał.

Cześć pamięci z acnego młodzieńca!

Obcując wielokrotnie z oficerami Czengerego, nie dziwiłem się ich postępowaniu, choć sam nie umiałbym pogodzić mych sympatyj dla powstania z jednocześnie walczeniem przeciwko niemu, lecz oburzała mnie ta wielka ilość cywilnej młodzieży, staczającej walki przy bilardzie pomiędzy sobą, uprawiającej dość głośno patryotyzm po knajpach i cukierniach. — Tak tu jak i na Kujawach spotykałem się z tem nieszczęsnem opóźnianiem szewców w przygotowaniu odpowiednich butów, lub z wyczekiwaniem na jedwabną bieliznę, mającą uchronić ciała patryotów od wielu paskudnych przypadłości!...

Wyjeżdżałem z Kielc i powracałem, kręcąc się po całym województwie i spełniając wszelkie możebne mniej więcej bezpieczne funkcyje. Bardzo często zwiedzałem niektóre formujące się oddziały, zawożąc im informacje o zamierzonych ruchach moskiewskich, jakoteż rozkazy, pieniądze itp. pośredniczyłem również w porozumieniach organizacyjnych całego województwa.

Dziś szczegółów tego nie pamiętam a co wybitniejsze to na innem miejscu opisałem.

Tu zanim powrócę do wątku mego opowiadania, wspomnieć muszę fakt nadludzkiego poświęcenia, jaki w owym czasie zdarzył się w Kielcach. Szkoda tylko że nazwiska uleciały z mej pamięci.

Po bitwie małogoskiej Moskałe przywieźli jako więźnia ciężko poranionego chłopca około lat 19, mularza z profesyi, z Warszawy. Leżąc przez trzy dni na mrozie, miał on obie ręce i nogi odmrożone, a po wyleczeniu go w szpitalu cy ilnym, gdzie mu jedną dłoń prawie po łokieć a obie stopy prawie po kolana odjęto, Moskałe byli w kłopotcie, co z tym tak nieszczęśliwym kaleką zrobić?!

(Fakt ten szczegółowo opisałem w opowiadaniu pod tytułem „Łzawe wesele“.)

I, o szczytce poświęcenia ponad siły, — znalazła się szlachetna dziewczica polska, biedna nauczycielka, która nie mogąc podjąć się w inny sposób opieki nad biednym, młodym kaleką, nie wahała się połączyć z nim dozgonnym węzłem!! Cześć ci najszlachetniejsza z Polek, tylko w niebie może cię spotkać za to nagroda.

Pisząc o Czengerym, nie mogę pominąć faktu charakterystycznego a mianowicie, że zdarzyło mi się w Kielcach być kilkakrotnie świadkiem, jak Czengery wysyłając oddziały swoich żołdaków przeciw powstańcom, dawał im na rynku w Kielcach swoje, że tak powiem błogosławieństwo, wysyłane wojsko formowało się zawsze w czworobok zamknięty, w środku którego miał Czengery do żołdaków przemowę półgłosem zwykle wypowiedzianą.—Kończyła się ona jednak zawsze niezmiennie głośno wypowiedzianemi słowy: „nie dawać paszczady miatieżnikom!“ co się tłumaczy

„bądźcie bez litości dla buntowników!“ i kończyła się obietnicą pohulanki—„pogulajecie rebiata“!!..

To gwałt, rzeź i pożoga!!!

* * *

W końcu kwietnia książę Konstanty Mikołajewicz, namiestnik carski, ogłosił amnestye, na mocy której wszyscy, biorący udział w powstaniu, mieli być wolni od wszelkiej odpowiedzialności, byleby złożyli broń do 1/13 maja 1863 roku.

Naród na to odpowiedział zdwojeniem energii w organizowaniu powstania. Gdy jedne oddziały upadały, to drugie się formowały na ich miejsce, a generał Czengery, już jako naczelnik wojenny okręgu kieleckiego, wściekał się na nieśmiertelnych Czachowskiego i Chmielińskiego.

Gdzieś ku końcowi Czerwca 1863 r. połączyłem się w Górach z oddziałem żandarmskim Bogusza, od paru tygodni sformowanym, a połączyłem się z nim, nie jako żołnierz lub podwładny, lecz jako „komisarz żandarmeryi narodowej województwa krakowskiego“, jak opiewała nominacya moja.

W nominacyę tę ubrał mię mój zacny starszy kolega z Petersburga, Adolf Pieńkowski, który był wówczas nauczycielem gimnazjum pinczowskiego, było to w następujących okolicznościach.

Gdy powróciłem z wyprawy mojej „Do Rządu Narodowego“, Gołemberskiego już nie zastałem na stanowisku naczelnika województwa. Wyjechał on, a obowiązki te spełniał mój zacny kolega. Do niego się więc udałem, dla zdania sprawy z mej misyi. Gdy w pogawędce wyraziłem mu żartobliwie powinszowania moje z tak wysokiego dygnitarstwa, jakie sprawuje, dodając, iż to jest niezawodna droga dojścia

wyżej jeszcze, bo na moskiewską szubienicę, odrzekł mi z właściwym mu ironicznym uśmiechem:

— A, ty myślisz, że ciebie także same wysokie stanowisko nie czeka, gdy się dasz złapać? Zresztą ja ci to ułatwię i dam ci nominację, która już cię nie zawiedzie.

Tu mi wyłożył, iż okazuje się potrzeba sformowania kilku oddziałów żandarmskich, tak zwanych konnych strzelców, mających za zadanie tak powściągnięcia opryszków, utrzymanie porządku i powagi władz narodowych, jakoteż zastraszanie formujących się oddziałów, przez alarmowanie i odciąganie w inną stronę Moskali.

W celu zaś uniknięcia nadużyć władzy ze strony takich oddziałków i ich dowódców, nominuje on mnie komisarzem żandarmów w województwie. Miałem więc czuwać jeszcze nad dowódcami, nie mieszając się w ich zarządzenia wojskowe, a zarazem mieć pieczę nad ich potrzebami i bezpieczeństwem. Zadanie trudne, ciężkie, delikatne a wielce niebezpieczne, lecz czegoż się to człowiek nie podejmie, gdy mu sprawa narodowa na sercu leży?

Uposażył mię potem pocziwy Adolf (w r. 1868 pochowaliśmy go w Paryżu na cmentarzu Montparnasse) w mapy topograficzne województwa, nominację na imię Rzepeckiego i blankiety wojewódzkie do wydania pokwitowań na rekwizycye i ewentualne zarządzenia.

Na razie był tylko jeden oddział żandarmski Bogusza i z tym się w Górach połączyłem. Z oddziałem Junoszy nie spotkałem się.

Oddział porucznika Bogusza składał się z 60 koni; żołnierze dobrze byli uzbrojeni, mieli bowiem karabinki, pistolety i pałasze.

Przy oddziale bawiło czasowo kilku oficerów z innych oddziałów, a między nimi młody major Denisiewicz, który już w wielu bitwach się odznaczył; lecz będąc charakteru bardzo burzliwego, nie zgadzał się często ze swoimi przełożonymi.

Był to piękny młodzieniec, lat około 22, syn moskiewskiego pułkownika zandarmów z Pułtuska czy Łomży.—Walczył dzielnie, lecz skłonny był bardzo do burd i hulank, nie licujących z zadaniem powstańcem.

Miał więc dużo przejść i pomiędzy swymi, a zginął po bohatersku, rozstrzelany przez Moskali w Radomiu—a to w kilka miesięcy po wypadkach, które mię zajmują.

Komendant, Bogusz Mazurkiewicz, był to sobie dobry, młody człowiek, bez żadnych wybitnych zdolności; wojskowym on wcale nie był, poddawał się więc wpływom Denisiewicza i pod tym względem.

Znaleźliśmy się w Górach, to jest w miejscu, gdzie biedny Bończa, opuszczony przez swych żołnierzy, tak okrutnie pocięty i pokłuty został 20 Czerwca.

Potem wędrowaliśmy śladami dyktatora przez Chrobrz, Wełcz, Grochowiska, a zbliżający się do Daleszyc oddziałek, zaalarmował Moskali w Kielcach i skrył się w lasy Świętokrzyskie.

Naturalnie, że ja będąc bezbronnym na bryczce, to wyprzedzałem oddział, przygotowując mu przyjęcie, to za nim zdala jechałem, czuwając nad tem, by go nie napadnięto. W ciągłym jednak porozumieniu z Boguszem, codziennie ze dwa razy z oddziałem się łączyłem i znowu odjeżdżałem.

Tak wędrując, znaleźliśmy się gdzieś o trzy mile za Staszowem ku Sandomierzowi—we wsi Pipale Tam nie będąc poznanym, w dwóch synach gospodarstwa,

tegich jak dęby chłopach, rozpoznałem dwóch moich kolegów kieleckich. Byli to dwaj bracia Św..., którzy jeszcze swych powstańczych butów od szewca wy-dostać nie mogli!

Stantąd zaalarmowaliśmy Moskali w Staszowie, lecz źle nam się udało, bo Moskałe idąc w tropy nasze, puścili się za nami w pogoń w lasy Śto Krzyskie.

Wieść o pogoni w sile dwóch kompanij piechoty i sotni kozackiej doszła nas w Ociesenkach, gdzieśmy odpoczywali nazajutrz popołudniu.—Trzeba było schronić się w lasy i około 8-ej wieczorem stanęliśmy w wiosce Cisowie, otoczonej zewsząd lasami. Koniom popuszczono popregi, dano owsa, gdy nam dano znać że Moskałe idą. Rozstawiono pikiety, wysłano podjazd ku Ociesienkom z Denisiewiczem na czele.—Noc była ciemna, choć oko wykol.

Porozumiawszy się z Boguszem, postanowiłem i ja wyjechać na zwiady, ale boczną drogą. Mój woźnica—żandarm, również jak ja dróg w lasach nie znał; wystudyowałem tylko na mapie i na pamięć końmi kierowałem.

Miałem zamiar omijając z boku Ociesenki, w najbliższej wiosce zasięgnąć języka o ruchach Moskali.—Ciemność jednak w gęstym lesie zbłądzić mię zmusiła.—Wyjechałem o 10-ej z Cisowa a około 1-szej w nocy jeszcze nie wybrnąłem z lasu.

Nareszcie z ciasnych drożyn wydostałem się na szeroką drogę a potem w jakiś głęboki wąwóz. Ciemno tak było, żeśmy się z woźnicą nie widzieli.

Nagle zabrzmiało nad nami moskiewskie: „Kto idiot?“ A ja nie tracąc przytomności, odpowiedziałem: „Swój!“

Była to pikietą kozacka, ciasnota i głębokość wąwozu nie pozwoliła jej zbliżyć się do bryczki, —ciemność zaś widzieć przeszkadzała.

Bez namysłu więc, chwyciłem pakiet zawierający mapy całego województwa, jakoteż moją nominację i blankiety a wsuwając go w rękę woźnicy, skorzystałem z turkotu wozu po kamieniach, aby mu szepnąć:

— W tem moje życie, weź to i ukryj, jak mnie każą zejść z bryczki!

Kozacy rzeczywiście nas do wsi odprowadzili, a gdy wjechałem na podwórze, gdzie żołdactwo przy ogniach biwakowało, poznałem, iż się znajduję w Ociesenkach, które ominąć zamierzałem.

Wprowadzono mię do pokoju, gdzie kilku oficerów popijło herbatę. Srogo mię przyjęli, lecz mój poprawny akcent petersburski, jakoteż paszport od burmistrza na moje prawdziwe imię, który im okazałem, zdawał się ich przekonać, że rzeczywiście, jadę do Sandomierza, w celu otrzymania stanowiska nauczyciela a po nocy z drogi zbłądziłem.

Kazali mi siadać i czekać, dopóki oni nie wymaszerują i wyszli, zostawiwszy mię pod opieką żołnierzy.

Byłem zaniepokojony, zdawało mi się, że słyszę płacz i krzyk, lecz w zgiełku żołdatwa nie byłem tego pewien.

Nagle wpada oficer, wołając z wściekłością: „aresztować go, zrewidować go“!

Żołdactwo się rzuciło, zdarto ze mnie ubranie, przetrząsnięto kieszenie, obmacano najdokładniej a gdy nic nie znaleziono i ja chciałem się ubierać, nietylko że mego portfela z pieniędzmi, zegarka ale i palta znaleźć nie mogłem.

Zimna jednak krew i przytomność umysłu nie opuszczały mię, a przy pomocy dobrej moskiewskiej wymowy, wszystko się odnalazło, oprócz czapki, a żołdatom po pyskach się dostało.

Następnie wypędzono mię na podwórze pod strażą i koło ogniska postawiono. Z rozmów i wymyślań żołnierzy widziałem, że nie wesołe chwile obiecuje mi ich towarzystwo, nawoływałem więc ciągle oficera, ale napróżno.

Wkrótce zawrzało jak w kotle, obozowisko gotowało się do drogi. Mnie wsadzono na wóz z trzema żołnierzami, ale krzyczał i wołał tak długo, ażem zmusił jakiegoś „prapora“, iż siadł ze mną.

Choć w ciemności to z kierunku widziałem, iż zmierzamy ku Cisowu, a choć wiedziałem o zarządzonej podjeździe Denisiejczyka, to głęboko w duchu się modliłem, aby Bóg wybawił z nieszczęścia tę garstkę naszych!

Były to bowiem owe dwie kompanie piechoty i sotnia kozaków pod komendą kapitana Pleskaczewskawo, małorusina.

Cisów od Ociesek jest o jakie 10 kilometrów oddalony, a z tego prawie 7 kilometrów przez las sosnowy, po drodze pełnej korzeni i piasku.

Wóz mój znajdował się ku końcowi kolumny, a może z kilometr mieliśmy jeszcze lasu, gdy dał się słyszeć strzał na przodzie. Moskale zakomenderowali „biegom“! a ja przesłałem do Boga gorące westchnienie: Ocal ich Panie!“

I znowu drugi strzał, i znowu komenda pospiechu; może aby ulżyć podwóźnie, przesadzono mnie na bochenki czarnego chleba, naładowane w chłopskie gnojnice, wraz z trzema stróżami.

Skakaliśmy więc z tym chlebem po korzeniach, o ile konięta, bite przez żołdaków, ciągnąć mogły — a tu i świtać poczęło.

Zdała słychać było raz po raz trąbkę sygnałową, a ja z całym taborem wozów zostałem dobrze

w tyle pomimo razów, dawanych przez Moskali i koniom i woźnicom.

Podziwiać należało wytrzymałość żołdactwa, które kłusem przynajmniej 8 kilometrów biegło!

Gdyśmy wyjechali na polankę Cisowską (z półtora kilometra średnicy), już niebo na wschodzie się zaróżowiło i mogłem widzieć zdaleka kolumnę biegnących Moskali na prawo ku wierzchołkom wysokich topoli, wyłaniających się z zasłoniętej doliny rzeczki. Te topole, otaczające kościół i plebanię, złudziły ich, przedłużając drogę do dworu, który skromnie leżał dalej w dolinie nad tym samym strumieniem przy krawędzi przeciwległego lasu. Kozacy polecili do topoli, za nimi i piechota, a potem wracać musieli, co dało Boguszowi więcej czasu do odwrotu.

Gdym już dojechał do bramy folwarku, raczej, dworu, zobaczyłem następującą scenę: Moskałe wybijali okna, łamali drzwi i meble, pierze z poduszek wypełniało powietrze, jak i krzyki kobiet o litość błagających. Na podwórzu spostrzegłem trzech powstańców Bogusza, którzy, wracając z pikiet, wpadli w ręce wroga. Rzucili oni broń, poddając się, a Ple-skaczewskij słowami: „bez poszczady rebiata“, ich śmierć zadekretował.

W jednej chwili bagnety, kolby, lufy karabinów, spadły na nich, i w mgnieniu oka zostały tylko nagie, skrwawione ich ciała!!!

Tylko częściowo mogłem to widzieć z za bramy, siedząc na moim chlebie, a serce ze zgryzoty bić mi przestało....

Raptem jeden z moich stróżów, poczuwszy krew i rabunek swoim tygrysiem węchem, pobiegł zbliżyć to widzieć i powrócił wściekły, że inni a nie on zdo-
byli buty i ubranie ofiar.

Zapieniony więc żądzą i zazdrością, wskazując na moje buty, zwrócił się ku swym towarzyszom, krzycząc:

— Tam takie piękne buty zdobyli na miatieżnikach, a my tutaj musimy pilnować tego łotra mąszennika!

To mówiąc, cofnął się dwa kroki i zmierzył aby lepiej pchnięcie bagnetu mi wymierzyć — gdy Bóg mię natchnął:

— Pięć rubli! — wykrzyknąłem do mego stróża po lewej stronie, a ten zręcznem zastawieniem karabina cios mnie wymierzony, odbił!

Byłem więc ocalony, a obrońca niezwłocznie wszedł w posiadanie pięciu rubli i ostro zganiał bandytę.

Gdy piekielny hałas moskiewskiego „gulanija“ przycichł trochę, otworzono bramę i wpuszczono mnie z wozem w podwórze, a jaskrawe słońce oświecało starszyny obraz mordu, gwałtu i zniszczenia!

Była może piąta rano; na podwórzu leżały trzy nagie, okropnie pokaleczone i skrwawione trupy, dwa domki folwarku przedstawiały obraz odwiecznej pustki, ziemia usłana szczątkami mebli, powietrze napelnione pierzem, po kątach zaś szlochały na pół nagie kobiety folwarczne, potrącane bestyalsko przez rozbestwionych żołdaków.

Na trawniku podwórzowym było już kilku więźniów — mnie więc do nich przyłączono. Straż nas otaczała, odzielając od tuż rozciągniętych trupów, którymi nikt nie myślał się zająć.

Oficerowie wesoło spożywali śniadanie i popijali w ruderze, którą wczoraj zajmował ekonom z rodziną, a żołnierska przeklinając powstańców, do chleba i wódki się zabrali.

Nagle padł jeden strzał, potem drugi w sąsiednim lesie—trąbka zagrała na alarm, żołdaci się sformowały, biorąc więźniów (a było nas już trzynastu) przed siebie — wchodząc do lasu, każdy z nas grał rolę tarczy dla jednego lub dwóch Moskali, którzy nas bagnietami naprzód popychali.

Przełakłem się więcej o oddział Bogusza, jak o siebie, bo zdawało mi się, że sprawa ze mną już skończona.

Na szczęście alarm był fałszywy i pochodziwszy tak po lesie z pół godziny, powróciliśmy na nasze stanowisko.

Słońce zaczęło przygrzewać, a może to pod jego wpływem zauważyłem niejaki ruchy i westchnienia w ciałach pomordowanych.

Podniosłem więc wielki krzyk do oficerów, odwołując się do ich honoru wojskowego i uczuć ludzkości.

Po kilkakrotnem, a coraz głośniejszem wołaniu, otrzymałem wreszcie to, że pozwolono kobietom przemieścić te ciała, pokryte już muchami, do drugiej chałupy i tam je na słomie złożyć.

Znalazł się nawet jakiś felczer wojskowy, który plastrem rany im pooblepiał, twierdząc ciągle, że to zbyteczne,—bo to już są same trupy.

(W rok przeszło potem jednego z tych biedaków spotkałem zdrowego w Zurichu, a dwaj inni ponoś pozostali w Cisowie na zawsze).

Tymczasem kozacy powrócili z pogoni i znowu kilku więźniów przyprowadzili. Było nas więc coś 18-stu a żaden z pojmanyh nie był z oddziału powstańczego, tylko były to dzieciaki i różne włóczęgi po drogach przez kozaków połapane.

Znalazł się tam i mój woźnica Piotr, ale ja domyślając się jego zdrady, zbliżyć się do niego nie chciałem.

Słońce się podnosiło i piekło mię w nieokrytą głowę: głód i pragnienie bardzo dokuczać poczęły.— Znowu zaalarmowałem oficerów, a głośną moją petersburską wymową, otrzymałem nareszcie, że nas przeniesiono do dwóch izb, w których biedne ofiary dzikości moskiewskiej złożone były. Wszyscy trzej jęczyli strasznie, choć ruchy ich były ledwo dostrzegalne.

Dano nam chleba czarnego i wody, a około południa na sam skwar największy zatrąbiono do pochodu.

W szeregach. otoczeni wojskiem, maszerowaliśmy przez lasy i bardzo ciężkie piaski, wszystko było w porządku, dopóki młody oficer trzymał się blisko, na prośby moje.

Lecz droga piaszczysta stawała się coraz cięższą, szeregi się rozluźniły, i już nie jak wojsko, ale jak gromada pielgrzymów wędrowaliśmy. — Oficerowi się sprzykrzyło, więc pojechał naprzód do innych, a wtedy żołdactwo robiło nam wszelkie możliwe dokuczliwości.

Mnie jako najlepiej ubranemu najwięcej się do stało: nie szczędzono mi ani razów, ani oplwania, ani szturchańców bagnetem lub piką, przy odpowiednich apostrofach mniej więcej jak następne: „Nie dziw że taka „swółocz“ jak ci (tu wskazywano na mych towarzyszy) buntuje się, ale ten „pamieszczczyk“ co ma i jeść i pić do syta, a kobiet ile dusza zapragnie, żeby ten się buntował przeciw carowi?“... Tu zwykle następowały obelgi słowne, czynne,— a poskarzyć się nie było komu, i tylko milczenie moje

zapewne mię ocaliło. Pchnąć bagnetem buntownika a powiedzieć, że on chciał uciekać, to tak łatwo!...

Dłuższy popas mieliśmy w słynnem niegdyś a-rykańskiem miasteczku Rakowie. Odpoczywaliśmy na rynku zarosłym trawnikiem a kobiety i dzieci chleb, ser i masło nam podawały. Stamtąd to dałem znać matce mojej o sobie, za pośrednictwem sekretarza magistratu, który korzystając z munduru swego, wszedł pomiędzy nas, w celu posłużenia każdemu wedle możności.

Na noclegu we wsi jakiejs, mój Piotr przyczółgał się ku mnie i rzekł: „Panie mnie bardzo bili, ja Moskali prowadziłem, ale papierów pana nie wydałem.“

Koło południa byliśmy w Staszowie, gdzie nas zaprowadzono do izby, w której było kilku więźniów tak, że w pokoju nie większym jak 5. m. na 6. m. było nas razem coś 23!

Rozumie się, mebli żadnych nie było, tylko trochę słomy pokrywało podłogę. Spiekota, zaduch ogromny, lecz we dnie temu zaradzano, iż drzwi były otwarte a w nich dwóch Moskali z karabinami, — lecz w nocy cudem tylko, żeśmy się nie podusili, leżąc na podłodze jeden obok drugiego.

Piotra, woźnicy mego tam nie było, zaraz po przypędzeniu do Staszowa, był odłączony a jak się potem okazało, Pleskaczewskij trzymał go u siebie, dla łatwiejszego ściągnięcia od niego zeznań.

W więzieniu zastaliśmy między innymi Leopolda Moncey'a, byłego kapitana wojsk austriackich, kapitana Maciszkiewicza, byłego porucznika tegoż wojska i młodziutkiego wówczas studenta politechniki lwowskiej Mieczysława Darowskiego. Byli oni wzięci przy przeprawie na Wiśle z oddziałem, pod dowództwem majora Moncey'a, nie pamiętam w którym miejscu.

Moskale uprzedzeni przez szpiegów, zaczaili się,

i opadłszy niesformowanych powstańców, prawie bez walki ich zabrali. Zaczny major Moncey opłacił to męczeńską śmiercią, po kilku bowiem miesiącach w Radomiu rozstrzelanym został Maciszkievicz zaś i Darowski wyreklamowani byli potem w Warszawie z rąk wrogów. —

Pomijając brud i ciasnotę w więzieniu Staszowskiem, było ono znośnem, komenderujący tam pułkownik Zwierow, był dość ludzkim, na przekór swemu nazwisku.

Z łatwością pozwolono na odwiedziny więźniów, w przytomności niby to oficera dyżurnego. Pocziwie więc nasze Polki pamiętały o nas i o potrzebach naszych, a śniadania, obiady i wieczery regularnie nas dochodziły,—i o innych potrzebach także nie zapomniano. Oficerowie dyżurni na gawędkę do nas przychodzili, a i kieliszka wina nie odmawiali wypić z nami.

Jedna szczególnie z dam była naszą stałą opiekunką (niestety, ani imienia, ani nazwiska przypomnieć sobie nie mogę), parę razy na dzień nas odwiedzała i przeprowadzała naszą tajną korespondencję.

Jej to zwierzyłem się, że obciążające mnie papiery, znajdując się według zeznania Piotra, w Ocie-senkach na podwórzu pod stosem belek, przygotowanych do budowy,— a na trzeci dzień już miałem wiadomość, że je faktycznie tam znaleziono i komu należy wręczono.

Będąc uspokojony na tym punkcie, z większą odwagą pozwoliłem się prowadzić żołnierzom do śledztwa w cztery dni po przybyciu. Sąd był w kwarterze Pleskaczewskiego a on sam był sędzią śledczym.

Nastawał on na mnie, bym się przyznał, że byłem naczelnikiem, komisarzem itd., twierdząc, że on to wszystko wie od Piotra. Zaprzeczyłem, wiedząc, że Piotr nie był w to wszystko wtajemniczonym, że papierów moich nie wydał i wydać już nie może. Wyrzucając więc Pleskaczewskiemu barbarzyństwo bicia człowieka, dla wyciągnięcia fałszywych zeznań, ograniczyłem się do zaprzeczeń.

To się powtórzyło jeszcze dwa razy, a na ostatku byłem skonfrontowany z Piotrem, któremu wobec Moskali wyrzucałem łagodnie jego fałszywe świadectwo, na co on się rozplakał i powiedział otwarcie, że tak mówił, bo go bardzo bito.

Co do mnie pomimo groźb, Pleskaczewskij nie posunął się nigdy ani do bicia, ani do zniewagi.

Obu tych ludzi już więcej potem nie widziałem: Piotra podobno Moskale wkrótce wypuścili, a Pleskaczewskij w parę miesięcy potem poległ w jakiejś potyczce z Czachowskim,— a tak morderstwo i gwałty cisowskie pomszczonemi zostały!

Tymczasem na alarm, zrobiony przez sekretarza z Rakowa, i rodzina i organizacja narodowa zajęły się mym łosem.

Pocziwe matczyisko z siostrą moją Izabelą i sześćioletnim bratem Włodzimierzem przyjechały do Staszowa, a organizacja wysłała tu swego członka, właściciela majątku z okolic Pinczowa p. Sierhiejewicza.

Wybór był znakomicie zrobiony, bo pan S. dobry patriota, jako były urzędnik wileńskiego generał-gubernatorstwa i moskiewski radca stanu, ozdobiony wielu orderami, miał i dostęp i znajomość dróg, któremi się najłatwiej Moskalom do przekonania trafia.

Przytem pan S. miał dług wdzięczności do spłacenia mojej matce, a mianowicie, że będąc niesłusznie

przed domem mej matki opadnięty przez tłum, który z przyczyny jego orderów i wymowy litewskiej miał go za moskala, a może i za szpiega, był dzięki interwencyi mej matki ukryty i co najmniej od zniewagi ocalony w r. 1861.

Pan S. zajął się mną serdecznie a utorowawszy sobie drogę do serca pułkownika Zwierowa kilku baryłkami „litewskiej starki“, przeprowadził zgrabnie z nim pertraktacye, iż za cenę 3000 rs. miałem być wypuszczony na wolność.

Zanim jednak to nastąpiło i ja o tem od mej opiekunki dowiedziałem się, byłem bardzo boleśnie dotknięty karteczką, którą mi ona wręczyła, a zawierającą te słowa tylko: „Giń, a milcz!“

Podejrzывano mię więc o zdolność do zdrady!!..

.....
Lecz i to się zatarło, gdym uściskał matkę i rodzeństwo a dowiedział się, jak ludzie dla mnie pracują.

Uwolnienie moje było zapewnione, gdy nagle nadeszła wiadomość, że generał Czengery nadjeżdża. Wszystko się zatrzymało!

I rzeczywiście nazajutrz Czengery w towarzystwie Zwierowa odwiedzili nas na naszym barłogu.

Pan generał prawie nie zwrócił uwagi na innych a tylko ciągle i wyłącznie przez jakie pół godziny mną się zajmował. Potoki obelżywych wyrazów po polsku i po moskiewsku wylewały się z ust jego. Zarzucał on mi czarną niewdzięczność względem cara, w stolicy którego uniwersytet ukończyłem, a wyrazy: „tacy smarkacze, naczelnicy, komisarze“, mieszały się z czasownikami: „powieszę, powieszę, powiesić każe“ itp.

Na końcu polecił Zwierowowi, aby mię wysłał do Kielc wraz z pierwszym transportem, a on mnie tam na rynku, wraz z bratem moim, powiesić każe!

Klamka więc zapadła, napróżno zacny pan S. starał się przerobić to ze Zwierowem. — Kazano mi się zrobić chorym, a nawet przysłano mi w tym celu emetyk, a wskutek tego i w szpitalu się znalazłem.

Lecz w szpitalu było jeszcze gorzej,—bo dwóch żołnierzy z karabinami na chwilę mnie nie odstępowało a gdy i Zwierow oparł się pokusom p. Sierhiejewicza, wolałem wrócić do wspólnego barłogu z towarzyszami.

Tak trwało ze trzy tygodnie, przez ten czas, wystudyo wałem od mych kolegów galicyjskiego preferansa z mizerką, w którego dla zabicia czasu na podłodze zabawialiśmy się,—aż nadszedł dzień wymarszu.

Konwojowały nas dwie kompanie piechoty z Kielc, z oddziałem dragonów i kozaków a komendę miał kapitan Fiedorow, mój znajomy. Pozwolił on matce i siostrze mojej jechać za oddziałem, a na popasach wchodziły one swobodnie pomiędzy więźniów. Nawet na noclegu w Chmielniku, wzięwszy odemnie słowo honoru, że nie będę próbował uciec, dozwolił na pozostanie wraz z matką naturalnie w zajeździe zajętym przez więźniów i wojsko.

Zdarzyło się, iż w konwoju byli dragoni, stojący kwaterą w Kielcach u mego szwagra; ci mię poznali i pokazywali innym jako: „kieleckiego majstra, którego generał powiesić każe“ wcale zły omen!

Drogę odbyliśmy na pół piechotą, na pół drabiniastemi wozami. gdy takowe Moskale na polu uchwycili, a ludność wszędzie o więźniach pamiętała.

Na trzy kilometry przed Kielcami ustawiono nas w szeregi, a około cmentarza czekał na nas pan generał ze swym sztabem i muzyką pułkową.

Zatrzymano nas przed nim i znowu zapominając o innych, przedstawił mię swemu sztabowi jako: „czarnego niewdzięcznika, komisarza, naczelnika, którego

zaraz powiesić każe“, poczem w tryumfalnym marszu do miasta nas wprowadzono.

Na rynku, ustawiono nas i wojsko; temu ostatniemu dziękował Czengery za dzielność i odwagę(?) —a wskazując na buntowników, oświadczył, że ich bić i mordować trzeba, i że na początek mnie, wraz z bratem na rynku powiesić każe.

Wieczór się jednak zbliżał a więc odprowadzono nas do „kryminału“.

Ja z częścią mych towarzyszy dostałem się do dwóch wielkich izb, tak że z tymi co tam już byli, było nas coś dwudziestu pięciu, a każdy miał łóżko żelazne z siennikiem, kocem i słomianą poduszką.

Jedna z tych izb miała trzy wielkie zakratowane okna, które wychodziły na ogród publiczny. Okna te miały na zewnątrz wielkie kosze z desek, tak iż przy dobrej woli tylko, wdrapując się na szczyt kraty, można było widzieć osoby chodzące w przyległej części ogrodu. I ten sposób był bardzo w użyciu w godzinach spacerów, gromadki bowiem pięknych Kielczanek chętnie w tę ustronną aleję chodziły, aby swym widokiem i uśmiechem dodać otuchy więźniom.

Pozwalano rodzinom i wogóle chętnym zaopatrzyć nas w pościel i przysyłać nam jedzenie, jakoteż otwierano na kilka godzin codziennie kaźnie, tak, że mogliśmy chodzić po podwórzu i wzajemnie się odwiedzać. Pobyt w więzieniu był więc znośny, a nawet o ile to możebne wesoły, dopóki pan generał poturbowany gdzieś przez Chmielińskiego lub Czachowskiego, nie wpadł w zły humor i nie skazał nas na jedzenie z więziennego kotła i zamknięcie w kaźniach. To czasami dwa lub trzy dni trwało.

W jednej z izb więziennych niepołączonych

z moją, odnalazłem mego stryjecznego brata Antoniego, którego ostatni raz widziałem w Nawarżycach rannego w Górach w potyczce, w której Bończa był zasiekany,—brat mój mając kulę około biodra, leczył się na plebanii, gdy Czengery, przechodząc z wojskiem, znalazł go tam i zabrał. W miasteczku Wodzisławiu kazał on wybudować szubienicę, aby powiesić na niej Antoniego, jako żołnierza Bończy, a więc „zandarma wieszającego.“ Biedna matka delikwenta włóczyła się u stóp Czengerego, lecz aż dopiero pod szubienicą rozkaz cofnął i Antoniego do Kielc zabrał, obiecując tam go powiesić. Siedział tam biedaczysko już kilka tygodni, spoglądając z niepokojem w jutro.

I ja choć pozornie spokojny, nawet wesoły, tłumiłem tylko wewnętrzny niepokój, tem bardziej, że zły „omen“ mię spotkał. Na łóżku, które mi się dostało, spoczywał przed kilkunastu dniami jedyny więzień, którego dotychczas w Kielcach powieszono!

Nazywał się on, zdaje mi się, Kuźmiński, czy coś podobnego, a był to młody 20-letni rzeźnik z Warszawy, wzięty w niewolę z oddziału Czachowskiego.

Chłopiec ten w oddziale Czachowskiego był świadkiem, jak w miejscowości Piekło powieszono kilku Moskali, a między nimi i majora Nikiforowa. Ułitowawszy się nad jednym z powieszonych, gdy oddział odmaszerował, obciął postronek i przywrócił go do życia.

Moskał go zapamiętał i poznawszy jako więźnia, oświadczył, iż to on wykonywał egzekucye w oddziale, a sąd wojenny za to go skazał.

Biedny chłopiec umierał podobno z wielką siłą ducha, a żegnając swych towarzyszy więzienia, zachęcał ich do wytrwania, bo nadejdzie chwila odwetu i swobody!

Charakterystycznym jest jednakże, że przesądny Czengery wyroku nie chciał konfirmować, lecz jak zwykle w podobnych razach chciał więźnia do Radomia odesłać, ale mu egzekucję wykonać polecono.

Z więzienia kieleckiego przypominam sobie Cegielskiego, inżyniera, i Katerłę z Pilicy, którzy ponoś na Sybir wysłani zostali.

Katerle śpiewał pięknym tenorem, a ulubioną jego piosenką była z „Małżeństwa przy latarniach“ następująca strofa:

Jaka z nas dobrana para,
Z tem co ja mam i ona ma,
Jeszcze każdy się postara
Zmnożyć te majątki dwa!

Ot pocieszailiśmy się, jakeśmy mogli.

Tymczasem tak rodzina, jak organizacya nie zasypiała gruszek w popiele i pracowano nad mojem oswobodzeniem.

Był w Chęcinach żyd Eisenberg, kupiec i dostawca wojskowy, będący z Czengerym w dobrych stosunkach. Te stosunki zdawały się nawet podejrzane czasami narodowej organizacyi,—tak, że Eisenberg czuł się z tej strony trochę zagrożonym. Aby więc dać dowód swojej narodowej lojalności, zaproponował on p. S. swoją w tej sprawie interwencję, przyjętą naturalnie z uznaniem.

Temu to zapewne ja zawdzięczam, że mię do żadnego śledztwa w Kielcach nie pociągano.

W owym również czasie, z przyczyny wywiezienia arcybiskupa Felińskiego z Warszawy, zaprowadzono żałobę kościelną, to jest, nie dzwoniono, nie grano na organach i nie śpiewano w kościołach całej Kongresówki, co do wściekłości doprowadziło rząd carski.

Czengery, jako kacyk moskiewski i katolik, usilnie pracował nad przełamaniem tej żałoby, sprowadzał dziadów do kościoła lub pod figurę św. Tekli na rynku i zapłaciwszy ich, śpiewał z nimi pieśni kościelne.

To go jednak nie zadawainiało i wielce irytowało.

Uspodobienie to wyzyskać umiał przebiegły Eisenberg, skłaniając moją matkę i panią Sierhiejewicz aby poszły za mną prosić pana generała.

Po kilku bezskutecznych próbach stanęło na tem, że Czengery wypuści mię na wolność za gwarancją 6000 rs., poręczoną przez ludzi posiadających, a matka moja i p. S. dobiorą sobie liczniejsze towarzystwo i przed ową figurą publicznie śpiewać będą pieśni kościelne.

Ja w więzieniu nic o tem nie wiedziałem, gdy któregoś dnia w końcu sierpnia zjawia się oficer służbowy, polecając mi, abym się zabierał z rzeczami, a gdy objaśnił że mam być wolny, koledzy mię z radości wyściskali, i zwyczajem więziennym dali mi trzy baty, abym więcej tamże nie ważył się wracać.

Pożegnawszy więc brata, wyszedłem, a w przed-sionku kryminału mogłem uściskać matkę i ucałować ręce nieznanej mi pani Sierhiejewicz.

Rodzinna uczta czekała nas u siostry, gdzie po wypiciu mego zdrowia pan S. zauważył, iż wypada podziękować generałowi i jak najprędzej z Kieleć się usunąć.

Jak się okazało, ta grzeczność była zbytęcną, tem bardziej, że panie nie miały zamiaru wykonać drugiej części umowy, a pan S. i jego sąsiad Krosnowski wiedzieli dobrze, że czy w ten, czy w inny sposób 6000 rs. zapłacić muszą.

Karetą czterokonną zajechaliśmy przed odwach

gdzie na piętrze Czengery mieszkał, a pan S. w urzędowym fraku z orderami udał się na piętro. Gorąco było wielkie, drzwi i okna otwarte.

Nagle rozległ się wściekły ryk Czengerego:

— To wy tak sobie zakpiliście ze mnie?!—a wychylając się z balkonu, krzyknął:

— Aresztować tego, co w powozie siedzi!

W jednej chwili byłem w kordegardzie, pani S. jak lwica, której zabrali lwiątko, rzuciła się na schody, a głos jej dochodził mię z góry:

— To takie słowo generalskie? To pan generał od nas Polek żądał spodlenia?!—To wstyd! to hańba!...

Naraz ryknął Czengery po polsku:

— A weźcie go sobie do dyabła, niech ja go więcej nie widzę, bo przysięgam, że powieszę!

— Puście go! — zakończył po moskiewsku.

Tym razem już więcej nie dziękowaliśmy, lecz natychmiast opuściliśmy Kielce, których więcej nie widziałem.

W kilka dni potem Czengery przechodził przez Chęciny i tamże zanocował. — A było to w dniu, kiedy córka Eisenberga wychodziła za mąż. — Czengery był na weselu i wyraził pannie młodej żal, że będąc w pochodzie, nie może jej żadnego dać podarunku.

Sprytna dziewczyna odpowiedziała:

— To niech mi pan generał daruje jednego powstańca.

— Zgoda—odrzekł.—Wybierz tylko.

Panna młoda wymieniła brata mego Antoniego, a Czengery wyrwał kartkę z notatki i nie do zastępcy swego, ale do swej żony napisał, aby więźnia wypuszczono.

Jeszcze tej samej nocy Eisenberg pojechał do Kielc, a nazajutrz strapionej matce oddał syna!

Podobno nie my dwaj tylko, zawdzięczamy Eisenbergowi puszczenie niespodziewane z pod szubienicy na wolność, — Eisenbergowi, któremu spryt semicki pozwolił być — może w spółce w interesach z Czen-gerym, i dowieść zarazem organizacyi, swej lojalności narodowej.

Jakkolwiek bądź, tylko wdzięczność odemnie jemu się należy.

.....
Dla dopełnienia wizerunku Czengerego, o którym zamierzyłem napisać na tle osobistych stosunków i doświadczeń, winienem dodać, że tenże satrapa złapawszy w jednym ze swych pochodów w miechowskiem, mego kolegę i przyjaciela ś. p. Tadeusza Cieszyńskiego, naczelnika powiatu miechowskiego, a chcąc wydostać od niego jakie zeznanie, kazał jednemu z żołnierzy wziąć go na barana, a dwom innym knutami go okładać.

Po kilkunastu razach puścić go jednak kazał.

Co do mnie, więcej Czengerego już, dzięki Bogu nie widziałem, lecz dzikość jego moja biedna matka odczuła. Gdy bowiem przez szpiegów dowiedział się, że ja pracuję dalej w organizacyi, zaareztował matkę, a dom jej i całe mienie z dymem puścił. Było to w nocy z 4-go na 5-ty września 1863 r.

Wypuszczając zaś matkę, zapewnił ją, że jeżeli mnie złapie, to już śmierci nie ujdę na szubienicy.

Panowie Sierhiejewicz i Krosnowski zapłacili po 3000 rs.

Gdy w listopadzie 1863 r. o tych atakach zemsty i barbarzyństwa dowiedziałem się w Krakowie, młodość i żywość mego usposobienia pchnęła mię do

napisania listu do Czengerego, gdzie w oburzeniu swoim nie generałem wojsk cywilizowanych, ale wprost bandytą go nazwałem.

Podobno wpadł w wściekłość,—i jeszcze raz matkę moją o mnie zaczepił, przysięgając mą zgubę.

Lecz Bóg inaczej zrządził, bo kiedy ja to piszę, Czengery już od dawna musi być na Jego sądzie!

Oto jak w świetle moich wspomnień przedstawia się ta cygańska mieszanina z Węgry i Polki zrodzona, ten dziki służalec moskiewski, rozbójnik i podpalacz, podszyty bigoteryą katolicką, ten obłudnik zachęcający do gwałtu i mordu a niemający odwagi podpisać prawnego(?) wyroku!.

Słuszność jednak wymaga, abym przyznał, że kiedy w innych satrapiach drzewa szubienic skrzyślały bezustannie pod ciężarem skazańców, kiedy np w Włocławku potomek i dziedzic Radziwiłłów po kądzieli, Witgenstein, szukał chwały z tego, iż 39 powstańców powiesić kazał, to w Kielcach takich jak ja i brat mój więcej było, dzięki Czengeremu, a ilość mordów urzędowych redukuje się, jak mi się zdaje, do jednej tylko wyżej wspomnianej egzekucyi, a w każdym razie do niewielu względnie wypadków.

Broszura ks. Wacława Nowakowskiego, Kapucyna, który przebył długie lata w katordze moskiewskiej w Akatui a potem na osiedleniu w Tunce, traktująca o duchowieństwie polskiem, zesłanem na Syberyę za wypadki roku 1863/4, zdaje się zupełnie potwierdzać moje powyższe zdanie. Na 276 bowiem księży osiedlonych w Tunce, po odbyciu różnych kar a wymienionych z imienia i nazwiska, według parafii klasztorów i dyecezyj, nie było tam ani jednego księdza z dyecezyi Krakowsko-Kieleckiej, jak ją wówczas zwano, podległej satrapii Czengerego.

W Lutym 1900 r.

VII.

Łzawe wesele.

„Bo gdy do grobu Polska wstąpiła“
„Jeden mi tylko pozostał strój.“
Czarna sukienka.“

Chłodny i wilgotny był poranek 25. lutego 1863 roku, a choć śladu śniegu nie było widać na ziemi, to zmrożona mgła wypełniała powietrze, a śnieżne szrony pokrywały gałęzie drzew i zeschnię trawy.

Błade, ospałe słońce podnosiło się leniwo na widnokręgu miasteczka Małogoszcza, (a nie Małogoszczy, jak to błędnie niektórzy piszą), aby oświecić z całą grozą, dymiące jeszcze zgłiszcza dopalających się domów, stosy nagich, odartych, strasznie pokaleczonych trupów płci obojej od starców, aż do niemowląt!...

Gdzieniegdzie przytłumiony jęk, lub szlochanie słyszeć się dawało, a bojaźliwie wychylające się z okienek piwnic, lub stosów gruzów ludzkie postacie, zdawały się zapytywać, czy mogą już opuścić swoje kryjówki, które im życie ocaliły.

„Obrzydliwość spustoszenia“, jak mówi Pismo, panowała tam w całej swej sile, a nędzy, łzom i cierpieniom ludzkim zdawało się nie być końca..

Jeno wrony i kruki cieszyły się niewymownie, nawołując się krakaniem na ucztę, którą im zgottało zwycięstwo nad bezbronnem miasteczkiem, krwiozerczego Moskala, pułkownika Czengerego, cygana-

katolika, urodzonego z Polki.— Pomagał mu w tem dziele zniszczenia major Dobrowolski opój, rozpustnik, odstępcą narodowy, który za ten czyn barbarzyństwa, do stopnia podpułkownika posuniętym został.

Zwycięstwo było łatwem, gdyż po opuszczeniu miasteczka przez oddziały Langiewicza i Jeziorańskiego przed bitwą d. 23. lutego, Czengery nie mogąc zwyciężyć powstańców, oddał na łup i orgję miasteczko Małogoszcz, pozwalając w niem „pogulać“ swym żołdakom. Rabunek całego miasteczka, zgłiszczanie i perzyny z ludzkiego mienia, bezczesć niewiast i 220 trupów, były wymownym dowodem tej pohulańki, a słońce 25. lutego, już po raz drugi oświeciło całą ohydę tej moskiewskiej waleczności.

.....
Moskali jednak w Małogoszczu już wtedy nie było, bo Czengery pomimo rzekomego zwycięstwa nad buntownikami, wolał się cofnąć ku Chęcinom, a tylko podjazdy jego przebiegały okolice, zbierając swych rannych i zagarniając po drodze wszystko, co im się podejrzanem wydawało.

* * *

Tego poranku, w ogleńności mniej więcej dwóch do trzech kilometrów od Małogoszcza, ku rzece Nidzie w krzakach okrytych lśniącem szronem, na zmarzłej ziemi, leżał trup człowieka, nagi, strasznie pokaleczony, z posiniałemi nogami i lewą ręką, prawa zaś była pod ciało podwinięta. Twarzą zwrócony był do ziemi, a kilka pchnięć bagnietem zadanych z tyłu, świadczyły, że już po zranieniu i obdarciu nad poległym się pastwiono.

Z zarośli wychyliła się postać żołnierza moskiewskiego, który zobaczywszy nagiego trupa, nie przed-

stawiającego żadnej zdobyczy, huknął na innych i naraz kilkunastu żołdaków tam się skupiło.

Odwrócili trupa twarzą do góry, dla bliższego rozpoznania, jakkolwiek niektórzy z góry zapewniali że musi to być buntowski, kiedy jest nagi i pokłuty.

— Nas tu już byli, to widać — dodawali machając ręką, na znak, że nie warto się trudzić podnoszeniem trupa.

Podniesiono jednak ciało, a tak z młodzieńczej twarzy zabitego, jakoteż z jego długich włosów stanowczo orzekli, że to jest buntowski.

Niewielka rana, okryta krwią skrzepłą, przeszływa pierś jego, która tak jak i twarz nie miała śladów trupiej siności — widocznie matka ziemia ciepłem swoim częśćkę życia jeszcze ocaliła.

Postanowili więc odejść, gdy jeden z tych barbarzyńców, przeklinając buntowskiego, który już się ruszać nie mógł, pchnął trupa bagnetem.

Cichy jęk wydobył się z piersi nieboszczyka, co spowodowało zbója do zatrzymania się dla stwierdzenia, że życie jeszcze się kołatało w tem podziurawionem ciele. Wytłumaczył więc towarzyszom, że lepiej będzie widzianem przez naczalstwo, gdy przyniosą choćby trupa do ambulansu, bo dadzą tem dowód, że nie mieli strachu przed buntowszymi.

Złożono umierającego na zaimprovizowanych noszach i orszak skierował się do posterunku ambulansowego.

* *

W szpitalu cywilnym św. Aleksandra w Kielcach na przedmieściu Bożęckiem, ruch wielki i krętanina. Od dozorczyń w czepcach i wykwintych czar-

ných toaletach, aż się émi po salach i korytarzach szpitalnych.

Łóżka wysłane niezwykłą szpitalną pościelą, pokryte są cieniątką świeżą bielizną, a na nich spoczywają jęczące ranne postacie, których w swej łaskawości Moskale dobić nie raczyli, a w dalszej swej łaskawości oddali do szpitala miejskiego, aby państwu i sobie oszczędzić kosztów i trudów, i aby nie odśłonić rąbka tajemnicy o ilości swoich rannych, pomieszczonych w szpitalu wojskowym św. Leonarda.

Przy drzwiach w każdej sali, stoi żołdak z bagnetem, a na łóżach spoczywają resztki ludzi okropnie pokaleczonych nie w bitwie, lecz po bitwie, dając od czasu do czasu tylko jękiem słabe oznaki życia.

Kilku lekarzy z pomocnikami krzątają się około udzielenia rannym pomocy a tu i owdzie odjęte ręce lub nogi są wymownem świadectwem ich działalności.

Na jednym z łóżek leży bez śladu życia, raczej trup zmasakrowany, niż człowiek. Wpatrzywszy się dobrze w niego, poznamy nieszczęśliwego z zarośli małosgskich.

Oczy w słup, głowa posiniała, język skołkowaciały i chrapliwy czasami wydobywający się oddech wskazują na bliski koniec.

Właśnie zbliżają się do niego lekarze, oglądają, badają, sondują rany i orzekają, iż pomimo ich znacznej liczby, życiu one nie zagrażają; natomiast ziębione, a znajdujące się w stanie gangreny ręka lewa i obie nogi, natychmiast odjętemi być muszą!!

Pomimo prośb i protestacyi litościwych dozorczyń, lekarze przystępują zaraz do operacyi.

.
Już jedna noga powyżej kostki i druga w połowie goleni odjętemi zostały, a chory w bezprzy-

tomności swojej, zdawał się tego nie odczuwać. Zabrano się więc do odjęcia ręki niżej łokcia, gdy chory w gorączkowym podnieceniu krzyknął, zerwał się i oczy szeroko otworzył.

Zrozumiał odrazu swoje położenie, lecz nie ból i cierpienie ów krzyk mu wyrwały z piersi, tylko widok stojącego na straży żołdaka

—Precz z tym zbójem moskalem, bo mu tym kubkiem rozbiję głowę!... (autentyczne).

Żołnierza cofnięto, a chory padł bez zmysłów, pod wpływem chustki chloroformowanej, którą mu na głowę zarzucono.

Dziwne są wyroki losu! Nie umiera człowiek wtedy kiedy chce, lub kiedy, według naszego ludzkiego sądu, należałoby mu się umrzeć.

U niektórych ludów starożytnych, a nawet podobno do dziś dnia u Chińczyków, prawo dozwala społeczeństwu pozbywania się z pomiędzy siebie jednostek słabych, lub niedołączyłych. To jest nieludzkiem i barbarzyńskiem bez zaprzeczenia.

Ale czyż w niektórych razach nie jest również nieludzkiem, zachować życie, podtrzymywać ulatujące istnienie jednostki, z całą świadomością, że tak ocalonemu osobnikowi gotuje się tylko jedną nieustającą mękę, na resztkę jego nędznego żywota??...

Może to i tak jest, ale pojęcia cywilizacji i etyki chrześcijańska zobowiązują sumienie, do użycia wszelkich środków ratunku!...

I tym razem, choć bez nadziei w powodzenie, sztuka lekarska spełniła swój obowiązek, zostawiając na łożu boleści resztki człowieka, obandażowane i poobwijane, jak mumia, a pogrążone w ciężkiej gorączce. Zdawało się, iż lada chwila duch z tych nie-

szczęsnych resztek ulecieć powinien,—a jednak—przeznaczenie, czy siła młodości, zwyciężyła....

Po kilkunastu dniach palącej gorączki i senności nieszczęśliwy przebudził się i niezadługo umysł jego był w stanie ocenić całą grozę swego położenia.

Gorące łzy popłynęły z oczu młodzieńca, mieszały się one ze łzami współluczucia anioła opiekuńczego, czuwającego przy łożu rannego.

Była to piękna, młoda dziewczyna, która w głębokiem pojęciu swych obowiązków Polki, cały swój czas zbywający od obowiązków nauczycielskich, poświęcała czuwaniu przy łożu tego, którego za najnieszczęśliwszego między rannymi uznała. Ona to staraniem swoim podtrzymywała przez kilka dni tlejące w nim jeszcze iskierki życia.

Płakała więc z radości, widząc powracające życie młodzieńca, płakała również z boleści nad cierpieniami przyszłości, tego kaleczego istnienia!

Od tego czasu zadzierżgnął się węzeł przyjaźni między temi dwoma istotami, węzeł oparty na wdzięczności z jednej a na miłosierdziu z drugiej strony.

Wyzdrowienie nieszczęśliwego kaleki następowało szybko, młodość zwyciężyła. Wkrótce opiekunka dowiedziała się od niego, iż jako 20 to letni czeladnik mularski opuścił w styczniu Warszawę; że walczył pod Wąchockiem, Ś-tym Krzyżem i Staszowem i postawiony na wysuniętej pikiecie koło Małogoszcza, ugodzony kulą padł i stracił przytomność, którą odzyskał dopiero wobec swej opiekunki!..

Historya krótka a jakże straszna i bolesna wobec stanu kaleki, który ją opowiadał. Ten ogrom nieszczęścia, to bezbrzeżnie beznadziejne życie niedołężnego młodzieńca-sieroty, wstrząsnęło duszą młodej

Polki i zrodziło w niej myśl zaopiekowania się do-
zgonnego tym nieszczęśliwym.

* * *

Powrót do względnego zdrowia kaleki trwał parę
miesięcy. Władze moskiewskie chętnie wypuściły go
ze swej opieki, zostawiając go na koszczie miasta, które
pod rządem wrogów nie mogło się nim opiekować.
Torba tylko i nędza półżywego żebraka czekać go
mogły.

Jakie walki i męki rozgrywać się musiały w szla-
chetnem i wielkiem sercu młodej opiekunki biedaka?
— opisywać tego i kusić się nie będę.

Względy na złośliwość języków ludzkich, na stra-
szną przyszłość opuszczonego nieszczęśnika, na nędzę
swego bytu nauczycielki, na ciężar i ogromną odpo-
wiedzialność wzięcia na siebie tak wielkiego kaleki,
a wreszcie na nierówność pojęć wychowania i wy-
kształcenia opiekunki i pupila, wszystko to musiało
być brane na uwagę i sprawiać znacznej dziewczycy ty-
siące udręczeń.

Rezultatem tych walk i rozmyślań były w sier-
pniu zapowiedzie ogłoszone z kazalnicy kościoła kół-
gialnego, szlachetnej opiekunki z nieszczęsnym kaleką...

* * *

W jasny dzień wrześniowy 1863 r. w kościółku
parafialnym w Chęcinach przed ołtarzem zapalono
cztery świece, a wkrótce okazał się i orszak ślubny.

Panna młoda, anioł raczej, jak kobieta, w czarnej
prostej sukience, mając za ozdobę tylko piękne zło-
ciste włosy i niebiesko-fiołkowe oczy, pchała przed
sobą wózek na którym usadowiona była postać mło-
dzieńca bez nóg i jednej ręki. To był pan młody!...

Towarzyszyło im kilka kobiet czarno ubranych i kilku mężczyzn.

Orszak zbliżył się do ołtarza, tak, iż panna młoda koło wózka narzeczonego stanęła, a wtedy wyszedł z zakrystyi ksiądz w czarnej kapie.

Widać było z twarzy kapłana, iż przed spełnieniem swego posłannictwa chciał przemówić słów kilka do nowożeńców, lecz wzruszenie głos mu zatamowało a gdy zobaczył łzy spływające po twarzy oblubienicy, łzy to zapewne spełnianej ofiary, łzy wdzięczności bezmiernej a może i miłości w oczach oblubieńca a łzy gorącego współczucia w oczach otaczających świadków, sam on zaledwie przez łzy mógł dokończyć ceremonii, a i organista ze łzami odśpiewał „Veni creator“.

Tak się odbyło to łzawe wesele, ta wielka ofiara Polki, wyższa stokroć od ofiary Indyanki wstępującej na stos, by spłonąć wraz ze zwłokami męża swego!..

W siedm miesięcy niespełna, po napisaniu słów powyższych, bo w dniu 15 Września 1903 r. rodzinna ziemia cmentarza na Brudnie pod Warszawą przyjęła do swego macierzyńskiego łona znikome szczątki śp. Rocha Mikołajskiego vel Mikołajewskiego, po przeszło czterdziestu latach cierpień, kalectwa, niedoli i prześladowań. Zmarł on 12 Września tegoż roku w szpitalu na Pradze w skutek przebytej nowej amputacji nogi, której stargane siły starca znieść już nie potrafiły.

Data jego śmierci przypadła w rocznicę jego ślubu, z osieroconą wdową, Kamillą z Buczkowskich, która po czterdziestu latach pełnych bohaterskiego poświęcenia, znalazła u dobrych ludzi przytułek i opiekę.

Nagroda, czeka ją w niebie.

Czerwiec 1904 r.

VIII.

Zygmunt Chmieliński.

Zygmunt Chmieliński — to jedna z najwybitniejszych postaci powstania z 1863 r., a niewielu wodzów powstańczych porównanie z nim wytrzymać może. To wzór dowódcy partyzanckiego narodu, który dąży do zrzucenia jarzma wroga, wzór wytrwałości w klęskach i niepowodzeniach, którym nigdy pokonać się nie dawał, a czy w zwycięstwie, czy w odwrocie, zawsze bez bojaźni i strachu!

I czyż ja mogę dodać choć jeden listek warzywu do wieńca chwały, który otacza pamięć jego? — zaprawdę, że nie! ale zetknąwszy się z nim w życiu kilkakrotnie, postaram się dorzucić na męczeńską, a zdeptaną przez wroga mogiłę bohatera i moją grudkę ziemi, zlepioną ze wspomnień o moich z nim stosunkach.

Nie mam zamiaru pisać monografii Chmielińskiego, bo do tego uzdolnionym się nie czuję i materiałów odpowiednich nie posiadam, a całą przeszłość odczytuję w mej pamięci i dlatego to tylko do luźnych o nim wspomnień ograniczyć się muszę.

Chmieliński był młodzianem nie więcej jak dwudziestopięcioletnim, gdy dla walki za Ojczyznę porzucił szeregi wojska moskiewskiego. Czy on tam był junkrem, czy praporem? — tego nie wiem, lecz całe jego wzięcie się i manery naprowadzały na myśl, że od dzieciństwa w korpusie kadeckim wychowanie odebrać musiał.

Czy był w wojsku Dyktatora? tego także nie wiem, ale to wiem, że Chmieliński był jednym z najpierwszych oficerów powstania, którzy po klęsce Langiewicza (bo już w początkach maja, zdaje mi się) zaczęli formować oddziały w kraju.

Przybył on z Krakowa w stopniu kapitana, a dzięki współdziałaniu zanego i dzielnego organizatora wojennego województwa, Andrzeja Deskura oddział jego naprzód w miechowskim a potem jędrzejowskim urósł do jakich 400 ludzi, dobrze uzbrojonych.

W czerwcu już stoczył on kilka potyczek z Moskalami, trzymając się zawsze taktyki rozdzielania oddziału na drobniejsze części, wobec zbyt silnego nieprzyjaciela, i napadania na wroga, gdy tylko ten ośmielił się być choć w równej mu sile.

Zwyczajnie rozdzielał on oddział na kompanie, które w promieniu paru mil się lokowały,—a na znak dany przez wodza, oddział z kilkuset wyćwiczonych ludzi do boju stawał. Przez długie miesiące ulubionem siedliskiem Chmielińskiego był trójkąt pomiędzy Kielcami, Włoszczową i Jędrzejowem, a pomimo, że pracowałem w organizacyi województwa, aż do końca sierpnia z oddziałem Chmielińskiego się nie spotkałem. Prawda i to, że lipiec i sierpień w kozie przesiedziałem.

Już w czerwcu sława Chmielińskiego głośną była, a Moskale z nim, tak jak z Czachowskim, liczyć się musieli.

Żołnierze jego bardzo go kochali, choć był wielce surowym dla nich, a nahajka, która go nie odstępowała, często w robocie była. Szlachta w początkach skarżyła się na niego bardzo, jako na miorostawczyka i „jakobina“, śmiał on bowiem tchórzów, skrywających się po dziurach, zabierać przemocą do oddziału,

a czasami opornego młodzieńca szlacheckiego i naha-
jem pokropił! Ale i to się utarło, gdy poznano, że
było to wynikiem tylko gorącej miłości ojczyzny, po-
łączonej z wrodzoną krewkością i szorstkością woj-
skową.

Nie lubił on także pochlebstwa i nigdy w nie-
należne mu tytuły nie ubierał się, jak to czynili inni
dowódcy oddziałów.

Po śmierci Bończy oddział Chmielińskiego po-
większył się o stokilkadziesiąt koni, jako resztę od-
działu Bończy. Charakterystycznem było przyjęcie tej
resztki przez Chmielińskiego, nie pamiętam czy w O-
biechowie, czy w Secyminie Ustawiwszy ów oddział
konnicy, otoczyć go kazał swoją piechotą, a potem
wypowiedział mowę do tych, którzy wodza swego
na polu bitwy haniebnie odbiegli, zwymyślał ich tak
polskimi, jak moskiewskimi wyrazami, a następnie za-
konkluował, iż nie są oni godni siedzieć na koniach
i że powinni naprawić swą sławę kosami

Zakomenderował więc: „z konia“, a rozbroiwszy
uciekierów, kosy im dać kazał.

.....
Po wydobyciu się z pazurów Czengerego, niedługo
popasałem u moich zacnych przyjaciół i poręczycieli
państwa Sierhiejewiczów. Na trzeci dzień, pożegnawszy
ich, wyjechałem, a zacni ci ludzie, wiedząc, co ich mój
wyjazd kosztować będzie, nie próbowali nawet wstrzy-
mywać mię, od spełnienia mego obowiązku.

Odwiedziwszy więc matkę moją w Jędrzejowie,
a w Pińczowie Adolfa Pieńkowskiego, który komisarstwo
pełnomocne województwa już innemu ustąpił, udałem
się do nowego wojewody w Węchadłowie, w szkal-
mierskiem. Był nim wtedy właściciel tej wioski,
Mieczysław Chwalibóg, któremu kilkoletnia katorga

i wygnanie na Syberyi, nietylko serca nie ostudziło, ale nawet wręcz przeciwny skutek wywarło. Wojewoda posłał mię w olkuskie, aby tam zająć opróżnione stanowisko naczelnika powiatu. A było to w ostatnich dniach sierpnia.

Przez trzy miesiące mojego naczelnikowania w olkuskiem, przebywałem najwięcej w północnej części powiatu, pomiędzy Szczekocinami, Lelowem, Żarkami i Pilicą, tam mię najmniej nachodzili Moskale, gdy w okolicach Olkusza i Dąbrowy przemarsze ich częste bywały.

Najwięcej przebywałem w Wzdowie, Kromoławie Irządzach, Białej i Białej-Błotnej, a w tej to ostatniej najczęściej rezydowałem, korzystając ze staropolskiej gościnności dwóch braci, zacnych panów Rajskich.

Nie mając dostatecznych lasów, powiat Olkuski mało się nadawał do partyzantki, czasami tylko Oxiński z Wieluńskiego, a Chmieliński z Kieleckiego tam się zapędzali. Moskale zaś stacyonujący w Olkuszu i Miechowie, pilną uwagę zwracali na granicę, aby przeszkodzić wejściu oddziałów powstańczych od Krakowa.

Organizacyę narodową zastałem w świetnym stanie: naczelnicy okręgowi i miejscy urzędowali pilnie, podatki napływały, poczty narodowe świetnie urządzone były. Dzięki temu, jakoteż wytrwałej działalności organizatora powiatowego, aptekarza Kreczmera (zmarł w Drohowsyżu 24/3 1903 r.) sprowadzano broń, mundury, organizowano oddziały powstańcze.

W owym czasie formował się w Olkuskiem oddział Ottona, Węgra, którego nazwisko prawdziwe Esterhazy. Był to człowiek około 35 lat wieku, wykształcony, brunet, dobrego wzrostu i tuszy. Po polsku jednak nie mówił ani słowa, i to stanowiło ważną

dla niego trudność, z podkomendnymi bowiem tylko po francusku lub po niemiecku porozumiewać się musiał. Znał się on na służbie wojskowej, był wymagający, ale w miarę surowy. Dla żadnych uczt obozu nigdy nie opuszczał. W końcu sierpnia dokończył on formacyi swego oddziału w lasach około Białej-Błotnej gdzie go w obozie odwiedzałem.

Jednocześnie w okolicach Cierna i Popowie w Jędrzejowskiem uformował się oddział majora Iskry (Sokołowski) a to po bitwie, którą on był stoczył z Moskalami, około Małogoszcza

Chmieleński zaś wtedy przebywał w okolicach Włoszczowy, rozdzieliwszy swój oddział na części, które kwaterowały po różnych miejscach.

Pomiędzy dowódcami tymi nie było żadnej łączności, a nawet między Iskrą i Chmieleńskim wyrodził się prawie antagonizm.

Źródło tego leżało w niewłaściwej nominacyi z przyczyny zmian i fluktuacyi, jakim podlegał sam Rząd Narodowy.

Chmieleński, który od kwietnia, jak lew i lis razem, walczył z Moskalami, przez długi czas był tylko „kapitanem“, gdy Iskra w czerwcu przybył formować swój oddział, z stopniem „majora“.

Ogół obu nazywał pułkownikami, lecz Chmieleński tego tytułu nie przyjmował, gdy Iskra chętnie weń się ubierał i nim podpisywał.

Iskra poszedł dalej, bo jako starszy stopniem i niby „pułkownik“ posyłał polecenia do „kapitana“ Chmieleńskiego, których ten ostatni przyjmować nie chciał.

Sprawa narodowa najwięcej cierpiała na tem, bo nie raz zamiast zwycięstwa, ponieśliśmy klęskę!

Stosunki te niestety! tak się zaostrzyły, że przyszło do jawnych niechęci pomiędzy dwoma dowódcami.

Rząd Narodowy w części temu zaradził, nadając Chmielińskiemu, w lipcu zdaje się, stopień majora ale antagonizm dwóch ludzi nie osłabł.

W początkach września, o ile mi się zdaje, przyszła na ręce moje z Warszawy nominacya dla Chmielińskiego na podpułkownika i naczelnika wojennego województwa krakowskiego. Uważając to za ważny krok dla zaprowadzenia ładu porządku dowódcami, sam tę nominacyę Chmielińskiemu zawieźć postanowiłem. Puściłem się więc na poszukiwanie nowego naczelnika, a przez Szczekociny i Secemin, dotarłem do wsi Kozłowa pod Włoszczową, odszukałem moją zgubę.

Pomimo podarunku, jaki mu przywiozłem, a który nie mógł być Chmielińskiemu nieprzyjemnym, przyjął on mnie chłodno, surowo a nawet dość opryskliwie.

Oblicze jego dopiero się wyjaśniło, gdy wszedł do pokoju adjutant jego major Piotr Doliński, a uściskawszy mnie serdecznie, przedstawił pułkownikowi, jako swego kolegę uniwersyteckiego, który z przyczyny krótkiego wzroku, musiał żołnierkę na służbę organizacyjną zamienić.

Chmieliński zmienił się wtedy zupełnie a przeprosiwszy mnie za swoje przyjęcie rzekł:

— Myślałem, obywatelu, żeś ty młody szlachcic, który z tchórzostwa „dyplomacyą“ się zajmuje.

„Dyplomacyą“ nazywał on wszelką służbę po za obozem, żartował z niej, pojmując tylko w części i nie będąc w stanie ocenić niebezpieczeństwa na jakie sumiennie pełniący obowiązki tej dyplomacyi się narażali!

Do późnej nocy gawędziliśmy z Chmielińskim, jego adjutantem i gospodarzem. Pułkownik się oży-

wił, rozgadał, a nazajutrz rano wydał rozkazy, dla koncentrowania jego oddziałków; w kilka dni już potem poturbował Moskali gdzieś koło Rakówka.

Z długiej wtedy rozmowy widziałem, że Chmieleński nie łudzi się co do położenia. Jako szczery, głęboki demokrat, w ludzie tylko widział ocalenie Polski, lecz uznawał swą niemoc, by ten lud poruszyć. Chciałby on był jednak, żeby powstanie ogarnęło jak najszerze kręgi i cierpiał nad tem, iż wyglądało ono, jakby jaka zbrojna demonstracya.

—Żalą się na mnie, mówił, że jestem szorstkim i grubiańskim ze szlachtą, lecz czyż mogę być innym, gdy powstanie tak mało się rozwija, a młodzi szlachcice po domach siedzą. Cóż więc chcieć od chłopów? Oddziałów mało, a uciekinierów wielu! Co z Bończą zrobiono? I czyż tych tchórzów nie miałem ukarać? Powinienem był ich rozstrzelać, lecz niestety, zbyt wielu ich było!!

—Kraków jest naszą zgubą, mówił, tam się szerzy zgnilizna i demoralizacya, które do obozów przechodzą! Raz tam byłem, lecz wyjechałem stamtąd do obozu, przysięgając sobie albo zwyciężyć, albo zginąć, a do Krakowa nie wrócę!

Zginąć więc muszę, a czy to w bitwie, czy też na rynku w Kielcach, lub w Radomiu, to mi jest wszystko jedno, bylebym spełnił mój obowiązek! .

.
Oto wyznanie wiary, oto wizerunek moralny
Zygmunta Chmieleńskiego

Co rzekł, to dotrzymał!

Wygląd Chmieleńskiego nie był wcale nakazujący: szczupły, prawie że chuderlawy, z włosami czarnokasztanowatymi, wyglądał na lat 25 lub 26 i nie miał wcale rycerskiej miny.

Fizyognomia jego również nie była odznaczająca się, a ruchy szorstkie i obozowe znamionowały wychowanie wojskowe. W obcowaniu jednak z sympatycznymi mu osobami był uprzejmy, miły i serdeczny, —mówiąc o sprawach narodowych, wpadał w zapał, a w oczach cała jego pełna poświęcenia i odwagi dusza się malowała.

— „Wiem, że zginąć muszę, a więc mi wszystko jedno, gdzie zginę, bylebym spełnił mój obowiązek“ z całym zrozumieniem tych wyrazów i stałem postanowieniem ich dotrzymania, słowa te były przez niego wypowiedziane!

Dlaczego tak nie myślały miliony naszych rodaków.

Objaśniony przezemnie o szczegółach formacji oddziału Ottona, prosił o najspieszniejsze dokompletowanie tej formacji, przewidując, iż wkrótce pomocy tego oddziałku, potrzebować będzie.

*

W kilkanaście dni potem Chmieleński, zebrawszy swój oddział, przekroczył Pilicę i stanął obozem we wsi Drochlinie, własności braci Zwierzchowskich, na północy powiatu olkuskiego położonej. Pojechałem tam powitać miłych gości i, jako gospodarz powiatu, zarządzić odpowiednie dostawy.

Chmieleński przyjął mię, jak starego przyjaciela, a w oddziale jego, oprócz kolegi Dolańskiego odnalazłem kolegę z dzieciństwa, to jest ze szkół kieleckich Jana Biechońskiego, który mię nie poznał.

Po raz pierwszy wtedy widziałem i podziwiałem ćwiczący się oddział Chmieleńskiego, złożony o ile pamiętam z czterech kompanii piechoty i szwadronu jazdy—razem około 600 ludzi.

Prawie cały tydzień stał Chmieliński w Drochlinie.—Ćwiczył on, dopełniał i organizował tam swój oddział, a Moskale jakby o nim nie wiedzieli. Od Kielc zasłonięty był oddziałem Iskry, garnizon częstochowski zajęty był Oxińskim i Lüttichem, a Olkusz obserwował granicę.

Drugiego dnia jego tam pobytu przywiozłem mu depezę z Warszawy. Po przeczytaniu rzekł on do mnie.

—Mam polecenie od Rządu Narodowego, oddać pod sąd wojenny Iskry, za jego gwałty i rozpustę. Czybyś się nie podjął jechać do niego, z wezwaniem, aby się tu stawiał, dla porozumienia w sprawach wspólnego działania?

Wymówiłem się od tego memi zajęciami, gdyż znając cel prawdziwy misyi, wydała mi się ona zbyt judaszowską;—sąd wojenny w powstaniu—to śmierć a choć konieczność tego wymagała—to posłannictwo takie wstrętnem mi było.

Już dawno żalono się na swawolę Iskry, cytowano wsie, w których tenże dowódca ze swoim sztabem publicznie oddawał się rozpustcie i gwałtom pod osłoną swoich żołnierzy!

Skargi te doszły do Warszawy, a stamtąd nakazano sąd wojenny, który mię niemile dotknął dlatego, iż wykonawcą jego miał być Chmieliński. —

Wiedziałem, że Rząd Narodowy nie miał go kim innym zastąpić, a jednak bolało mię to, iż Chmieliński posądzony będzie o osobistą zemstę.

Tak też rzeczywiście było.

Ja odmówiłem poselstwa, lecz znalazł się ktoś inny.

Iskra odmówił stawienia się, lecz zaskoczony przez Moskale z Kielc, zbliżył się do Drochliny i z konieczności tam pomaszerować musiał.

Dwa dni przedtem nowo uformowany oddział Ottona, już tam był ściągnięty w sile trzech kompanij i kilkudziesięciu koni, razem 400 ludzi.

*

Na przyjęcie Iskry oddziały Chmielińskiego i Ottona, ćwicząc się na błoni, zostały sformowane (Nadjechałem w parę godzin po wypadkach, które tu opisuję).

Oddział Iskry ustawiony został przed tamtymi a po sprezentowaniu broni przed pułkownikiem Chmielińskim, przystąpił do majora Iskry kapitan z niemieckiem nazwiskiem, którego zapomniałem (zdaje mi się Rozenbach) rzekł:

—Majorze Iskro! w imieniu Rządu Narodowego aresztuję cię!

Iskra zbladł, zawahał się, szmer przebiegł po jego oddziale, lecz jednocześnie przy oddziale Chmielińskiego, rozległa się komenda gotowości do strzału a donośny głos Chmielińskiego dał się słyszeć:

—Przy najmniejszej chęci oporu rozstrzelać każę!

Iskra oddał pałasz i pod strażą udał się do pokoju, na areszt przeznaczonego.

Ten sam los spotkał majora Denisiewicza i kapitana Bogusza (moich znajomych z Cisowa), oskarżonych o współudział w gwałtach.

Oddziałowi Iskry kazano broń złożyć w kozły, a Chmieliński oznajmił mu wolę Rządu Narodowego, powierzając komendę oddziału tymczasowo majorowi Zarembie.

Sąd wojenny niezwłocznie się zebrał i obradował przy drzwiach zamkniętych we dworze.

Smutek i przerażenie opanowało cały obóz, żołnierze Iskry zgłodnieli, zmęczeni, bez broni pod strażą wojskową dwóch innych oddziałów się znajdowali.

Przechodząc się między niemi znalazłem brata mego stryjecznego Antoniego, z którym w więzieniu kieleckiem się rozstałem, a który cudem tylko uszedł moskiewskiej szubienicy (patrz wspomnienie „O Czen-gerym“).

Jak ja, tak i on niedługo po uwolnieniu swoim spoczywał na łonie rodziny. Wkrótce znalazł się w oddziale Iskry i już w potyczce drugiej pod Małogoszczem brał udział. Był on tam niegdyś i z Langiewiczem.

Widocznie cierpienia i więzienie nie tylko nie osłabiło poczucia obowiązku, ale go jeszcze wzmocniło!..

*

Sąd wojenny przeciągnął się w noc późno—twarze wszystkich były zasepione, a sędziowie milczeli.

Wieczorem odjechałem z Drochłina, a gdy tam nazajutrz znowu powróciłem, już było po wszystkim.

Oto, co mi powiedziano:

Sąd wojenny skazał w nocy majora Iskrę na karę śmierci przez rozstrzelanie, a dwóch innych więźniów na publiczną naganą przed frontem.

O świcie trzy oddziały sformowały się na błoni.

Przyprowadzono nieszczęsnego Iskrę, który do końca zachował się przytomnie i odważnie.

Prosił on, by mu oczów nie zawiązywano a gdy mu przeczytano wyrok, rzekł;

—Tak, winien jestem, zasłużyłem!

A potem, rzucając w górę swą czerwoną krawaskę zawołał:

—Jeszcze Polska nie zginęła! Strzelajcie!

I padł ugodzony dwunastoma kulami!..

Szkoda, wielka szkoda młodzieńca, którego może inni popchnęli do rozpusty, a który, jak bohater umrzeć umiał.

Czy wie kto dziś w Drochlinie o jego mogile?

*

*

*

Chmieliński tego dnia był wielce ożywiony i zajęty wyprawianiem w pochód swej małej armii liczącej około 1200 piechoty i około 200 koni. W ożywieniu tem znać było gorączkę, spowodowaną smutnymi wypadkami dnia tego.

Naturalnie, że ja z nim tych wypadków nie poruszałem.

Dawał on rozporządzenia swoim podwładnym a zwracając się do mnie, rzekł:

— Moskale z Kiele idą — jutro mamy bitwę patrz tu, tu — rzekł, wskazując na mapę.

— Tu w lesie Melchowskim na tej polanie ich przyśniemy; ja z moimi w środku, Otto na lewem skrzydle, Zaremba na prawem. Moskali nie wiele, bo sześć „rot“ (kompanij), dragoni i kozacy, — to tyle co nas, — Ale, nasza pozycja dobra i jeżeli żołnierze nie zawiodą, to się ich zwycięży...

Jak rzekł, tak się stało, lecz nie przeczuwał on paniki, jaka obejmuje żołnierzy na widok śmierci wodza.

Nazajutrz rano, tj. 30 września, pułkownik moskiewski Schuman, następca Czengerego w dowództwie pułku, zaatakował Chmielińskiego na stanowiskach naprzód wskazanych.

Walka! tyralierska trwała już parę godzin, gdy Moskale atakujący cofać się zaczęli.

— Naprzód! zabrzmiała komenda i dzielni Otto i Zaremba na czele swoich posuwać się zaczęli — gdy pierwszy, trafiony kulą w skroń, padł na miejscu, a drugi, z dwoma kulami w brzuchu, na bok odprowadzony być musiał.

Zamięszanie i popłoch powstały na obu skrzydłach, których środek już powstrzymać nie był w stanie.



Pułk. ZYGMUNT CHMIELŃSKI.

Naczeln. wojen. Województwa Krakowskiego
Szef Sztabu Generała Bosaka.

Rozstrzelany w Radomiu dnia 23. Grudnia 1863 roku.

Chmieliński musiał się cofać, zasłaniając swym oddziałem odwrót. Moskale jednak nie śmieli bardzo nacierać, tak, że nasi ranni i zabici na polu nie zostali.

Pogromu nie było, ale była klęska przez śmierć dwóch wodzów i rozproszenie właściwe partyzantce.

Chmieliński się wycofał przez Lgotę, Wzdów, Białę-Błotną i Szczekociny w Jędrzejowskie, gdzie oddział swój na drobne części znów podzielił,

Moskale za nim podążyli, lecz w lasach około Secymina i Radkowa wszelkie ślady dla nich się zatarały.

*

Drugiego czy trzeciego dnia na cmentarzu w Lelowie pochowaliśmy zwłoki dwóch poległych dowódców w jednym grobie, obok siebie złożone.

Otto miał tylko małą trójkątną ranę na prawej skroni, a Zaremba po dostaniu dwóch kul, przybył jeszcze na koniu do zajazdu w Lelowie, żądając pokoju, a zsiadając z konia, padł, by więcej się nie podnieść.

Czy też tradycja tych dwóch grobów przechowała się dotąd w Lelowie?

*

Co Melchów popsuł, trzeba było naprawić. Lecz na to trzeba było znów parę tygodni.

Zdemoralizowany oddział Iskry przestał istnieć jako całość. Chmieliński reorganizował się w lasach, między Włoszczową i Jędrzejowem, a my w Olkuskim zbieraliśmy do kupy były oddział Ottona w lasach Białej-Błotnej.

Na miejsce poległego dowódcy. przysłano z Krakowa majora, Faustyna Grelińskiego.

Był to młody człowiek, około lat 30, wzrostu dobrego, brunet, z wąsikami i napoleonką, elegancki, wymuskany; — wcale na obozowca nie wyglądał. Był on uczniem owej szkoły wojskowej w Genui, a potem w Cuneo, założonej dla Polaków pod przewodnictwem Mierosławskiego a potem Wysockiego.

Walczył on pod Langiewiczem i Czachowskim, a sam nawet miał być oddział w lasach Świętokrzyskich.

Co do charakteru, Greliński był uprzejmy i przyjacielski, lecz w służbie niesforny.

* * *

Było dobrze pod jesień, bo noce były chłodne a czas dżdżysty, gdy oddział Chmieleńskiego się zreorganizował, a pułkownik powziął myśl zrobienia niespodzianki Moskałom, poszukującym go, przez napad, którego podejrzewać nie mogli.

Nadeszła więc rozkaz Grelińskiemu wymaszerować i zbliżyć się do siebie. Greliński chciał odmówić, lękając się, że z nim toż samo stanie się co i z Iskrą.

Rozdrażnienie dwóch dowódców podniecało się i mogło doprowadzić do katastrofy. Postanowiłem więc interweniować.

Ułagodziwszy Grelińskiego, pojechałem do Chmieleńskiego, którego zdaje mi się, w Obiechowie znalazłem. Wściekły był i rozdrażniony, lecz udało mi się go odobruchać i dostałem od niego słowo, że włos z głowy Grelińskiego nie spadnie, jeżeli nazajutrz do wieczora przybędzie na wskazane miejsce.

Cztery mile nas dzieliły, pojechałem więc na noc a wiele perswazyi użyłem, aby Grelińskiego skłonić, do zawierzenia mnie i Chmieleńskiemu.

Biedak! jechał ze mną jak w gorączce, trzymając dalekowiedz w jednej ręce a rewolwer w drugiej.

Nietyle bowiem spotkania z Chmielińskim, ile z Moskalami się obawiał.

— Słuchaj — mówił — jeżeli się Moskale pokażą, to tobie naprzód, a potem sobie łeb rozwalę!

Już szaro było, kiedyśmy Chmielińskiego w Chwilinie pod Kosowem dopędzili.

Prawdziwie szczęśliwy byłem z rezultatu mej interwencyi. Obaj wodzowie słowa dotrzyмали i podali sobie ręce.

Greliński się wytłumaczył, a Chmieliński dobrze to przyjął.

Przy skromnej obozowej przekąsce, dowiedziałem się, że Chmieliński zamierza napaść niespodzianie na włóczący się w tamtych stronach oddział moskiewski majora Bentkowskiego, Polaka, zaprzańca, zbója i podpalacza Małogoszcza.

Zostawiłem więc dowódców, zastanawiających się nad sposobami uskutecznienia planu, a około północy wyruszyłem z Grelińskim na spotkanie jego oddziału, który nadchodził.

Powróciłem w Olkuskie, i już więcej Chmielińskiego nie widziałem.

*

Następnej nocy, tj 19 października wykonano umówiony napad na wieś Okse, lecz czy z przyczyny niejednostajności ataku, czy też z przyczyny silnej pomocy moskiewskiej, napad ten był odpartym.

Gdy żołnierze Chmielińskiego utrudzeni wykonanym atakiem rozłożeni byli obozem następnej nocy w wyż wspomnianym przysiółku Kwilinie albo Chwi

linie, zdrajca Bentkowski napadł ich gwałtownie i zadał oddziałowi Chmielińskiego wielką klęskę.

Grelińskiego widziałem, jak wracał do Krakowa z ręką przestrzeloną przez kulę, a jego oddział więcej się w Olkuskiem nie pokazał.

Chmielińskiego wkrótce Rząd Narodowy mianował pułkownikiem i szefem sztabu generała Bosaka, jako naczelnika wojennego dwóch województw: sandomierskiego i krakowskiego, a z tem środek ciężkości działalności jego przeniósł się w góry Świętokrzyskie.

Dwie krwawe bitwy, pod pamiętnemi dla mnie Ociesenkami, utrwaliły sławę jego imienia!

Walczył on jak lew, a zginął po bohatersku dotrzymując słowa, bo na polu bitwy pod Bodzechowem wzięty ranny, prawie umierający, 19 grudnia 1863 r., przez wrogów w Radomiu rozstrzelanym został 23 grudnia 63 r.

Cześć i sława mu!

*

O tragicznym końcu Chmielińskiego w grudniu, dowiedziałem się, gdy byłem już w Lubelskiem.

L Do końca jednak października, a nawet początków listopada, pełniłem moje obowiązki w Olkuskiem.

Za ciasno mi jednak tam było, wobec przesładowań mej matki i odgrazań się Czengerego jakoteż sfory szpiegów, którzy mnie wydać mogli.

W pięknym więc dniu listopadowym, zacny pan Derych, właściciel wsi w Olkuskiem i kamiennicy w Krakowie, przewiózł mię na swym wózku, przez jakiś przykomorek, w charakterze swego lokaja.]

Lecz to do opowiadania o Chmielińskim nie należy.

IX.

Pomyłka.

Kto zna Kraków takim, jak on się przedstawia codziennie, to jest Kraków spokojny i poważny, z wyglądem smutnym a nawet trochę ponurym, ten wyobrazić sobie nie jest w stanie, jak ten staruszek nasz potrafił się ożywić i rozruszać w czasie powstania 1863 roku.

Były wtedy chwile, że ludność Krakowa nie tylko w dwój- ale i w trójnasób się zwiększała a hotele i domy prywatne od piwnic aż do strychu przepełnione były. — Place i ulice roiły się od tłumów młodzieży, często jak na maskaradę przebranych w różne rycerskie szaty.— Nietylko teatr, restauracye, ka iarnie, cukiernie przepełnionemi były, ale i w 40-tu kościołach krakowskich pełno było.

Wszędzie rozprawiano głośno o potyczkach i bitwach stoczonych, a gdybyśmy byli odnieśli w rzeczywistości dziesiątą część zwycięstw, jakie na ulicach Krakowa językiem odniesiono, to z pewnością nie zostałoby było i na nasienie u nas Moskali!

Wszyscy zwyciężali w Krakowie, a „Czas“ wyrażnie „Czas“ w tem przodował! „Niezdrowa agitacya rewolucjonistów-konspiratorów“ dziś by o tem „Czas“ powiedział, lecz to tylko potwierdza przysłowie łacińskie „*tempora mutantur*“ co znaczy, że „Czasy“ się zmieniają.

Wysoka polityka i dyplomacya także kwitły pod przewodnictwem „Czasu“, i pamiętam jak 2. grudnia

czuwało miasto całe, w oczekiwaniu depeszy o mowie Napoleona III przy otwarciu „Ciała prawodawczego“. Wraz z innymi i ja się znalazłem w restauracyi, Hotelu Saskiego, gdzie prezydował ówczesny główny redaktor „Czasu“ Leon Chrzanowski.

Około północy odebrał on depeszę oczekiwaną i przeczytał znaną blagą Napoleona III. o „zdeptaniu traktatów w Warszawie“ i o „różnych czarnych punktach na horyzoncie europejskim“ a kończącą się górno-brzmiać: „wierzę, że usłyszanym, będę bo mówię to w imieniu Francyi“.

„Mamy więc interwencyę“ zakonkluował pan Leon, którego nie wiem dlaczego, wówczas „Kogucikiem“ w Krakowie zwano; a wszyscy z wielką radością się rozeszli.

Ileż to projektów mniej więcej fantastycznych, a mających zbawić Ojczyznę, na bruku krakowskim się urodziło!!

Wszak tam także w owym czasie, a nawet podobno na linii A — B, spotkało się dwóch znakomych polityków naszych, a z wymiany ich zdań, opartych na historycznych przykładach Radziejowskich i Radziwiłłów z XVII-go wieku a Taigowiczau z XVIII. wykuła się „wielka myśl poddania się losowi“ ubrana w formy „trójlojalizmu i trójpatryotyzmu“.

„Wiekopomna“, „sławna“, „niezrównana“ „idea ta polityczna“ objawioną została później narodowi w „Rzeczy o roku 1863.“ Szkoda tylko, że autor tego „głęboko politycznego dzieła“ nie oznacza dokładnie epoki poczęcia jego przewodniej myśli Mnie bo się zdaje, że tak tryumf dyktatorski w Goszczy jak i zniknięcie dyktatora po zwycięstwie pod Grochowiskami, były już następstwem i zastosowaniem logicznem tejże samej wielkiej idei“

— — — — —

O! tak zaiste: Kraków to Panteon naszej przeszłości, Kraków, jak mówią Warszawianie, to Mekka polska, ale ja dodam, że Kraków, to była Capua powstania z 1863/4 roku!

Demoralizowaliśmy się tam pod każdym względem, a wszystko temu sprzyjało.

Wielcy dygnitarze powstania przesiadywali zbyt często w Krakowie, dając z bezpiecznego swego schronienia rozkazy tym, którzy mienie i życie swoje w każdej chwili narażali.

Rozentuzyazmowane kobiety, psuły niedorośliwych bohaterów, których większość o zwycięstwach na polu Amora a nie Marsa myślała. Uciekinierzy pasowani na rycerzy, fotografując się w najfantastyczniejszych pozach i kostiumach, zapisywali się do coraz to innego nowo formującego się oddziału. Żołd pobierali, a za to bawili się, romansowali i politykowali do syta, całą zaś energię, którą za kordon przenieść należało, zużywała nie tylko młodzież ale i policja narodowa, na walki partyjne, na naganki za „mieroślawczykami“.

Policja austriacka długi czas trzymała się zupełnie na boku, a w czasie mojego pobytu w Krakowie t. j. w Listopadzie 1863-go odbywała niby to rewizye tu i owdzie, ale jeszcze naprawdę przez palce na to co się działo, patrzała. — Nic więc nie nagliło młodzieży, do opuszczenia Krakowa, bo do duszy i serca lenistwo i zniewieściałość się wkradły.

W czasie mojego trzytygodniowego pobytu w Krakowie, byłem świadkiem dwóch rewizyj politycznych.—Raz w nocy przy ulicy Floryańskiej, w domu pana Derycha, w którego mieszkaniu na drugim piętrze kwaterowałem, zbudzono mię i wyprowadzono na strych a zamtąd i na dach, gdzie wlaźszy przez

dymnik ze trzy godziny za kominem siedziałem.—Szukano ponoś na pierwszym piętrze powstańców.

Drugi raz we dnie, byłem w Saskim hotelu w jakimś biurze organizacyjnym, gdy dano znać, iż idzie rewizya. Wpakowano mi w kieszenie kilka paczek banknotów, tak jak i innym obecnym, wyszedłem drugimi schodami, a po dwóch godzinach banknoty na toż samo miejsce odniosłem.

Po trzech tygodniach tak beczynnego a wprost nielicującego życia z zadaniem powstańca, nie mogłem dłużej wytrzymać. — Jak doświadczyłem mój wzrok krótki nie pozwolił mi wojować, — w Krakowskie niebezpiecznie było wracać, postanowiłem więc udać się w Lubelskie, gdzie mię wcale nie znano.

Uzbrojony w paszport narodowy, od komisarza pełnomocnego, województwa, krakowskiego, jakoteż w jakiś „pas“ austriacki, wyjechałem koleją, 3. Grudnia według wskazówek do Rzeszowa. — Tam nocowałem w hotelu „pod zielonym dębem“ a nie pamiętam kto, udzielił mi wskazówek i adresów w Łańcucie i Tarnogrodzie.

Do Majdanu, ostatniej wioski przed miasteczkiem dojechałem po zachodzie słońca, przez granicę już nie przepuszczano, więc w brudnem karczmisku żydowskiem nocować musiałem. Nocleg ten uprzyjemnili mi dwaj oficerowie austriaccy, zaprosiwszy do siebie na preferansą

Nazajutrz bez przeszkód granicę przebyłem i zajechałem do pana Newe w Rozannie, o pół mili od Tarnogrodu, nad samą granicą. Po śniadaniu pan N. odesłał mię do państwa Śliwińskich o jakie dwie mile dalej, tam miałem otrzymać informacye, co do miejsca pobytu komisarza pełnomocnego, województwa Lubelskiego.

Państwo Śl. młodzi oboje, gościunnie i uprzejmie mię przyjęli, a dowiedziawszy się o celu mego przybycia, dalszy wyjazd pod jak.mś pretekstem do jutra odłożyli. — Znalazło się tam jeszcze dwóch młodych ludzi, a czas na gawędce i opowiadaniu nowin krakowskich zeszedł. — Uważałem tylko, że na punkcie objaśnień organizacyjnych, wszyscy ci państwo byli bardzo ostrożni.

Nazajutrz znaleziono znowu jakiś pretekst w ruchach moskiewskich, czy coś podobnego, aby mój wyjazd odłożyć, a ostrożność poprzednia względem mnie, w prawdziwe niedowierzanie się zmieniła. — Zauważyłem półstówka tajemniczo na ucho sobie powtarzane, a położenie moje coraz przykrzejsze się stawało. — Gdy wspomnę o potrzebie wyjazdu, — to mi powiadają, że drogi niebezpieczne, że dla pewności, ci dwaj młodzi panowie mają mię odprowadzić.. ale... ale... zawsze jeszcze coś na przeszkodzie stało.

Tak nadszedł i wieczór a na moje nastawanie, wyjazd z pewnością nazajutrz obiecano. — Gospodarstwo stawali się coraz chłodniejsi dla mnie, a ja przy czyny tego nic a nic nie rozumiałem.

Nadszedł i ranek przeznaczony do wyjazdu. — Z chmurną, zafrasowaną panią domu siedziałem przy kawie, a starając się o ile możności podtrzymać rwącą się rozmowę, przerzucałem machinalnie album z fotografiami, jaki mi się nawinął pod rękę. — Naraz spostrzegłszy fotografię jednego z mych petersburskich kolegów, zawołałem:

— Czy Stanisław Przewuski jest państwu znany? — gdzie on jest? — co się z nim dzieje?

Oblicze pani domu nagle się rozjaśniło i rzekła z radosnym uśmiechem.

—*Jakto, pan zna pana Stanisława?* Po wyjaśnieniu stosunku, jaki nas łączył, pani Śl. sprowadziła męża i dwóch młodych panów a z rozmowy wszystkich widziałem, iż lody przełamane zostały.

Przeproszono mnie za niedowierzanie mi okazywane, i proszono bym został na obiedzie, bo dla mego bezpieczeństwa, sama pani domu chce mię odwiedzić. — Naturalnie, że się zgodziłem a dwaj młodzi panowie tymczasem odjechali; państwo Śl. zupełnie już inni dla mnie byli.

Po obiedzie pani domu odwiedza mię kilka mil i oddała w pewne ręce, a tak znalazłem się u bram Zamościa we wsi Chomęciskach u zacnego Antoniego Rózyckiego, naczelnika narodowego, powiatu Zamojskiego, który mię do pułkownika Żaczka, ówczesnego komisarza pełnomocnego województwa w Starym Zamościu doprowadził.

Gdyśmy się tak zaznajomili i rozgadali, opowiedziałem im, dziwne postępowanie ze mną państwa Śl. a pocziwy pan Antoni śmiejąc się powiedział:

—Dobrze ci się kochany kolego udało, bo wzięwszy cię za szpiega, którego przyjazd mieli zaanon-sowany z Galicyi, chcieli cię w drodze ni mniej ni więcej tylko w pierwszym lesie powiesić, a owi dwaj młodzieńcy wszystko ku temu przygotowali. — Fotografia Stanisława, który z nami pracuje, zbawiła cię!

Bóg cię więc ocalił, a tym uczciwym ludziom oszczędził zbrodni przez „p o m y ł k ę!...”

Ileż to podobnych pomyłek fatalny miało koniec??...

Marzec 1900 r.

X.

Narzeczona.

Źle się już działo z naszym powstaniem w lutym 1864 r. w Lubelskiem.

Oddziały powstańcze coraz mniejsze, coraz rzadsze były, a zuchwalstwo Moskali coraz się powiększało. Nic więc dziwnego, że coraz częściej zdarzały się fakta niekarności narodowej, że samolubstwo jednostek, chciało wyzyskać to położenie na swoją korzyść!

Zaległości w płaceniu podatków narodowych zdarzały się coraz częściej, a odmowy płacenia także nie były rzadkiemi.

Jednego więc razu zeszliśmy się z mym naczelnikiem, województwa, pułkownikiem Żaczkiem (śp. Józef Odrowąż Wysocki) gdzieś w krasnostowskiem, czy zamojskiem, w jednej z licznych Gruszek.

Pułkownik Żaczek rzekł do mnie:

—Właścicielka Tyszowiec odmawia zapłaty podatku zaległego w wysokiej sumie (nie pamiętam już jakiej) a naczelnik powiatu pisze mi, że temu zaradzić nie może.—Jedź więc tam a porozumiawszy się z naczelnikiem powiatu, ściągnijcie zaległy podatek, choćbyście mieli udać się do pomocy, kręcącego się tam oddziałku Karola Świdzińskiego.

Jak kazano tak i spełniono; tegoż dnia uzbroiwszy się w paszport wójta gminy, opiewający na imię Andrzeja Podgórskiego, byłem już w drodze.

Przy śniegu i mrozie, sanki mknęły szybko, unosząc mię otulonego burką, w nieznaną okolicę. Którędy jechałem, tego nie pamiętam, wiem tylko, że wstępowałem do znaanej patryotki pani Zakrzewskiej, a w Skomorochach czy Tuczępach u jednego z panów Świdzińskich nocowałem.

Dojechałem nareszcie do jakiejś miejscowości, gdzie mieszkał naczelnik powiatu hrubieszowskiego pan Grott. Tu się dowiedziałem, że wyprawa moja musi pozostać tym razem bezskuteczną, bo Moskale są w Tyszowcach a cała okolica przeżynaną ustawicznie przez tak zwane „oddziały latające“, które polują na oddziałek powstańczy Karola Świdzińskiego. Poradził mi więc pan G. zwrócić marszrutę ku północy, aby nie wpaść w ręce wrogów.

Tak więc zrobiłem, lecz z tej podróży pamiętam tylko, że wieczorem wśród śnieżnej zamieci zatrzymałem się chwilowo u jakiegoś pana Ligoskiego, który mię niezwłocznie dalej o jaką milę odesłał.

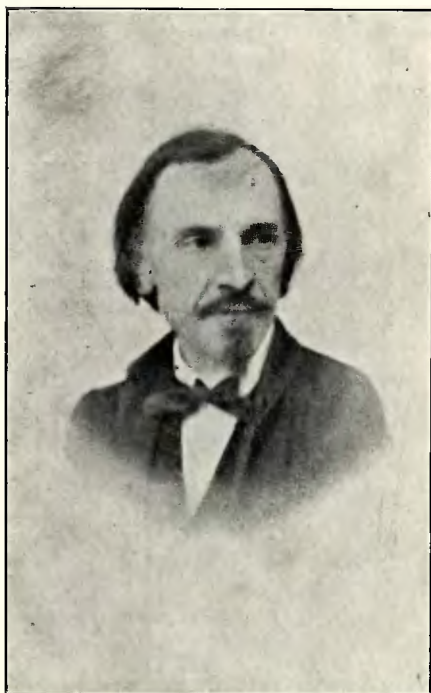
Około 9-tej wieczorem stanąłem w Białowodach w gościnnym domu państwa Domańskich, gdzie mię na noc zatrzymano.

Dzieciaki już spały, a oprócz państwa, ludzi jeszcze młodych, znajdowała się w domu siostra pana D., jeżeli się nie mylę, panna Julia.

Przy herbacie dowiedziałem się, że znajdował się w domu w leczeniu brat pana, czy pani, ranny.

Około 11-tej w nocy udaliśmy się na spoczynek. Rozkładu domu zupełnie nie znałem, oprócz pokoju jadalnego i salonu za nim następującego, w którym mi na kanapie posłano.

Zasnąłem twardo, gdy około 3-ciej lub 4-tej rano rozległ się łoskot uderzeń naraz do wszystkich drzwi i okien, — a w tych ostatnich sylwetki basztyków moskiewskich, na tle śniegu się zarysowały.



Pułkownik ŻACZEK.
(JÓZEF ODROWAŻ WYSOCKI)
Ostatni Komisarz pełnomocny Województwa Lubelskiego.
Zmarł w Lipowcu pod Krakowem w 1904 roku.

Cały dom stanął na nogach pod wpływem złowrogich krzyków moskiewskich, — ja zaś bałem się ruszyć, ażeby nie być spostrzeżonym przez Moskali, stojących w oknach i przemyślałem tylko nad tem, jakby się pozbyć dokumentów obciążających, które kurczowo w ręku ściskałem.

Już słyszałem Moskali w sąsiednim pokoju, zarządzających jak u siebie „czaj! podawat' czaj!“ i groźnie o powstańcach mówiących, gdy przebiegła służąca przez salon. Od niej dowiedziałem się, że w sąsiednim pokoju spi panienka.

Nie troszcząc się o mój kostyum, jak wąż ześliznąłem się z posłania i przypelzałem do pokoju i łóżka panny Julii, dla oddania jej pod opiekę mego pakieciku. Ona go wzięła i zaraz w wielkim wazonie ukryła, a mnie rzekła:

— Pamiętaj pan, że dziś jesteśmy narzeczeni, bo to pana ocalić może.

Trwało to mgnienie oka, poczem ja znów pełzając, powróciłem już spokojniejszy na moje posłanie.

Wkrótce potem panna J. już ubrana przeszła przez salon do jadalnego pokoju, gdzie z wesołym uśmiechem starała się jak najuprzejmiej Moskaluszków zabawić.

Gdym się ubrał, i ja wszedłem do jadalni, i o cudo, panna J. serdecznie mię ucałowała, a cała rodzina imieniem Jędrusia mię nazywała, oficerom zaś przedstawiony zostałem, jako pan Andrzej Podgórski narzeczony panny Julii.

Dwaj oficerowie, dowodzący „oddziałem latającym“, byli to młodzi, od 18 do 20 lat mający, świeżo upieczeni kadeci.

Upzejmość gospodarstwa, a jeszcze więcej piękne oczy panienki, srodze im do serca przypadły, ale

z wielkiem niedowierzaniem na mnie chwilę popatrzyli i zaraz udali się do salonu, aby tam zrobić rewizję.

Nic tam nie znaleźli, ani w pokoju panienki, ale moja burka ich zaintrygowała.

— Wy wsio taki, pawstaniec, pan! — i zaaresztowali mnie, zatrzymując pod swoją strażą.

Gościnnością i uprzejmością starano się zwalczyć młodzików, a panienka, traktując mnie jako przysłego swego dozgonnego przyjaciela pięknemi oczami starała się zahypnotyzować dzikusów.

Graliśmy więc na fortepianie, śpiewali chórem „Boże, coś Polskę“ i „Boże cara chrań“, a już co ciekawsze, to powstańczą piosnkę na nutę „A u naszej popadil“ popijając przytem herbatę z rumem.

Oficerom serca miękły, prowadzili ze mną długie rozprawy, ściskali za ręce i wyrażali żal, że mnie muszą aresztować, bo:

— Wsio taki, wy pawstaniec!

Dnieć zaczynało, gdy wprowadzono do salonu dwa dzieciaczki, chłopczyka i dziewczynkę od trzech do pięciu lat mające. Rzuciły mi się na szyję, obsypując pieszczotami i całusami na powitanie „wujaszka Jędrusia“.

Tu zawahali się młokosy moskiewscy i zdecydowali, aby posłać po wójta, aby on skonstatował, kto ja jestem.

Tymczasem zasiedliśmy z nimi do preferansa, a moja narzeczona, pozwalając im wygrywać, jakoteż gospodarz nalewający to wódki, to wina, wprowadzili paniczyków w złoty humor.

Około dziesiątej nadjechał wójt oczekiwany i o dziwo, poznałem we wchodzącym wczorajszego znajomego pana Ligoskiego, który rzucając mi się w objęcia, nazwał mię swym kochanym Andrzejem“, a o całą rodziną Podgórskich czule się wypytywał.

Temu świadectwu wójta chętnie się pocziwcy poddali, a oświadczając mi, że jestem wolny, jeden z nich dodał:

— A wsio taki, wy pawstaniec! Jej Bohu, wy pawstaniec!

Obiecał mi przytem, że jeżeli mię gdzie w oddziale powstańczym przydybie, to zastrzeli mię z własnego rewolweru!

— Zgoda — odrzekłem — jeżeli ja Was uprzedzić nie zdołam!

Najadłszy się, napiwszy, „latający oddział“ moskiewski wymaszerował już dobrze po południu.

Ocalony więc znowu byłem, dzięki prawdziwemu poświęceniu panny Julii, a przytomności umysłu wszystkich, poczynawszy od drobnych dzieciaczków. Wszystko to zaś urządziła panna J., która wobec niebezpieczeństwa i przy oryginalnej scenie w jej pokoju, miała na tyle przytomności, by mię zapytać na czyje imię mam paszport!

Naturalnie że dzieci były nauczone, a panu Li-goskiemu przez posłańca dano znać, że jest tu także p. Andrzej Podgórski z Gruszki.

Po naradzie uznaliśmy jednogłośnie, że nie należy tego dnia puszczać się w podróż i dlatego na noc w Białowodach zostałem.

Byliśmy po kolacyi, a po wzruszeniach dnia mieliśmy zamiar udać się na spoczynek, gdy naraz zahuczało na dworze, a służba wpadła z okrzykiem „Moskale!“

Dzięki Bogu, byli to nasi znajomi z nocy poprzedniej. Tak im się widać tam podobało, że postanowili znowu zabawić się z nami.

Gdy weszli dwaj praporszczykowie, nie mogli wstrzymać okrzyku, widząc mię:

— A wy tutaj! — a jeden z nich nie omieszkiał dodać:

— Wsio taki, wy pawstaniec!

I znowu z panną Julią trzeba było przyjąć rolę narzeczonych, karmić ich, poić i zabawiać, aż rankiem dopiero zabrali się do wymarszu.

Zegnając się ze mną, ten sam zawsze młokos powtórzył mi swoje:

— A wsio taki, wy pawstaniec!

Gdyśmy się upewnili, że Moskale pomaszzerowali do Hrubieszowa, wydostałem moje papiery, które bezpiecznie w nawozie były ukryte, a przeprosiwszy moich gospodarzy i ich piękną i ładną siostrzyczkę, za tyle sprawionego im kłopotu, — na zawsze ich pożegnałem.

Co jednak może wzrok oczów panieńskich.

Moskale tak byli niemi oślepieni, że ranny braciszek gdzieś w pokoiku spokojnie przeleżał, pomimo robionych rewizyj.

„Oj, nie zginęła jeszcze Ojczyzna

Bo gdzie niewiasty tak czują..“

nuciłem odjeżdżając ku Chełmowi.

Wyprawa więc Tyszowska nie udała się, a czy jej kto potem próbował i z jakim skutkiem?— tego nie wiem, losy bowiem gdzieindziej mię zagnały.

Marzec, 1900 roku

XI.

Sąd wojenny.

Wiatr przenikliwie zimny dał ponad drzewami, otrząsając z nich to resztki śniegu, to przymarzłe do gałęzi sople, a od czasu do czasu wielkie śnieżne płaty spadały na ziemię; wrony i kruki krakały siedząc na karłowatych sosnach wielkiego lasu w okolicy Turobina.

W lesie, przy wyrębie koło kołowrotu, zamykającego drożynę do leśniczówki, stał młody człowiek na pół wojskowo, na pół zebraczo ubrany, trzymając oburącz karabin i przestępując z nogi na nogę, dla rozgrzania kostniejących członków. Zimny bo to był koniec marca 1864 r., a powstaniec stojący na placówce, dawno już musiał nie być zluzowany.

Z daleka dochodzący turkot wozu po korzeniach dawno zwrócił uwagę wartownika, który pilnie łowił go uchem, aż dopóki na zakręcie drożyny nie pokazała się bryczka na resorach, zaprzężona w parę siwojabłkowitych koni.

W bryczce siedział młody mężczyzna, widocznie krótkowidz, bo w okularach na nosie, z młodzieńczym jeszcze zarostem.

Żołnierz zatrzymał podróżnego zapytaniem:

— Kto idzie?

— Swój — odpowiedziano.

— A dokąd? po co? — znów pytał.

— Do naczelnika — odparł podróżny — od Rządu Narodowego.

Żołnierz wskazał ręką, w kępie drzew kryjącą się leśniczówkę; dwóch innych powstańców, znajdujących się na podwórzu leśniczówki, wprowadziło podróżnego do izby.

Tutaj przy stole zastawionym rozmaitymi prowiantami i butelkami, siedział człowiek około 32 lat liczący, otoczony kilkoma karabinami. Wzrostu więcej niż średniego, barczysty, silnie zbudowany, z włosami kędzierzawymi i takimże zarostem, twarzą śniadą, nosem wydatnym a oczyma palącemi, jak węgiel, miał ten człowiek pozór siły i pewności siebie.

Przyjął dość lekceważąco gościa i nie wstając z ławy, zapytał:

— A czego sobie życzysz obywatelu?

Po wyjaśnieniu, iż tylko sam na sam mówić może i po oddaleniu natrętów, zabrał głos podróżny:

— Wszak to wasze podpisy i pieczęcie na tych rozkazach rekwizycyi, nadesłanych do dworów?...

— A co ci do tego obywatelu? Na jakiej zasadzie pytasz mnie o to?

— Pytam cię o to — odparł przybyły — w imieniu Rządu Narodowego, gdyż jako zastępca komisarza województwa, mam prawo do tego, w imieniu tegoż Rządu!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się ten, którego zwano naczelnikiem. — Patrz obywatelu, oto mój Rząd Narodowy!

To mówiąc, wskazał na arsenał karabinów, stojących obok niego. — A jako pułkownik Szydłowski, naczelnik wojenny województwa podlaskiego, — dodał: żartuję sobie z waszej organizacyi.

— Ależ człowieku! Szydłowski, czyli Jankowski,

ranny wpadł w ręce Moskali, a dziś prawdopodobnie już jest stracony! To fałsz, to oszustwo, podszywać się pod nazwisko dzielnego a nieszczęśliwego dowódcy, a bandytyzmem jest nakładać kontrybucye w pieniądzach i w naturze na obywateli kraju a w razie odmowy bić ich, katować i grozić szubienicą! To zbrodnia, używać do tego blankietów, któreś skradł zapewne swemu dowódcy!

— Zapominasz obywatelu, — przerwał bandyta — że ja z całym twojem pełnomocnem komisarstwem mógłbym cię tu kazać powiesić!

— Wiem o tem dobrze — odrzekł młodzieniec — i zaprawdę mówię ci, że możesz to uczynić, lecz jutro już cię nie będzie! Uczyni to jednak, bo przysięgam ci, że jeżeli w trzech dniach ty, z twcimi siedmioma bandytami, nie złożysz broni i nie udasz się do oddziału narodowego, według mych wskazówek, to rozprawi się z wami sąd wojenny!

Opryszek zmiękł i stał się uprzejmiejszym dla gościa, lecz nie dał się nakłonić, ani do wydania blankietów Szydłowskiego, ani do złożenia broni i wejścia do oddziału powstańczego.

Na odjezdnem zastępcy Rządu, rzekł z ironią do niego:

— No, obywatelu, komisarzu, nie radzę ci abyś tu kiedyś więcej przyjechał!

Na to komisarz już z bryczki powtórzył swe trzydniowe ultimatum.

A wicher wył ponuro i sosny szumiały przy akompaniamencie złowrogiego krakania kruków!

* * *

W tydzień potem, w wielkim, sosnowym borze, w okolicy Kurowa około młyna, turkoczącego nad

strumieniem, odpoczywał, pod wodzą Berka, konny oddział żandarmerji narodowej. A było ich trzydziestu.

Wicher szumiał ponad wysokimi sosnami, śniegu w lesie prawie nie było, a kruki i wrony krakały zapewne z radości, że im się żer z pod śniegu odkrywał.

Jedyną drożyną, prowadzącą do młyna, znowu tą samą bryczką nadjechał ten sam przedstawiciel Rządu Narodowego.

Przywitawszy się z dowódcą oddziału, zapytał:

— A co, macie go?

— Tak jest — brzmiała odpowiedź — i trzech jego rabusiów, bo czterech uciekło.

— Czy się nastraszył? Czy nie prosi o przebaczenie i przyjęcie do oddziału? — zapytał znowu komisarz rządowy.

— Ale gdzie tam! Mówi, żeśmy rozbójnicy, wymyśla nam i z góry traktuje. Zemstę przytem poprzysięga. Jego pomocnicy mówią, że go nie znają, wszyscy oni są uciekinierzy z różnych oddziałów, a ich herszt, zdaje się, był w oddziale Jankowskiego. Ma to być jakiś golibroda z Warszawy.

Na rozkaz komisarza, przyprowadzono więźnia, z rękami związanemi w tyle. Prózne jednak były usiłowania, skłonienia go do skruchy, żalu, przyznania się. Oprócz obelg i złorzeczeń, nic od niego wydobyć nie można było.

Z wielką przykrością i bolem w sercu, widział się przedstawiciel Rządu Narodowego zmuszonym, do złożenia sądu wojennego. Dowódca oddziału, jeden podoficer, i jeden żołnierz weszli w skład sądu.

Na sto kroków od obozowiska, na pniach drzew ściętych zasiadł ów sąd nieszczęsny, który albo życie z wcieleniem do oddziału, albo śmierć tylko miał do

wyboru, a wicher szumiał smutno po drzew wierzchołkach, zlewając swe żałosne tony z krakaniem kruków!

Delikwent, postawiony przed sądem, zaprzeczył oskarżeniu, utrzymując stanowczo swoją tożsamość z Szydłowskim-Jankowskim i prawo do rabunku, pod postacią rekwizycyi i kontrybucyi. Wyraził żal, że obecnego tam komisarza przed tygodniem nie powiesił, że cały Rząd Narodowy to rozbójnicy i że jeżeli będzie jeszcze żył, to wszystkich odda Moskałom, którzy są więcej warci od Rządu Narodowego.

Wszelkie perswazyje przyprowadzały tego opętańca do większej jeszcze wściekłości, tak iż do obozowiska odprowadzić go musiano.

Dusze w sędziach zamarły, na widok, jak ten nędznik nie tylko był zdolny do rabunku, ale i do zdrady, a na postawione przez komisarza pytanie:

— Co z nim zrobić? — trzykrotnie powtórzono:

— Śmierć! Śmierć! Śmierć!

.
Puhacz odezwał się w głębi lasu, kruki i wrony wielki krzyk podniosły, a wiatr już nie szumiał, ale jęczał żałośnie, jakby się użalał nad losem tego nieszczęsnego zbrodniarza, czy opętańca, nad losem tych gladyatorów, którzy jednego, bądź co bądź, ze swoich na ofiarę oddać musieli, nad losem całego narodu, czyniącego śmiertelne wysiłki, do podtrzymania walki z odwiecznym wrogiem!

. ,
W godzinę potem siedząc przy trzęsącym się stole turkoczącego młyna, komisarz rządowy drżącą ręką musiał potwierdzić wyrok sądu wojennego!

.

Smutne to, ciężkie i straszne, ale innej rady
nie było!

„Salus reipublicae suprema lex!

* * *

Czy wyrok był wykonany? — o tem dowiedzieć
się, ani ochoty, ani czasu, ani sposobności nie miał
już przedstawiciel Rządu Narodowego.

Wir wypadków uniósł go gdzieindziej.

.

W Marcu 1900 r.

XII.

Renegat zbawcą.

Było to w końcu marca, a może nawet w początku kwietnia 1864 roku. Zima rozpościerała jeszcze nad całą Polską swe panowanie, mróz i śnieg, przeplatane odwilżą i deszczem, po sobie następowały a z rzadka tylko, z poza chmur, wyjrzało słońce, jako zwiastun zbliżającej się wiosny, a więc odrodzenia w naturze.

Niestety! wprost przeciwnie działo się z naszym powstaniem, które wycieńczone 14-miesięcznymi wysiłkami, jak lampa wypalona dogorywało,

Oprócz dzielnego wodza w Sandomierskiem Bosaka, który sam jeszcze na ostro z wrogami się ścierał, tylko gdzieś niedobitki oddziałów powstańczych się pokazywały. W Lubelskiem i Podlaskiem już dzielny Jankowski znany w końcu pod nazwiskiem Szydłowskiego, przez Moskali schwytany i na śmierć wydany został, Marecki poległ w okolicach Kurowa, a Leniecki jakoteż Krysiński z resztkami oddziałów musieli się wycofać z kraju. Sam nawet Wróblewski, wytrwały dowódca konnego oddziału litewskiego, po stoczeniu kilku potyczek, okryty ranami widział się zmuszonym przez osaczające go siły wroga do rozpuszczenia oddziału i wyjazdu do Galicyi

I mnie losy moje powstańcze zawiodły wówczas w Lubelskie, gdzie od początku grudnia 1863 roku zajmowałem zaszczytne a niekoniecznie bezpieczne

stanowisko pomocnika i sekretarza pełnomocnego pułkownika Żaczka.

W chwili, o której piszę, nietylko szeregi powstańcze zrzedły i nikły, lecz i pod wpływem zwątpienia i paniki, obejmującej coraz szersze kręgi, luki w organizacyi narodowej stawały się coraz większemi.

W tej to epoce oprócz powyższego mego dygnitarstwa, pełniłem zarazem obowiązki naczelnika powiatu krasnostawskiego i lubelskiego. Naturalnie rezydencyi stałej nie miałem, a raczej rezydowałem na bryczce, w ciągłej podróży pomiędzy Kurowem, Krasnym Stawem, Zamościem i Hrubieszowem, spełniając najrozmaitsze misye, do których mnie pułkownik Ż. delegował.

W ostatnich jednak czasach bawiłem ciągle w okolicach Lublina, a często w Biskupiu pod samem miastem, gdzie, stykając się codziennie z Moskalami, czułem się bezpieczniejszym, niż zdala od Lublina, gdzie rodacy, nastraszeni częstymi napadami Moskali, ich barbarzyństwem, niechętnie już przytułek powstańcom dawali.

Powiat lubelski, jako podlegający najczęstszym napadom Moskali, był też najwięcej zdemoralizowany i zwątpiały, i dlatego to mój naczelnik, komisarz pełnomocny, wysłał mię tam z zupełnem pełnomocnictwem, dzieląc się swą władzą ze mną t. j. dał mi pewną liczbę blankietów z pieczęcią komisarzką do dyskrecyonalnego użytku.

Chodziło o podniesienie upadającego ducha o wskrzeszenie uroku powstania i Rządu Narodowego, działanie więc winno być szybkie bez wahania i odnoszenia się do wyższej instancyi.

Komunikacye przytem były wielce niebezpieczne z powodu ośmielenia Moskali beczynnością powstań-

ców. Bandy kozaków po kilkanaście koni zapędzały się o trzy lub cztery mile od Lublina, organizując warty chłopskie po wsiach i plądrując dwory i plebanie.

Przyznać ze smutkiem należy, że dwie szajki rozbitków, przybierających nazwiska znanych dowódców, pozwalały sobie nakładać kontrybucye na dwory, — co zniechęcało patryotów i narazało powagę Rządu Narodowego.

Utworzenie oddziałku konnego z 25 ludzi pod dowództwem jakiegoś Berka (pseudonim żydowski), w części temu na razie zaradziło, napędzając strachu kozakom i karząc szubienicą opryszków niepoprawnych.

Dokładając wszelkich usiłowań do utworzenia nowych formacyj lub do zwiększenia powyższego oddziału, potrzebowalem środków do tego odpowiednich, gdy niestety, podatki narodowe coraz trudniej i leniwiej wpływały.—Ściąganie ich siłą okazało się nieuniknionem, a uzbrojenie ku temu oddziałku policyi narodowej było koniecznem.

W owych ciężkich czasach ogólnego zwątpienia, gdy instynkt zachowawczy, zwierzęcy brał górę w ogromnej już większości nad wszelkimi ideami i poczuciem obowiązku narodowego, istnienie powstańca, a tem więcej organizatora, mającego z sobą pieczęcie, blankiety i t. d. nie należało wcale do rzeczy łatwych i przyjemnych.

Nie dość, że na drożynach (bo już drogami jeździć nie można było) musiał się on wyklamywać wartom chłopskim, a wymykać często napotykanym kozakom—jeszcze widział on wszędzie, iż przywozi z sobą strach paniczny i że w chwili odjazdu najwięcej radzi mu będą.

Były jednak i wyjątki, które. ocenając pobudki działania tych, co w każdej chwili na śmierć musieli

być gotowi, wyżsi byli nad instynkt samoochronny i z gotowością do poświęcenia siebie, z prawdziwie polską gościnnością nas przyjmowali.

Do takich domów należały: w Krzczonowie dwór zacnej pani Osten i plebania prałata ks. Sosnowskiego — w Czerniejowie dwór dzierżawcy (nazwiska zapomniałem)—w Biskupiu na przedmieściu Lublina dom państwa Zdzisławów Paderewskich i wiele innych. — Cześć pamięci zacnych obywateli!

W czasie, o którym piszę, podobną gościnność znalazłem w Moszenkach pana Wołowskiego, gdzie kilkakrotnie przebywałem,

Wioska Moszenki leży na wschód od Lublina, o niecałe trzy mile od miasta, a prawie o milę jest oddaloną od szosy, prowadzącej z Lublina do Warszawy.

Gdy po raz pierwszy przyjechałem do Moszenek, gospodarz przyjął mnie ostentacyjnie dla pozorów, jako sąsiada przybyłego z dalekich okolic. To mu szło tem łatwiej, iż piękne siwo-jabłkowite konie, tudzież ładny powozik z furmanem w kerezy i krakusce, nadawały mi wygląd wcale „obywatelski“ (zaprzęg ten był darem narodowym zacnej właścicielki Sobieskiej Woli, a furmanem był powstaniec)

Za drugim, czy za trzecim powrotem do Moszenek, gospodarz zostawiwszy mi swój dwór do rozporządzenia, czy z potrzeby, czy przez ostrożność wyjechał do Lublina, co jemu i mnie na dobre wyszło

Dworek w Moszenkach zbudowany na kilkostopniowym podmurowaniu, składał się, jak zwykle dwory, z sieni i pięciu pokoi, tak, iż wszedłszy do sieni na prawo, czy na lewo, cały dom w około obejść było można. Po prawej stronie był salonik i sypialnia pana, po lewej pokój jadalny a potem sypialnia zarządczyni domu, środkowy zaś pokój służył za skład różnych rupieci.

W sprawach, jakich spełnienie leżało w zakresie mych obowiązków, była mi wielce pomocną niejaka pani Wiśniewska, wdowa, czy żona wygnańca syberyjskiego.

Jak w pokoju, tak i w wojnie, rola kobiety jest niezaprzeczalnie wielka, a coś dopiero w powstaniach! Nasze Polki były też wszędzie czynne i pełne odwagi w najtrudniejszych okolicznościach, lecz wytwór i miano tak zwanych „kuryerek“ były własnością Lubelskiego. Każdy oddział, każdy dowódca miał swoją, lub swoje kuryerki a więc i organizacja cywilna także miała swoje.

Były to w ogóle zacne osoby, oddające wielkie usługi powstaniu, lecz czasami i jaka awanturnica pomiędzy nie się wkradła.

Nieustraszona odwaga i przytomność umysłu wobec niebezpieczeństwa, często pozwalały im nie tylko wykręcić się z moskiewskiej matni ale i wroga w błąd wprowadzić

Do takich należała pani Wiśniewska i najtrudniejsze misje z uśmiechem na ustach spełniającą. W kwietniu 1864 roku wyjechała z Moszenek do Lublina, aby mi stamtąd sprowadzić 12 rewolwerów i tyleż sztyletów, które naczelnik miasta miał jej wręczyć.

Około 10 w nocy pani W. powróciła, obładowana osobiście całym tym pakunkiem.

Dla ostrożności zaraz po przyjeździe, wśród ciemnej nocy, wynieśliśmy we dwoje z panią W. broń do ogrodu, gdzieśmy ją wraz z moimi papierami zakopali.

Późno w nocy położyliśmy się na spoczynek, a mianowicie pani W. w pokoju jadalnym na kanapie, ja zaś w salonie. Gospodarza, pana Wołowskiego, jak wspomniałem, nie było w domu.

Zaledwie pierwszym snem zasnąłem, snem młodości, gdy nagły łoskot dobijających się ludzi do wszystkich drzwi i okien postawił mnie na równe nogi, a w ciemnościach bezksiężycowej nocy, dostrzegłem poza oknami sylwetki pik i baszłyków kozackich. Od krzyków moskiewskich: „otworzyć natychmiast!” z wszelkimi dodatkami o „buntowszczykach, miatieżnikach i maszennikach“, dom cały trząsł się w posadach.

Oswojony już niejednokrotnie z podobnemi napaściami, z których los szczęśliwie mnie wybawiał, nie straciłem przytomności, lecz korzystając z czasu, gdy kobiety spiące po drugiej stronie domu, Moskalom otwierały, zebrałem w jednej chwili pościel z kanapki, na której spałem, wraz z ubraniem i przeniosłem to wszystko na łóżko nieobecnego gospodarza, do sąsiedniego pokoju. Zaledwie miałem czas łóżko rozrzucić, tak, aby wyglądało, że na niem spałem, gdy od strony pokoju gospodyni usłyszałem już krzyki Moskali, a postąpiwszy parę kroków, natknąłem się w pokoiku z rupieciami na oficera z rewolwerem w rękę, poprzedzonego przez dwóch kozaków, z pochylonemi ku mnie karabinkami, gotowymi do strzału.

—Haa... pan Wołowski! wszak to wy, pan Wołowski, ja wam pokażę, jak to przechowywać buntowników! Zaraz mię prowadzić! zrobimy rewizyę!

Na słowa te, wymówione po moskiewsku przez zaczerwienionego opoja, zawahałem się, czy nie zawierają one jakiego podstępu, lecz on mi nie dał przyjsć do słowa, krzycząc, wymyślając i powtarzając ciągle, że ja jestem panem Wołowskim. Podczas tego kozacy przewracali wszystko, co było pod ręką! szafy, kufry, łóżko i t. d. Ja milczałem zdziwiony, gdy znowu dowódca bandy, przerzucając książki biblioteczeki

właściciela, odłożył parę romansów francuskich na bok, a posławszy na chwilę kozaków do drugiego pokoju, odezwał się do mnie półgłosem z naciskiem po polsku: „Pan jest Wołowskim!.. po co te książki trzymać?“ A potem znowu narobił hałasu, zabierając owe książki francuskie, jakoby dowody mej zbrodni.

Huknął tymczasem: „Czaj! pan Wołowski, wódki dla żołnierzy!“

Przetrząsnęto wszystko w całym domu, lecz oprócz romansów, których nie rozumiał nie zbrodniczego nie znalazł. Gospodyni zakrzętnęła się około herbaty, a ja osobiście na żądanie dowódcy, poszedłem do nieznanego lamusu, aby natoczyć wódki i napoić nią żołdactwo.

Przekonałem się wtedy naocznie, że oddział, w którego rękę byliśmy, składał się z 20 mniej więcej kozaków, a dowódcą ich nie był żaden oficer, lecz osławiony inspektor policji lubelskiej, zaprzaniec, Jakowski, który dla karyery wraz z rodziną carosławie przyjął!

Zdumienie moje i niedowierzanie tem więcej wzrosły, lecz nie tracąc zimnej krwi, grałem dalej rolę gospodarza, upajając Moskali wódką, a popijając herbatę z arakiem z ich dowódcą.

Tymczasem pan inspektor przewracał książki, wymyślał na bunt po moskiewsku, a kozacy jego przetrząsali wszystko w kuchni i na folwarku. — Była chwila iż kozaka, stojącego przy drzwiach, wysłał pod jakimś pretekstem, a do mnie półgłosem, odsuwając książki, które mu się wydały podejrzone, odezwał się po polsku: „schować to“.

Ranek już się zbliżał, jak żołdaków jego, improvised pan Wołowski, wraz z gospodynią poili

i paśli, w nadziei, że nasyceni, spokojnie sobie odjadą, gdy nagle około 5 zrana wpada do pokoju kozak, meldując, iż znaleziono w stajni powóz i konie „powstańskie“, i że parobek jeden zeznał, że tu we dworze ukrywa się powstaniec.

Zapieniony gniewem, zarumieniony rumem, skończył dowódca i rzuciwszy mi ukradkiem: „nie lękaj się pan!“ rozpoczął taki krzyk i wrzask, tyle pięści i policzków rozdzielił i kozakom i donosicielowi, że trudno było domyśleć się sensu prowadzonej indagacji. Rezultatem jej jednak było, że pobity donosiciel (dobrowolny czy zmuszony?) stał związany pod strażą, która miała rozkaz nie pozwolić mu mówić bez zapytania dowódcy, dalej, że moje konie i powóz znalazły się zaprzężone przed gankiem, a co gorsze, że przy piekielnym hałasie dowódcy, moja biedna pani Wiśniewska i gospodyni pana Wołowskiego zostały zaaresztowane i umieszczone w tym powozie!

Ja tylko zawsze w charakterze pana Wołowskiego, nasłuchiwałem się masę moskiewskich uprzejmości, co nie przeszkadzało panu dowódcy pić dalej „czaj“ ze mną i żądać wódki dla żołnierzy.

Nareszcie dzień się zrobił, dano znak do wyruszenia z więźniami, a Jackowski wymyślając mi zawsze, znalazł chwilę, aby mi szepnąć po polsku: „w pół godziny po moim odjeździe, niech pana tu nie będzie“, a wtedy uwierzyłem, iż ten człowiek z całą samowiedzą chciał mnie ocalić.

Nie dałem sobie tego powtarzać i w pół godziny wraz z moim furmem, który się był ukrył, jakąś fornałką pana Wołowskiego, wyjechaliśmy do najbliższego lasu, gdzie znaleźliśmy schronienie na dni kilka.

Jackowski rzeczywiście powrócił do Moszenek i ściśle bardzo mnie poszukiwał, napróżno.

Biedna pani Wiśniewska, ponoś na Sybir była wysłana, gospodyni zaś kilka miesięcy siedziała w kozie, a prawdziwy pan Wołowski grubą kontrybucyę Moskalam zapłacić musiał!

Jeżeli żyją, niech mi to wybaczą, lecz śmierć moja od tych cierpień uwolnićby ich nie była mogła.

W dwa lub trzy dni potem, nocną porą z szefem uformowanej policyi narodowej, podjechaliśmy pod ogród moszenkowski, skąd wydobyliśmy broń, okupioną kosztem tak drogim.

Przez parę tygodni potem próbowałem jeszcze borykać się z fatalnym losem, kilka razy jeszcze zdołałem wymknąć się ze szponów moskiewskich, aż party okolicznościami w śnieżnej nocy z dnia 3 na 4 maja przeszedłem granicę i w ciepłej pościeli, a gościnnym domu nieznanym mi zacnych ludzi w Narolu, zaznałem, długo nieznanego mi spoczynku.

Od wypadków tu opisanych minęło już prawie 36 lat, a zagadka psychologiczna ocalenia mego w Moszenkach, została zawsze dla mnie zagadką.

Wielu ludzi z Lublina od tego czasu widziałem, a wszyscy mi zgodnie powtarzali, że policyant Jackowski, jako renegat i służalec moskiewski powszechnie był tam znany.

Dlaczego jednak on, który wszystko poświęcił karyerze i powodzeniu, cofnął się z całą świadomością od wydania mnie na śmierć; mnie, którego zupełnie nie znał, gdy przez to mógłby był większe korzyści i nagrody osiągnąć — na to nie umiał mi nikt odpowiedzieć.

Czyż w człowieku tak nisko upadłym, za jakiego on uchodził, tliłaby jeszcze na dnie iskierka sumienia? Trudno temu wierzyć, a jednak tak być musiało, bo trudniej jeszcze uwierzyć w Waleńrodyzm Jackow-

skiego, który tak „chytro“ umiał pokierować sprawą, iż za wyprawę moszenkowską dostał podobno moje konie i powóz z dodatkiem kilkuset rubli.

Czy Jackowski był zaprzańcem z przekonania?, tego nie wiem, lecz to wiem, iż był moim zbawcą w Moszenkach, był owem narzędziem w ręku Opatrzności, która mi inny kres zaznaczyła!

Zagadka ta dla mnie została zagadką!

Luty 1900 roku.

XIII.

Odwrót.

Jeden z moich serdecznych przyjaciół, który umarł na ciężkie cierpienia serca, pisząc do mnie na kilkanaście dni przed śmiercią porównał męki swego długiego konania, jakie musi przechodzić biedny pies, któremu oprawca zarzucił na szyję pętlę, którą to zaciśnie, to popuści trochę, zanim zdusi zupełnie swą nieszczęśliwą ofiarę!

Porównanie to daje się zastosować i do konania naszego powstania od początku 1864 roku.

Szamotał się jeszcze naród, w śmiertelnym uścisku wroga, zaciskającego mu coraz silniej stryczek na szyi, powstanie to omdlewało i zdawało się być blizkiem końca, to znowu się ożywiało, zaczerpując w płucach powietrza, gdy wróg przez chwilową bezsilność, musiał mu popoľgować.

Zwątpienie jednak coraz większe ogarniało ogół, nie mogący dojrzeć na horyzonie tej pomocy, którą noty dyplomatyczne Francji, Anglii i Austrii jakoteż blagierskie mówki Napoleona III. zdawały mu się zapowiadać.

Ogół więc coraz więcej opuszczał ręce, [tak że nawet sporadyczne gdzie niegdzie zwycięstwo, jakiego oddziału i cała energia Rządu Narodowego nie mogły mu dodać wiary i zaufania w przyszłość!

Bohaterowie powstania Czachowski, Chmieliński Jankowski itd. poszli na śmierć męczeńską, inni powstańcy wyparci i rozproszeni zostali za granicę, a walczące się jeszcze tu i tam maleńkie oddziały, du-

cha podnieść nie potrafiły. W Bosaku samym naród nie widział już zbawcy, lecz bohatera walczącego pod hasłem: „usque ad finem“!

Tak to stały rzeczy, gdy byłem w Lubelskiem w kwietniu 1864 roku a położenie resztki członków organizacyi i żołnierzy narodowych porównałby się dało tylko do zwierza osaczonego naganką i ogarami, w pościgu na wszystkie strony.

Zaprowadzone przez Moskali warty chłopskie przy kołowrotach, przyznać należy nie były tak straszne; lud w Lubelskiem przychylnie usposobiony wogóle do powstania, albo rozkazów moskiewskich nie wypełniał, albo robił tylko dla formy i jakikolwiek paszport wójta gminy wystarczał do wylegitymowania się.

Za to spotkania z Moskalami włóczącymi się po kilkunastu w tak zwanych „letuczych atriadach“ ciężko było uniknąć, nawet na bocznych drożynach. lecz zimna krew, dobra mina, wraz z dobrą wymową moskiewską najlepsze oddawały usługi.

Najgorszem było, że wskutek tych odwiedzin częstych gościnność dworów i plebanii była pod wpływem strachu narażona na częste próby. Członkowi organizacyi nie śmiano drzwi przed nosem zamknąć, lecz starano się go zwykle pozbyć prawdziwym lub nawet fałszywym alarmem: „Moskale już są o pół mili, —już ich widziano tam pod lasem“ ktoś zawiadamiał —a więc rad nie rad wynoś się panie dygnitarzu narodowy, bo tu o twoją skórę chodzi!

Z biedakami jednak rozbitkami lub uciekinierami tak bardzo się nie krępowano. Tak źle jednakże nie było wszędzie a czem strzecha niższa i mniej okazałości we dworze, tem więcej było serca i gotowości do poświęcenie się dla tych, którzy wszystko złożyli na ołtarzu Ojczyzny.

Często jednak skrupuły sumienia nie pozwalały narażać zacnych ludzi, szukało się więc wtedy schronienia w lesie, a aby nie być poznanym, trzeba było zmieniać bądź ubranie, bądź uprząż i bryczkę.

Smutna to była praca organizacyjna w podobnych okolicznościach, bo co się dziś nawiązało lub spłotło, to jutro się rozpadło, ale rozkaz był z góry „wytrwać“ a więc się trwało, rozpoczynając na nowo to, co się wczoraj zepsuła. — Oddziałiki dziś sformowane, rozsypywały się za dni kilka a broń i rynsztunek przepadały razem z ludźmi! — Rozpoczynano znówu na nowo, bo wytrwać nam kazano.

Te przykre chwile nie obeszły się bez wesołych epizodów a oto co sobie pod tym względem przypominam.

Dla zmiany wyglądu, potrzeba mi było ostrzyźć głowę i ogolić mój młodociany zarost a znajdowałem się wtedy w jakimś domu, w okolicy Bychawy czy Turobina. Ani wsi, ani ludzi nie pamiętam.

Szwajcarka, będąca tam dla wychowania małego, może 4-ro letniego chłopczyka, podjęła się tej operacyi, z czego wywiązała się znakomicie. Spojrzawszy w lustro, niepoznałem się, tak głowa moja była podobną do owcy ostrzyżonej na wełnę a chłopczyzna zobaczywszy mię, wybuchnął szalonym śmiechem, wołając: „o! jaki też pan teraz do małpy podobny!“ Uśmieiałem się i ja serdecznie, bom był pewien, że mię obecnie nikt nie pozna według dawnego rysopisu.

Innym razem w piątek przed niedzielą kwietną, kilkodniowe przebywanie w lesie z bryczką i końmi, spowodowało zgłodzenie i znużenie tak moje jak, furmana i koni. A było to bezpośrednio po cudownem wydostaniu się z rąk moskiewskich w Moszenkach (o czem na innem miejscu) i o jakie dwie mile od

Lublina. Po zasięgnięciu języka, postanowiłem udać się na nocleg i odpoczynek do wsi Czerniejowa lecz nie do dworu, który będąc przy trakcie, prawie codziennie nawiedzany był przez kozaków, lecz do plebanii, oddalonej od dworu o jakie dwa kilometry.

Pierwszy to, i ostatni raz tu zajechałem, znalazłem młodego, bo nie więcej jak 30-letniego proboszcza, który się mej wizyty okrutnie przeraził.

— Ależ, panie... to niebezpiecznie... Moskale przychodzą... nie można... itp. jakaś biedny proboszcz przeznaczonym głosem.

— Mnie się jeść chce, ja z furmanem i koźmi głodni jesteśmy i spoczynku nam trzeba.

Słyszając to, ksiądz wybełkotał mdlejącym głosem ze: to post wielkopostny, że i on chleba niema, a mięsa to i na lekarstwo u niego nie znajdzie..,

Na stanowcze jednak oświadczenie z mej strony iż dalej nie pojedę i u niego nocować będę, — dobrodziej znalazł gospozię, Magdę, przystojną, młodą wieśniaczkę a po długiej z nią konferencyi wypadło, że, owies dla konia a dla mnie i dla furmana znajdzie się w domu cielęcina. Dzięki więc Magdusi, mieliśmy wymienitą kolację.

Widząc, że się mnie pozbyć nie może, dobrodziej porozysłał paru ludzi na zwiady, aby nas znienacka Moskale nie napadli, i pokazał mi rozkład domu, abym wiedział, któredy urządzić odwrót, w razie napadu. Kuchnia była w osobnym budynku, nią się więc nie zajmowałem a prosiłem proboszcza, by mnie po swoim domu oprowadził. Był to domek niewielki: od podwórza wchodziło się do sionki, na lewo z tejże do kancelaryi i zarazem jadalni proboszcza, oświeconej dwoma oknami z podwórza, dalej na prawo pokój przeznaczony widocznie dla przyjmowania go-

ści, za nim pokój sypialny proboszcza i rodzaj jakiegś garderoby; okna tych pokoi wychodziły na ogród.

— Oto cała moja chata — rzekł proboszcz; lecz ja szukając drugiego wyjścia, na wypadek ucieczki, wskazałem mu drzwi, których on nie otworzył. Po pewnem wahaniu, dobrodziej zdecydował się i otwierając drzwi z klucza dodał:

— Proszę nic złego z tego nie wnosić, lecz jak pan widzi, drzwi te są zawsze na klucz zamknięte a to jest pokój mej służącej, którą pan widział.

„Honi soit qui mal y pense“ — lecz ja nic nie myślałem, byłem zadowolony, że znalazłem drugie wyjście z domu, z pokoju bowiem Magdy wychodziło się do sieni.

Tymczasem głód coraz więcej dokuczał, prosiłem choć o chleb zanim kolacya się zgotuje a znalazła się wódeczka i masło i serek. Tak więc ja zjadłem, a biedny księżyisko przechadzał się po pokoju, żaląc się na swe losy, na obowiązki, które zniewalają go być surowym dla siebie, tam, gdzie dla innych pobłażliwością i dyspensą rozporządzać może.

A może to był i wielki piątek, bo żalił się księżyisko, że już od niedzieli mięsa w ustach nie miał, a od środy nic gotowanego nie jadł. — A to wszystko dla przykładu! — bo on choć się czuje bardzo cierpiącym i wyniszczonym, choć sił mu brakuje do spełniania obowiązków, to dla przykładu uwolnić się od postu nie może.

Zajadając chleb z masłem i serem, żał mi było dobrodzieja, więc zachęcałem, by się tą ucztą ze mną podzielił, lecz namawiałem napróżno. Nakoniec dał się uprosić, do wzięcia skórki z chleba a przechadzając się ciągle, nieznacznie franki w oknach pozasłaniał.

Tymczasem widząc moje wycieńczenie zaczął opowiadać o Moskalach i jakaś buteleczka węgryna zjawiła się na stole. a przy silnem z mej strony naleganiu, pozwolił sobie nalać kieliszek, którym ową skórkę chleba popijał.

Nareszcie pani Magda przyniesła ogromną salaterkę wyśmienitej potrawy cielecej, w towarzystwie wielkiego półmiska, dymiących się kartofli, omaszczonych nie słoniną, lecz masłem!

Po wyjściu służącej, gospodarz zapewne dla mego bezpieczeństwa, popchnął delikatnie we drzwiach zasówkę a przy drugim i trzecim kieliszku wina, gawęda coraz poufalsza się stawała.

Mówiliśmy naturalnie o nieszczęściach kraju, o upadającym powstaniu i o niedolach jednostek. Ja jadłem za czterech a więc mało mówiłem, nie mogłem jednak nie współczuć z biedami mego gospodarza, który bardzo utyskiwał na swój los, mówiąc już wyraźnie o swym głodzie.

Po łyżce więc kartofli, skusiłem go do potrawy i wkrótce oba półmiski były próżne.

Butelczyny ze schowka jakoś wyłaziły jedna za drugą. tak że było już bardzo późno, gdyśmy się spać kładli, zapominając o niebezpieczeństwach, jakie nam mogły w każdej chwili spaść na głowę.

Jezeli kto w tej sprawie zawinił, to ja z pewnością, bo odegrałem rolę kusiciela!

Bóg jednak nie poczytał nam tego za grzech, bo noc przeszła spokojnie, Moskale nie przyszli a pocziwy proboszcz żegnając zrana powstańca, uściśkał mię serdecznie i pobłogosławił, oddając Boskiej opiece.

*

*

*

Okoliczności jednak stawały się coraz trudniejsze, nie dość że się wszystko rwało w rękach, to najgorszem było brak wszelkiej wiadomości od mego naczelnika. Kuryera po kuryerze wysyłałem, lecz ani ich, ani odpowiedzi nie było, a po aresztowaniu pani Wiśniewskiej w okolicach Lublina, nie było żadnej kuryerki“. Tymczasem wieści się rozeszły o aresztowaniu członków „Rządu Narodowego“, wywołując ogólne przygnębienie a we mnie zwątpienie i straszne znużenie.

Kilka ostatnich dni, oczekując na wiadomości, przepędziłem jeszcze w Biskupiu, niedaleko samej rogatki Lublina, w domu państwa Paderewskich gdzie zwykle kozaków wódką przyjmowałem. Zrobiłem stamtąd jeszcze jedną wycieczkę w północną część powiatu lubelskiego, lecz mię tu spotkał zły „omen“.

Było to we wsi Niemce, jechałem między opłotkami, po błocie, noga za nogą, gdy na zakręcie spostrzegłem Moskali zbliżających się ku mnie. W jednej chwili pakiecik, zawierający pieczęcie dwóch powiatów i blankiety komisarza pełnomocnego, znalazł się za płotem w kupie śniegu, czego dzięki Bogu Moskale nie spostrzegli.

Zimna krew, i dobra wymowa moskiewska ocaliły mnie, ale po moje pieczęcie nie miałem już ochoty wracać, aby je odkopywać z śniegu. Przypadek ten skłonił mnie do o d w r o t u, do usunięcia się z kraju, gdzie uważałem, że już nic dobrego zrobić nie mogę.

Wróciłem więc do Biskupia, aby pożegnać zacnych przyjaciół a pocziwy pan Zdzisław zbadawszy że mieszek dygnitarza narodowego jest zupełnie pusty, włożył weń kilka dziesięciozłotówek z Matką Boską.

Cześć twej pamięci zacny druhu!

Z rozmaitem szczęściem dojechałem do Kszcz-

nowa do czcigodnej pani Osten. Drogi były niepewne więc dla bezpieczeństwa, córki tej matrony postanowiły mnie odwieźć dalej. Przeczucie, że mi będą potrzebne nie zawiodło panienek. Siedzieliśmy w wózku węgierskim, naturalnie ja na przodzie z jedną z pańien, dzień był pogodny a droga wiała się po pagórkach.

Gdy spuszczaaliśmy się z jednego z nich, bystre oko mych opiekunek dojrzało na szczycie drugiego lance kozackie. W tej chwili na komendę: „schowaj się pan“ znalazłem się w nogach siedzenia, przykryty trzema spódniczkami.

I o чудо!—kozacy przejechali, ukłonili się nawet panienkom i ani się domyślili mej kryjówki.—

Cześć wam polskie dziewice!

Dobrałem się na koniec pod Zamość, gdzie jak zawsze. powstanie najbezpieczniej mógł się schronić. Tylu tam było zacnych ludzi i patryotów. Tam potwierdzono mi niestety wieść o aresztowaniu członków Rządu Narodowego przez Moskali, jakoteż że pułkownik Zaczek opuścił już kraj przed kilkunastu dniami. (20-go kwietnia 1864 roku jak się później dowiedziałem).

Nie było więc co robić, i nikt mię do pozostania nie zachęcał. Parę dni spocząłem u zacnych państwa Antonich Różyckich, a trzeba wiedzieć, że pan Antoni pełnił do końca obowiązki naczelnika powiatu Zamojskiego, (co opłacił trzyletniem więzieniem i wysoką kontrybucją), był on patryotą, nie cofającym się przed żadną ofiarą. Dziwna sympatya łączyła mnie z tym człowiekiem, który również jak jego szwagier Zdzisław, całą duszą oddani byli sprawie powstania i nie przeczuwali ani oni, ani ja że w lat 16 potem los mnie jeszcze więcej do nich zbliży, łą-

cząc mię dozgonnie z rodzoną siostrzenicą żon ich obu... Chomęciska pod Zamościem były dla mnie tem, co Biskupie pod Lublinem, choć nazwisko moje było tajemnicą.

Zacny pan Antoni zatrzymał mię ze dwa dni, aby obmyślić przeprawę do Galicyi, poczem napełniwszy mą kieszeń, odwiózł do następnego etapu.

Więcej państwa Różckich nie widziałem, zmarli oni oboje a ja dorzucając grudkę na ich mogiły, oddaję cześć ich skromnym zasługom!

Zmarła już dawno, zacna patryotka pani Zakrzewska, odebrała mię z rąk pana Antoniego. Ona to odwiezła mnie do nieznanej mi wioski, gdzie czekał na mnie jakiś przewodnik.

(Przejsście przez granicę z 3-go na 4-ty Maja gdzieindziej opisałem).

Lwów w Lutym 1900 r.

XIV.

„Pod telegrafem.“

Noc z dnia 3 na 4 maja była wyjątkowo burzliwą, wiosna się spóźniła. Ziemia była pokryta grubym całunem, wicher dał, podrzucając w powietrzu gęste kłęby śniegu, który jak z worka sypał wielkimi płatami z gęstej opony chmur zasłaniających gwiazdy.

Noc taka była jakby dla mnie zamówioną: po piętnastu bowiem miesiącach walk i tułaczki na własnej ziemi, znużony bezmiernie moralnie i fizycznie, miałem przejść granicę Galicyi, w okolicy Tomaszowa, — miałem opuścić kraj rodzinny, z myślą, że zapewne do niego nigdy nie wrócę.

Taka więc noc była dla mnie pożądaną, dając mi nadzieję przekradzenia się przez granicę, bez wpadnięcia w ręce zbirów „objeszczykami“ zwanych.

Ze wsi nadgranicznej, której nazwiska nie pamiętam, wywiozła mnie saniami pani domu, do jakiejś chaty pod lasem, gdzie zastaliśmy przemytnika, który miał mi za przewodnika służyć.

Była zapewne 10 godzina w nocy, gdy mój przewodnik, usadziwszy mnie na oklep na nędznej szkapie i przymocowawszy do niej moją podróżną torbę, ujął tę podobiznę konia za cugle i wprowadził mnie w gęstwinę lasu. Niestety ścieżyny leśne były tak ciasne, że gałęzie kolczate sosen i świerków pokryte śniegiem uderzając mnie ciągle po twarzy, strąciły mi najpierw okulary, których nie kuśiłem się nawet odnaleźć, a na-

stępnie pokaleczyły mi twarz, a nawet groziły wyklóciem oczów. Musieliśmy więc zmienić porządek jazdy a mianowicie: zsiadłem ze szkapiny, którą dalej przewodnik prowadził, ja zaś trzymałem się za ogon mojego wierzchowca.

Śniegu było wyżej kolan — pochod więc był uciążliwy. Ledwie dreptałem, a pot lał się ze mnie.

Nie wiem, jak długo to trwało, lecz gdy nakoniec wydostaliśmy się z lasu, tumany śnieżnej zawieruchy zakrywały cały widnokrąg. — Przewodnik zalecał ciszę, szliśmy tak dalej, zakryci tumanami śniegu, nie słysząc nic oprócz świstu rozszalałego wichru.

I znowu przewodnik szepnął: pst. pst! — gdy o kilkadziesiąt kroków od nas spostrzegliśmy światełko, a wkrótce odgłosy przekleństw moskiewskich wyraźnie nas doleciały. Był to posterunek „objęszczyków“. Przesunęliśmy się dalej niespostrzeżeni w kłębiącej się burzy, której zawdzięczaliśmy nasze ocalenie.

Wkrótce dotarliśmy do jakiejś chaty, zdaje się opuszczonej, gdzie przewodnik zostawił wierzchowca, a ująwszy torbę jedną ręką a mnie pod ramię drugą, ciągnął mnie, a czasami niósł raczej, niż prowadził.

— Pst! panie, to granica — szepnął głośniejszym głosem, przechodząc parów, podobny do łożyska potoku.

Wyczerpany, ostatnich sił dobywałem.

Jeszcze z jaką godzinę trwała ta podróż, coraz trudniejsza, coraz uciążliwsza. — Żadnego śladu drogi lub ścieżki; a śnieg wciąż sypał, wiatr wył, jak w nocy styczniowej, nareszcie dowlekliśmy się do jakichś zabudowań, które mój przewodnik nazwał Narolem.

Zapukał do jakiegoś domku. Widocznie musiano go tam oczekiwać, gdyż natychmiast otworzono i gospodarze przyjęli nas z całą gościnnością.

U kogo byłem? Komu gościnność zawdzięcza-

łem? Nie pamiętam—lecz musieli to być ludzie pracy, ludzie wcale niebogaci. Nakarmiono mnie, napojono, a w godzinę potem spałem z całym spokojem w ciepłych pierzynach, które mi usłano na zaizolowanym łóżku, złożonym z kanapki i z krzeseł.

Dawno, już dawno, tak spokojnie i smacznie nie spałem, gdy zacny gospodarz obudził mię, mówiąc:

— Żal mi serdecznie pana, lecz muszę go obudzić. Już 8 godzina, trzeba jechać do Cieszanowa, aby się pan zameldował w powiecie. Teraz tu jest stan oblężenia i jeżeliby pana znaleźli żandarmi bez meldowania, toby pana od razu Moskałom wydano.

Na taki argument zerwałem się na równe nogi i westchnąłem ciężko na myśl, że po tylu przejściach i niebezpieczeństwach, schroniwszy się już poza doniosłość pazurów wroga, mogę mu być jeszcze wydanym i to przez swoich rodaków.

— Oj! ciężka ty polska dolo!..

Furka zajechała i po rozmiękczonej roztopem drodze pojechałem wraz z mym zacnym opiekunem.

W Cieszanowie zajechaliśmy wprost przed tak zwany „k. k. Bezirksamt“, gdzie zostałem przedstawiony jakiemuś jegomości, w charakterystycznej czapce austriackiej, rozpiętej na trzcinach, z bączkiem czarno-żółtym na froncie.

Czy to był sam pan „Bezirks-Vorstand“, czy jego zastępca,—nie wiem, ale sądząc z wymowy, musiał to być jakiś Precliczek lub Viskoczil.

Spisano ze mną jakiś długi protokół a mój pocziwy opiekun, potwierdziwszy moje zeznania, pożegnał się ze mną.

— A teraz—rzekł do mnie mój pan Viskoczil —poślemy pański protokół, panie Podgórski (tak się bowiem nazywałem) do c. k. starostwa obwodowego

w Żółkwi, aby panu wydano „Zwangpas“ a tymczasem te 8 lub 10 dni odpocznie pan sobie w naszym areszcie.

Po tych słowach zbrojny pacholek zaprowadził mnie do jakiegoś chlewka, mającego reprezentować c. k. areszt.

Był to rzeczywiście budynek z bierwion nieociosanych, ułożonych na węgiel, z powałą i podłogą z grubych, nieheblowanych desek, z małym okienkiem wyciętem w ścianie, mającem 20 do 30 centymetrów opatrzonem drewnianymi kratami bez ram i bez szybki zapewne dla lepszej wentelacyi.

— Ot, mój Boże,—pomyślałem sobie, siadając na jednej z dwóch prycz, — na co mi to przyszło! Po kulach, bagnietach, więzieniach i szubienicach moskiewskich, pod grozą których żyłem przez piętnaście miesięcy, znaieść się na tydzień lub więcej w chlewie austriackim—i to zawsze na rodzinnej ziemi!

Mój chlewek miał rozmiary jakie 3 na 4 metry. Byłem sam, a więc mogłem dumać, rozglądać się, rozmyślać i wzdychać swobodnie.

Widać westchnienia moje Pan Bóg usłyszał, bo w jakie dwie godziny po zamknięciu, tenże sam pacholek zjawił się w mej budzie i poprosił abym się zabrał wraz z moją torbą i burką.

Zawsze ten sam pan z bączkiem oddał mnie w ręce dwóch innych panów, oświadczając mi:

— Wielmożny pan Rojewski, właściciel Cieszanowa (to mówiąc, wskazał mi wysokiego otyłego i łyszego jegomościa) bierze pana na swoją porękę, u niego więc, zamiast w areszcie, będziesz pan oczekiwał paszportu z Żółkwi..

Mój zacny poręczyciel, jak się później dowiedziałem, był dotknięty straszmem kalectwem był bo-

wiem głucho-niemy z urodzenia a niewidomy już od lat kilkunastu. Towarzysz jego, emigrant z 1848 roku p. Feliks Popiel, był dla Rojewskiego opiekunem, niańką, tłumaczem jego myśli i życzeń. Przykuty on był dzień cały do osoby swego pupila i chlebobdawcy od 15 już lat za 600 złr. rocznie! Nie wiem, który z tych dwóch ludzi był nieszczęśliwym?

Naturalnie tak szczerze uposażony od losu, p. Rojewski nie mógł zajmować się swojemi sprawami. Był on w kurateli, zajmował piękny dwór, o jakie dwie mile od Cieszanowa, posiadał powóz, cztery konie w krakowskich chomatach, służbę dość liczną i o ile sobie przypominam 3000 złr. w dodatku do całego utrzymania. Pomimo swoich 50 lat, był on wielkim miłośnikiem płci pięknej, wielce gościnnym i towarzyskim. Składał wizyty, przyjmował gości naturalnie w nieustającym towarzystwie swego Popiela z którym się porozumiewał, trzymając się z nim za ręce. Popiel wykonywał różne znaki jego palcami, a on sam mimiką odpowiadał.

Ulubioną zabawą jego była gra w „écarté“ do czego miał odpowiednio nakłówane karty, jakoteż rozmaite umówione znaki przez dotknięcie palcami jego rąk.

W takim to towarzystwie pijąc i jedząc dobrze, grając w „écarté“ i rozmyślając nad przyszłością, upłynęło mi coś dziesięć dni, aż do przyjscia mego „Zwangpassu“

Pożegnałem więc moich nowych a tak nieszczęśliwych gospodarzy, którzy mnie oddali w ręce owego pana z bączkiem Ten ostatni wręczając mi „Zwangpass“ oświadczył, iż do ośmiu dni winienem opuścić terytoryum austriackie, — a to drogą przez Wiedeń i Salcburg. W przeciwnym razie będę Moskalom wydany.

W towarzystwie żandarma-rodaka w pełnem uzbrojeniu, wozem, najętym na mój koszt, zostałem odwieziony do Jarosławia, a dopiero po wręczeniu mi biletu jazdy do Krakowa, naturalnie za moje pieniądze, opuścił mnie zbrojny rodak, życząc szczęśliwej podróży.

Życzenie to było mi rzucone w chwili ruszenia pociągu, który włożył się nieskończenie długo bo noc całą z Jarosławia do Krakowa. Miałem więc dosyć czasu do zastanowienia się nad ciężkim losem rodzinnego kraju, który na zawsze opuszczałem, jak i nad niepewnem jutrem emigranckiego żywota, który miałem rozpocząć.

Czułem się przytem fizycznie wyczerpanym i na pół chorym, postanowiłem więc zatrzymać się w Krakowie, choć na kilka godzin, aby tam poradzić się sławnego wówczas dra Dietla.

Okolo szóstej rano pociąg stanął w Krakowie. Wsiadłem z wagonu i udałem się do komisarza policyi z zapytaniem, czy moje zatrzymanie się dla porady lekarskiej jest możliwe. Odpowiedział potwierdzająco, zatrzymał mój „Zwangpass“ i kazał mi poczekać aż do odejścia pociągu.

Gdy pociąg odszedł, kazał mi pójść do miasta w towarzystwie cywilnego agenta, który zaprowadził mnie do dyrekcji policyi, gdzie mnie zostawił w kordegardzie, a sam udał się na górę.

Po więcej niż godzinnem oczekiwaniu zjawił się policyant uzbrojony, mówiąc:

— Pójdź pan z nami.

Napróżno pytałem, dokąd? Gdzie jest mój paszport? — Dwóch żołnierzy policyjnych z bagnetami wzięli mnie między siebie i musiałem iść.

Prowadzili to przez planty, to przez wąskie uliczki i nareszcie, gdzieś blisko Wawelu, wprowadzili mnie do zamkniętego domu.

Tu mnie oddano dozorcę z pękiem kluczków, ten zaprowadził mnie na pierwsze piętro, otworzył drzwi zamknięte ciężkimi zasuwami, wepchnął na korytarz gankowy, odmawiając wszelkich wyjaśnień.

Tak więc znalazłem się znówu w więzieniu, zwanem „pod telegrafem“, a ci, co mnie tu wtrącili byli to moi rodacy, w prastarej stolicy Piastów i Jagiellonów!

Na korytarzu i w dwóch izbach, do których on prowadził, znalazłem coś 17 młodych ludzi. Otoczyli mnie, wypytując o losy, które mnie tu zapędziły. Opo-
wiedałem ostrożnie, nie zdradzając ani mego nazwiska, ani mej przeszłości

Natomiast z przerażeniem dowiedziałem się od nich, iż wszyscy oni złapani, zanim się zdołali zameldować, mają być oddani Moskalom w Michałowicach.

— Ot, pomyślałem sobie, całe morze przepłynąłem a tu na brzegu utonąć muszę! Czengery więc, które-
mu cudem tylko wykręciłem się z więzienia, będzie mógł dotrzymać przyrzeczenia, danego mej matce, iż mnie w Jędrzejowie powiesi na rynku! Po piętnastu miesiącach ciągłego narażania życia żał mi go teraz było, gdy wszelka nadzieja oswobodzenia ojczyzny zginęła, żał mi go było dla siebie i dla mej biednej matki, wdowy, zrujnowanej finansowo za mnie przez Moskali, — i dla trojga nieletniego rodzeństwa, którym opiekę byłem winien.

Smutek głęboki mnie ogarnął tak, że nie słysza-
łem nawet, o czem mówili moi nowi koledzy. Rzu-
ciłem się na jedno z łóżek, pomimo wstrętu, jaki wzbudzało plugastwo, łazące po siennikach.

Głód przywołał do porządku myśli moje. Tłu-
czeniem się do drzwi i okien sprowadzono stróża wię-
ziennego, który z restauracyi przyniósł kawałek mię-

siwa. Posiliwszy się, stałem się mocniejszym na duchu. Koledzy mi tłumaczyli, że niema obawy, aby mnie oddano Moskałom, lecz mogę się spodziewać, że mnie wyrzucą za granicę. Chciałem temu wierzyć, lecz nie mogłem.

Miedzy więźniami był młody człowiek, lat około 28, z lepszymi manierami, który mi się przedstawił jako major Koskowski, były oficer moskiewski. Tego napewno śmierć czekała, jeśliby go wydano Moskałom, a miał on żonę i dzieci.

Nie on, lecz inni więźniowie w przekonaniu, że ja będę uwolniony, że najwyżej grozi mi tylko wysyłka na Sybir, namawiali mnie, abym się zgodził na zamienienie roli z Koskowskim. Nie wiedziałem, co mnie czeka, lecz przez przeczność, nie mogąc wypowiedzieć całej prawdy, znalazłem się w bardzo przykrem położeniu, nie tylko wobec Koskowskiego, lecz i innych kolegów. Wogóle te siedm, czy ośm godzin, spędzonych „pod telegrafem“, były dla mnie gorsze, niż wszystko, co mnie od piętnastu miesięcy spotkało.

Żał mi było młodzieńca, skazanego na śmierć hańbiącą i bezużyteczną, a nie mogłem mu się wyśpowiadać wobec innych, w obawie zdrady.

Okolo 5 po południu, skrzypnęły zasuw, otwarto drzwi i zawołano:

— Stanisław Podgórski niech się zabiera ze wszystkim!

Nastalo ponure milczenie, koledzy wołali: „puść Koskowskiego!“; a ja z bijącym sercem zabrałem torbę i burkę, wyszedłem żegnając ich, bez słowa odpowiedzi.

Widocznie mnie potępili.

I znowu agent policyjny wsadził mnie do karetki, usadowiwszy się koło mnie, zatrasnął drzwiczki.

Serce biło mi gwałtownie na myśl: czy do Michałowic, czy na kolej jadę. Agent milczał... Nareszcie zatrzymaliśmy się przed dworcem kolejowym: agent kupił za moje pieniądze bilet trzeciej klasy do Wiednia i pożegnał mnie znowu, przy ruszeniu pociągu, stereotypowemi słowy:

— „Szczęśliwej podróży!“

Trwa ona już przeszło lat czterdzieści, a o ile sprawdziły się życzenia policyantów, wyrzucających mnie na wygnanie, to nie należy do rzeczy.

W szamotaniu się z przeciwnościami życia tułaczego, często myśl moja wracała do nieszczęznego Koskowskiego, lecz nie pewnego o nim dowiedzieć się nie mogłem. Przed 20 laty, ktoś mi zaręczał, że stosunkami ocaloną mu życie i że został zesłany na Sybir. To mi sprawiło wielką ulgę. Niestety było to mylnem.

W ostatnich dniach, przerzucając kartki „Księgi pamiątkowej“, opracowanej przez p. Białynię Chołodeckiego, w spisach oficerów rosyjskich, którzy przeszli do powstania znalazłem na str. 12 i 38 słowa następujące:

„Władysław Koskowski, oficer, w powstaniu major; stracony 25 maja 1864 roku w Wodzisławiu“.

A więc zadość się stało niecnej etyce politycznej, wysługującej się Moskwie.

W sumieniu jednak mojem nie czuję się zupełnie współwinnym tej zbrodni. Czterdzieści jeden lat przeżytych od owego czasu, potwierdza tylko we mnie to przekonanie, iż niewolno mi było oddać życia mego i poświęcić losu mej matki i rodzeństwa, dla ocalenia może najzaciejszego, nieznanego mi człowieka.

Lwów w Styczniu 1900 roku.

XV.

„Pan Kopciuszko“.

(Hołd pamięci mej babki.)

— Oj! — smarkacze, smarkacze i wy się porywacie na to, czemu „pan Kopciuszko“ nie podołał?!

Tak mówiła do mnie śp. babka moja, Tekla z Łysakowskich primo-voto Podgórska a secundo-voto Dominikowa Ancowa, gąłym, zdaje się w czerwcu 1863 r. wstąpił chwilowo pod rodzinną strzechę. Była to właściwie macocha mojego ojca, lecz go od pieluszek wychowała, żyła w rodzinie naszej aż do śmierci, która nastąpiła w r. 1872., to jest po skończeniu 95 lat życia swego.

Kochaliśmy ją więc jak prawdziwą babkę a i ona nam się tem samem odpłacała, choć zawsze okazywała więcej słabości dla swoich wnuków i prawnuków Podgórskich— a nawet i praprawnuków się doczekała.

W czasie powstania Kościuszki i jego pobytu w Jędrzejowie, miała ona już lat 17, wspomnienia więc o „panu Kopciuszcze“ należały u niej do najulubieńszych.

— Ależ babciu — mówiłem jej nieraz, to „K o s c i u s z k o“ a nie żaden „K o p c i u s z k o“ był naczelnikiem narodu naszego.

— Co mi tam mówisz, dzieciaku— odpowiadała.
— Ja „pana Kopciuszkę“ własnymi oczami tak jak ciebie widziałam, i to nie raz a kilka razy przed nim

„d y g n ę ł a m“ — to ja wiem lepiej, jak ty i twoje książki, jak on się nazywał „K o p c i u s z k o“ i basta! — takeśmy go tu w Jędrzejowie wszyscy nazywali.

— Bo trzeba ci wiedzieć — mówiła dalej już udo-bruchana — że „pan Kopciuszko“ po tej sławnej wielkiej bitwie pod Racławicami, stał tu kwaterą z jaki tydzień w Jędrzejowie, w klasztorze u księdza opata. A w mieście i okolicy wojska tu była moc. Byli i ci chłopci z kosami, pod dowództwem Bartosza, co to armaty Moskałom zabrali i piechota z karabinami i ułani i krakusi — a wszystko takie dzielne młode i ładne, że aż serce w piersiach skakało. — Były tam i armaty a Bóg ich wie ile?

Z jakąż radością witaliśmy ich wszystkich, gdy do nas przyszli po Racławicach?! — z jaką nadzieją przypatrywaliśmy się ich musztrom i ćwiczeniom na polach Podklasztorza?! a jak szczere i gorące łzy lały nam się z oczu, gdy na rynku „pan Kopciuszko“ do wojska przemawiał!

O! jakież on był wtedy piękny, szlachetny i wzniosły, gdy w natchnieniu zwycięstwo nam z ludem przepowiadał!

A jednak — potem — przyszły Szczekociny, mówiła dalej łkając babka moja, — przyszły Maciejowice i Warszawa wzięta — „pan Kopciuszko“ w niewoli!.. Moskale po raz pierwszy w Jędrzejowie a ja z Anusią na sklepieniu kościelnem ukryta.

.....
Czyż mogę więc wierzyć, dzieci moje, że wy słabymi siłami waszemi zwyciężycie?..

Tu już staruszka zatchnęła się, nie mogąc z wysuszonych źrenic łez dobyć, a ja milczeniem uszanowałem boleść mej babki. — Po chwili zaczęła ona znowu swym prostym językiem.

.....

I księcia Józefa widziałam, ciągnął z Raszyna ku Krakowu, jaki piękny człowiek — a jakie wojsko! Bił on dobrze i Niemców i Moskali — no i cóż z tego? Poszedł z tymi Francuzami, gdzieś utonął — a resztki wojska zbiedzone i pokaleczone po latach wróciły gdzieś z za morza, aby dziadować z krzyżami na piersiach, jak stryj twej matki, pan Michał Karpiński który z głodu na jakiejś wyspie hiszpańskiej szczurami się karmił.

A ta rewolucya?... (tak nazywali nasi starsi powstanie z 1831 roku) — Było wojsko, pieniądze, były i zwycięstwa — a wszystko napróżno — ...syn mój Antos poległ pod Ostrołęką

ojciec twój był zbyt młody, aby walczyć.

Obecnie, mój Sewerek (prawnik mej babki) jeszcze nie wylizał się z rany — Antos (mój brat stryjeczny) dostał kulą w bok pod Górąmi i o mało nie zawiśł na szubienicy w Wodzisławiu, a teraz jęczy w więzieniu. Młody Bilewicz dał głowę pod Małogoszczem, Aleksander Sterczyński opuścił żonę — dzieci i poszedł na Sybir, a czy wróci? (nie wrócił nigdy) Kowalski i Dutkiewicz zawiśli na postronkach — Ty sam cuđem wysliznałeś się śmierci. Jakże więc mam wierzyć, że podołacie tym, którym „pan Kopciuszko“ nie podołał?

A jednak gdy wspomnę na słowa „pana Kopciuszki“ które z ust jego słyszałam, o świętości, słuszności i sprawiedliwości naszej świętej sprawy, że:

„Z Bogiem i ludem zwyciężyć musimy!!!“
to nie mam odwagi wstrzymywać cię dalej moje dziecko, idź — idźcie wszyscy spełnić wasz obowiązek

a pewno Bóg wynagrodzi kiedyś Polsce waszą ofiarę!
—idź błogosławię Cię!...

I poszedłem... i więcej już mej babki nie widziałem...

Za kilka dni byłem pod bagnetami— w więzieniu — skazany na śmierć — ocalony — potem kilka razy chwytny i znów cudownie wybawiony. Nakoniec wygnany i po dziesiątkach lat tułaczki, czuję się szczęśliwym, że młodemu pokoleniu mogę powtórzyć słowa mojej dobrej babki:

— Idźcie w imię Boga, pomiędzy lud, który nasz Naczelnik narodu ukochał, powtórzcie mu z wiarą słowa prorocze mej babki, pouczajcie go o przeszłości, o jego prawach i obowiązkach a w nagrodę Bóg wam zwróci odrodzoną, całą i niepodległą Ojczyznę!

Lwów, w 111 rocznicę bitwy Racławickiej.

CZĘŚC II.

JÓZEFA Z ZAGÓROWSKICH ANC.

WSPOMNIENIA DZIECKA.

1861—1864.



JÓZEF ZAGÓROWSKI z córką.
z 1865 roku.

I.

Mogiła maciejowicka.

Cudnyż to był dzień 10. października 1861 roku, wrzące promienie słońca zlewały się potokami na ziemię, na której jesień położyła swe piętno, pola to szarzały świeżo zorany łanami, to zieleniły się ową pyszną zielenią szmaragdu wschodzących ozimin, lub żółciły rżyskiem, na którym rosły swobodnie złote z białym rąbkim rumiany i krwawa konieczyna. Drzewa lśniły złotem i purpurą a w dali wielkie odwieczne bory przybrały ton ciemnej zieleni, na której gdzieniegdzie złociły się konary wielkich dębów.

Szeroką drogą z Maciejowic do Oronnego płynęły tysiączne tłumy ludu; na przodzie niesiono sztandar biały, gdzie na tle amarantu rozpościł dumnie skrzydła, srebrnopióry orzeł; za nim postępowały czerwone i błękitne sztandary kościelne; potem grono młodych panien i dziewczątek, których białe suknie przepasane przez ramię czarną wstęgą, oznaczały żałobę. Każda z nich miała w ręku wieniec z zieleni lub kwiecica z szarfą narodową lub żałobną; dalej szedł kapłan w komży z cierniową koroną w ręku; a za nim różnobarwne fale ludu.

Były tam szare siermięgi wieśniaków, suto szarmerowane czarno, czerwono lub niebiesko,—ciemnogrnatowe kapoty mieszczan,—lśniące kolorami tęczy stroje wieśniaczek i mieszczek, a białe „chłopki“ pierwszych i czepki wiązane kolorowemi wstążkami drugich

lśniły białością lilji, na ogólnem ciemnem tle tłumu, wśród którego spostrzedz można było czarne ubrania „panów“ i „panie“ w grubej żałobie.

Fale ludu płynęły zwolna, poważnie, napełniając przestwór tą bezbrzeżną skargą—modlitwą:

.
„Rok po roku marnie leci,
„My w niewoli, my w niewoli!“
.

W połowie drogi, wysadzonej lipami i białą topolą, pod jedną z odwiecznych lip ustawiono ambonę z białej brzozy, dokoła niej lud rozlał się szeroką falą po obu stronach drogi.

Cisza zaległa, gdy kapłan ukazał się na ambonie.

W słowach krótkich, zwięzłych, jasnych, zastosowanych do pojęć większości słuchaczy, kapłan przedstawił życie i czyny wielkiego Naczelnika-bohatera i kończył temi słowy:

Tak najmilsi! — On porzucił dostojeństwa, honory, zaszczyty, jakie mu ofiarowano u obcych, aby oddać życie swoje za Ojczyznę, którą nad wszystko umiłował. Tu na tych polach krew jego się polała a ten kopiec, usypany naszemi rękami, który dziś poświęcimy, wznosi się w tem samem miejscu, gdzie nasz Naczelnik ranny spadł z konia, i przez Moskali wzięty był do niewoli.

A więc najmilsi bierzmy z niego przykład. On nas nauczył, że wszyscy powinni za broń chwycić, aby stuletnego wroga zgnieść, zdławić! Bądźmy więc gotowi w każdej chwili oddać swe życie za tę naszą matkę-ziemię! Tam, w Warszawie Moskale strzelali do naszych, krew się polała! Co dalej będzie, nie wiadomo. Najmilsi! naszym obowiązkiem pierściami naszemi bronić Ojczyzny, oddać za nią mienie i życie swoje!...

A wiecie wy. co to jest Ojczyzna?... Ojczyzna — to ta ziemia, po której od dziecka stąpamy, która nas żywi,— w którą wsiąkło tyle łez — tyle krwi ojców naszych, w której kości ich spoczywają, a i nasze, jeśli Bóg pozwoli — spoczną. Ojczyzna, — to te pola, te łąki, te lasy,—to niebo, które nas otacza,— to powietrze, którem oddychamy...

Sto lat dobiega, jak wróg wlaźł nam na kark, sto lat, jak jesteśmy w niewoli! — lecz pamiętajcie, że nie odzyskamy wolności, jeżeli wszyscy, wielcy i mali, bogaci i ubodzy, nie chwycimy za oręż! — Wszyscy, bez wyjątku!— a wtedy Bóg nam pobłogosławi—bo pamiętajcie, że ten, kto mówi, iż kocha Boga, a nie kocha Ojczyzny, ten kłamie!...

Okiem ducha widzę ciężkie chmury, zbierające się nad nami, słyszę groźny huk dalekich grzmotów, wkrótce może rozszałeje burza nad naszą nieszczęsną Ojczyzną! — Najmils! czeka nas droga pełna cierni, łez, krwi i bólu, a więc na tę drogę błogosławię was!...

I wzniesiona ręka kapłana nakreśliła cierniową koroną znak krzyża nad pochylonemi głowami tysięcy ludu. — Cisza — cisza grobowa zaległa dokoła, przerywał ją tylko szelest pochylających się sztandarów, stłumione łkanie, wyrywające się z niektórych piersi i szmer purpurowych liści, które, jak łyzy krwawe, padały na głowy zebranych...

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy procesya stanęła u stóp kopca. Niestety, nie wszyscy mogli się zbliżyć, gdyż kopiec z trzech stron otaczała olszynka, rosnąca na trzęsawiskach.

Kapłan odmówił stosowne modły, pokropił mogiłę i złożył na niej koronę cierniową, zanim złożyły swe wieńce młode dziewczęta, sztandary się pochyliły, oddając hołd najwierniejszemu synowi Ojczyzny.

Kapłan ukląkł i zaintonował ten wzniosły, do głębi
wzruszający duszę każdego, hymn:

„Święty Boże! — Święty mocny! — Święty a nie-
śmiertelny! — Zmiłuj się nad nami!”

Wszyscy padli na kolana, sztańc ary się pochyliły
jeszcze niżej, pieśń nabożna leciała hen ku niebiosom,
gdzie na zachodzie paliły się wszystkie kolory tęczy,
złociły — srebrzyły okoliczne pola łąki i lasy, prze-
siewały się przez złoto — purpurowe liście olszynki,
rzucając blaski i cienie na ten rozmodlony lud, który
kornie schylony błagał:

„O Jezul Jezul Jezul — zmiłuj się nad nami!”

Pieśń umilkła, głęboka cisza zaległa, lecz wkrótce
buchnęła ku niebu ta straszna skarga bluźniercza;

„A gdzież ten ojciec, a gdzież ten Bóg?”

Powietrze napełniło się skargą, jękiem i łkaniem
wraz z ludem łkały drzewa, pola, łąki i okoliczne la-
sy, łkała cała przyroda. Na zachodzie złote blaski
gasły powolnie, zamieniając się w ton ołowiano-czarny,
jak dola tej nieszczęsnej krainy! — A z tysiącznych piersi
jak huragan, to wybuchała grzmotem, to cichła, to
błagała, to znów bluźniła pieśń straszna, aż w końcu
zabrzmiała tryumfem:

„I z Archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy wszyscy na wielki bóg
I na drgającym szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój!”

Pusto dokoła, gwiazdy migocą na szarym horyzoncie, koronkowe mgły otuliły mogiłę Kościuszki i przyległą olszynkę, wiją się, snują, tworząc fantastyczne cienie, coś jak rycerzy idących do boju.. a szmery dziwne drgają w powietrzu, jakby dalekie echa szeptały:

.
„Pójdziemy.. wszyscy... na wielki.. bój“..

.
Po okolicznych dworach, po domkach mieszczan, po wieśniaczych chatach, długo tej nocy gwarzono. Na czołach starszych osiadła troska, z przeblysłkami nadziei, w oczach młodych zapalała się chęć czynu i krwawego odwetu...

W kilka dni potem wśród ciemnej nocy, siepacze cara otoczyli plebanie w Maciejowicach, uwożąc księdza Burzyńskiego do warszawskiej cytadeli..

.
Czy mogiła ta do dziś istnieje, czy ostała się ona przed wściekłą zemstą odwiecznego wroga?..

II.

Kwesta.

Piękny czerwcowy dzień miał się ku schyłkowi, jasne promienie słońca złociły jaskrawo, falujące łany zboża, przetkane bławatami,—łaki w połowie skoszone rozsiewające ostry aromatyczny zapach macierzanki, mięty i krwawniku,—i niebotyczne bory sosnowe, wydające tę cudowną, upajającą woń żywicy, bory otaczające jak pierścieniem równinę, na której widniało kilka wiosek.

Cudzoziemiec świeżo przybyły, patrząc na ten cichy zakątek, nie przypuściłby nigdy, że w tę ziemię wsiąka krew męczenników, że w tych lasach szuka schronienia tysiące bohaterów, idących na pewną śmierć.

A jednak, — to był Czerwiec 1863 r.!

.....
Pani Z. wyszła na ganek „Białego dworu“ (tak był zwany dwór w Ksawerynowie przez powstańców, znajdujących tu schronienie w gorących czasach), który otoczony włoskimi topolami, strzelającymi w niebo, jak wysmukłe wieżyce gotyckie, tulił się do wielkiego sadu.

— Józiuśko — rzekła do swej córeczki, pogrążonej w czytaniu — czy chcesz iść ze mną na kwestę do Glinianek, dziś na nie kolej?

— O, mamusiu, wiesz, że ja zawsze chcę chodzić z tobą, aby zbierać dla naszych bohaterów; tym sposobem zdaje mi się, że i ja dla nich coś robię.

Z lat nadziei i walki.

Czemuż ja teraz nie jestem dorosłą!..

Pani Z. wzięła tackę i małą serwetkę, a włożywszy to w koszyczek, udała się z Józią do Glianek, sąsiedniej wioski, którą na równinie dostrzedz można było, o jaki kilometr na skraju lasu.

Dla skrócenia drogi, wybrano ścieżynę, wijącą się wśród pól pokrytych kłoszącem się zbożem, Józia szła naprzód i to tu, to tam uszczknęła modry bławatek, lub liliowy kąkol, układając z nich wiązanek; cisza zalegała dokoła, przerywał ją tylko świegot ptaków, lub z oddali dolatujący brzęk kos, ostrzonych na łąkach przez kosiarzy.

Dochodząc do pierwszej chaty, pani Z. wyjęła z koszyczka tackę, pokryła ją serwetką i położyła na niej papierowego rubla, twierdząc, że pieniądz jest magnesem, przyciągającym inne. To zrobiwszy, weszła do chaty ze słowy: „Niech będzie pochwalony“...

— „Na wieki“ — odrzekła gospodyni, chaty krzątająca się około wieczery dla czeladzi.

Wsie bowiem okoliczne „Białego dworu“ były to wsie gospodarskie, zamieszkałe przez włościan, mających po kilka, lub kilkanaście morgów gruntu.

— Przyszłam tu do was, Maciejowa po kweście, zbieram pieniądze, płótno, co kto da, dla naszych żołnierzy, wy wiecie, trzeba dla nich broni, żywności, ubrania...

— O, nasa złocista pani, czemuż nie dała, toć to nasi, oni się biją z Moskalami i mój brat Bartek posed i Franek mojej kumy, czterech z nasej wsi posło, chłop w chłop, jak dąbcaki — a jescie kielo pódziel*)

I gosposia poszła w kąć izby, otworzyła malo-

*) Gwara ludu z okolic Maciejowic.

waną skrzynię, wydobyła węzełek malutki, a z niego dwa złote polskie położyła na tacce.

— Dam jeszcze i na kosulę, moja Maryś psęda a ja tkałam, cieniutkie płótno dla swoich, ale po prawdzie powiedziawszy, to i to swoi, bidaki — tak się tułają po lasach!..

Z temi słowy Maciejowa zbliżyła się do otwartej skrzyni, wyjęła sztukę płótna, odmierzyła i odcięła na dwie koszule, a wyszedłszy na próg chaty, zawołała dziesięcioletniego Wojtusia, aby niósł płótno za panią Z., która pożegnawszy kilku serdecznemi słowy Maciejową, poszła dalej od chaty, do chaty, witana wszędzie z radością, miedziaki i złotówki piętrzyły się coraz wyżej na tacy, a kawałków płótna już mały Wojtuś nie mógł unieść, zastąpiły go hoże dziewczoje, które z łąk od siana powracały.

Słońce już dawno zaszło, na ciemnym szafirze nieba, miliony gwiazd się zapaliły, wielka tarcza księżycza wysunęła się powolnie z za lasu, rzucając srebrzyste, tajemnicze blaski na równinę, zroszoną niedyś krwią bohaterów kościuszkowskich.

I cicho było dokoła, zdala dolatywało tylko szczekanie psów, skrzyp zórawi przy studniach i szum odwiecznego lasu, który tajemniczo szeptał coś, — jakby pacierz wieczorny, — jakby modlitwę za zmarłych, których tyle, tyle tysięcy ta ziemia, zlane krwią i łzami wówczas utuliła!

Pani Z. w towarzystwie dziewcząt niosących zebrane płótno i gromadki wiejskich dzieci, wesoło gwarzących, wracała do domu drożyną, jakie zwykle łączą nasze wsie między sobą. Gdy cała gromadka doszła do przydrożnego krzyża, którego ramiona wyciągnięte, jakby chciały ochronić od ciosów tę nieszczęsną ziemice, Józia przyklekła i złożyła u stóp krzyża

wiązankę bławatów, za nią ukłękli wszyscy i z tych piersi gorąco kochających Ojczyznę, popłynęły w dal wieczorną, ku niebu usianemu brylantami gwiazd, słowa tej rzewnej modlitwy „Boże Ojczyznę wolność, racz nam wrócić Panie!” a na zakończenie słowa pełne skargi, łez, krwi i buntu: „Z dymem pożarów“...

.
W ten sposób śp. matka moja zebrała pomiędzy włościanami w wioskach okolicznych, paręset rubli i kilkanaście sztuk płótna, jako ofiarę ludu; — a duch wielkiego Naczelnika unoszący się ponad równiną Maciejowicką, radował się, widząc w tem zniwo kos racławickich.

III.

Pościg.

Noc długa, zimowa, rozpostarła swe skrzydła ponad równiną Maciejowicką, otuloną białym puchem śniegu, czarne fale chmur, rzucane wichrem zalewały cały horyzont.

Cisza dokoła! odbicie śniegu pozwala rozróżnić, chaty wieśniacze, zabudowania folwarczne, wielki dziedziniec, w głębi dwór (zwany „biały“ przez powstańców) okolony włoskimi topolami, których bezlistne gałęzie, sięgające zda się w chmury, wydają suchy, niemiły łopot, za każdym podmuchem szalonego wichru.

I znowu cisza!—Tylko w dali odwieczny bór sosnowy, przetkany dębina, za każdym podmuchem wiatru, odzywa się jękiem i skargą, że mu żyć kazano na tej ziemi mogił, gdzie służyć musi tylko na szubienice — trumny — i krzyże!

Był to Styczeń 1864 roku.

Mieszkańcy „Białego dworu“ znużeni całodziennem podejmowaniem u siebie oddziału żandarmów narodowych udali się tego dnia wcześniej na spoczynek.

Nagle, w tej ciszy rozlega się tętent konia, potem szybkie kroki na ganku, i gwałtowne stukanie do drzwi.

Pan Z. spać przywykły do takich niespodzianek, zerwał się z łóżka, a narzuciwszy niezbędne ubranie, wyszedł na spotkanie gościa.

— Kto tam?

— Proszę otworzyć, swój, oddział Jankowskiego będzie tedy przechodził przed świtem, proszę przygotować możliwie największą ilość prowiantów dla niego, ja jadę dalej z tem samem poleceniem.

I za chwilę koń wraz z jeźdźcem zniknęli w ciemności.

W mgnieniu oka cały dwór był na nogach, służba pod czujnem okiem pani Z., przygotowywała posiłek dla zgłodniałych gości. Wysłano chłopca, aby zbudził wieś całą, polecając wszystkim przygotować jak najwięcej chleba, kartofli, kaszy dla powstańców, którzy nadejdą.

We wszystkich okienkach zabłysły światła, w całej wsi zawrzała praca.

Przed świtem wysunęła się długa kolumna konnicy Jankowskiego, weszli do wsi, dowódca nie pozwolił zsiadać, podawano im więc na koń posiłek, chleb, mięsivo brali do tornistrów, a resztą chętnie się rozgrzewali.

Jankowski serdecznie podziękował i przeprosił państwa Z. za trudy, prosząc, aby jeśli Moskale w ślad zanim nadejdą, zatrzymać ich koniecznie do wieczora.

Wkrótce cały oddział zniknął w półmroku nadchodzącego świtu.

.....
Wicher nocny przyniósł odwilż, białe puchy śniegu zciemniały, coś jakby deszcz, jakby mgła, unosiło się w powietrzu, tworząc fantastyczne cienie.

Wstał dzień smutny, ponury, jak dola tej ziemi, której przyświecał.

Mieszkańcy Ksawerynowa, tak się nazywała ta wioska, zajęli się usunięciem wszelkich śladów pracy nocnej, przez drogę przepędzono stado bydła i owiec, dla zatarcia wejścia konnicy.

Około 10 rano, nadjechał wózkiem chłopskim jeden z oficerów Jankowskiego, był wyczerpany,jechał na kilkotygodniowy urlop do rodziny, w „Białym dworze“ miał spocząć 48 godzin.

Pani Z. posłała służącą do wsi, aby zapowiedziała wieśniakom: w razie gdyby Moskale nadeszli, że ten pan, który przyjechał, to brat pani, pan Piotr.

Z południa, z tej strony, z której nadszedł Jankowski, ukazały się piki moskiewskie, wkrótce cała wieś była nimi zalana, a do „Białego dworu“ wpakował się cały stab z pułkownikiem na czele. (Zapomniałam nazwiska).

Pułkownik zwrócił się do pana Z., z pytaniem:

— Gdzie Jankowski? On tędy w nocy przechodził?

— Nie wiem, spaliliśmy mocno, wiatr huczał, był całą noc, — nic nie słyszeliśmy.

— Nie wiecie! — no ja się tu dowiem!..

Cała horda rozlała się po pokojach. Naraz spostrzegli nieszczęsnego młodzieńca (Naturalnie w ubraniu jego zatarto ślady powstańca.)

— A! pan jesteś młody buntowszczyk?

Pani Z. widząc, że młodzieniec straciwszy głowę, zbladł jak płótno, szybko przesunęła się pomiędzy oficerami, mówiąc:

— Panowie, mój brat jest słaby, dopiero wczoraj podniósł się z ciężkiej choroby, dajcie mu pokój, patrzcie jaki blady — a zwróciwszy się do umnianego brata, wcisnęła mu w rękę butelkę z wódką i kieliszek, dodając:

— Piotrze, częstuj panów.

Pan Z. również z wielkim kielichem chodził od jednego do drugiego i nalewał im prostą wódkę, gdyż trudnoby było inaczej nasycić pragnienie blisko 40 Moskali, i na każde zapytanie: dokąd poszedł Jan-

kowski? — lub ten młody pan to buntowszczyk? — pan Z. odpowiadał, wsunięciem w rękę pytającego, kieliszka wódki.

Żołnierze, którym wytoczono kilka antałków gorzałki, rozgospodarowali się we wsi, zabierając, co się tylko dało, pomimo surowego zakazu hulania, który to zakaz oficerowie, wybiegając na ganek, ciągle powtarzali.

Kazano sprowadzić na dziedziniec ludność całej wioski, aby indagować: dokąd poszedł Jankowski i czy ten młody pan we dworze, istotnie jest bratem pani?

Moskale każde pytanie popierali biciem w twarz lub nahajką po plecach; krzyki oficerów, lament wieśniaków, płacz dzieci, napełniły powietrze.

Lecz na wszystkie pytania była jedna odpowiedź:

— Spaliśmy w nocy — o Jankowskim nic nie wiemy, — ten pan we dworze, to pan Piotr — brat pani, siedzi tu dawno, jest chory.

Wszelkie policzki, kułaki, nahajki, nic nie pomogły!

We dworze, chcąc cały pułk zatrzymać, dano oficerom bigosu, sera i chleba czarnego (cały zapas białego oddano Jankowskiemu); ten ostatni okrutnie ich rozgniewał, a na wszelkie tłumaczenia, że biały się wyczerpał, twierdzili:

— Dla buntowszczyków macie biały, a dla nas to czarny!..

Płacz i lament na dworze nie ustawał, egzekucja nahajek trwała dalej, wraz z bezwzględną grabieżą, a na wszelkie prośby i uwagi państwa Z., robione pułkownikowi, że jego żołnierze biją i rabują i kiedy on przyrzekł, po ludzku się obchodzić, pułkownik odpowiadał:

— Powiedzcie wy, lub niech oni powiedzą, dokąd poszedł Jankowski, a my stąd wyruszamy.

Trwało to do wieczora. Pułkownik dał rozkaz wymarszu, lecz cały sztab ledwo mógł się utrzymać na nogach, tak był spojony. Żołnierze zaś siadając na koń, mieli wozy, siodła i baszłyki pełne łupów.

Nakoniec ruszono. Niestety jeden z poruczników tak był pijany, że nie widział, jak jego koledzy wyszli. Gdy obejrzał się po pustych pokojach, strach wrócił mu przytomność. Przerażony, zwraca się do pana Z. mówiąc:

— Baryń, ja nie Matwiejew, jej Bohu — ja Matusiewicz, ja nie Moskal, ja Rusin, — a co będzie jak Polaki przyjdą?

— No, to pana powieszają.

— Powieszają!? — Wy nie dacie — Baryń, jej Bohu! — ja nie Matusiewicz, Rusin, ja Matuszewski Polak, jej Bohu! Polak!

I z temi słowy podszedł do pana Z, a obejmując go za szyję, zaczął całować.

Pan Z. wywinął się z tak wstrętnego uścisku, nalał kielich wódki i wsunął go w rękę opoja, to dopełniło miary, wypiwszy, runął na ziemię. Włożono go wtedy na wóz i podwieziono za oddziałem.

.
Gdy horda Mongołów zniknęła im z oczu, mieszkańcy wioski odetchnęli...

Wokoło pustka — zniszczenie!...

.
Dzielny lud spełnił swój obowiązek!

Zapewne to zboże wyrosłe na łanach zroszonych krwią bohaterów maciejowickich, wyhodowało takie plemię!

.

Wiatr ucichł — tumany mgły zmieniły się w puchy łabędzie, białe płatki z cichym szelestem sypały — sypały — napęlniając powietrze, jakby szeptem błagalnej modlitwy: za tę ziemię zdeptaną stopą najeźdźnika -- za ten lud katowany — za jednego z najdzielniejszych obrońców Ojczyzny Jankowskiego — który wkrótce miał ponieść śmierć męczeńską.

IV.

Franek.

Tuman śnieżny pokrywa całą równinę Maciejowicką, pyłki białe, gnane wichrem, wypełniają cały widnokrąg; pola i łąki pokryte białym całunem, zlewają się z kopułą niebios w jedną bezmierną, nieskończoną całość; bory otaczające równinę, majaczeją groźnie w dali czarną, zbitą masą, uchylając z lekka dumne swe korony pod naporem huraganu północy.

Mieszkańcom „Białego dworu“ zdawało się że w taką noc spoczną spokojnie. Lecz spokojne noce wykradane były w krainie, w której od miesięcy wrewała walka z odwiecznym wrogiem na śmierć i życie!

Nagle wśród świstu wichru dał się słyszeć tętent i szczęk broni pod wszystkimi oknami, a wśród przekleństw moskiewskich, dobijanie się do drzwi.

Państwo Z. przyzwyczajeni do tak miłych niespodzianek, zerwali się szybko a myśl ich lotem błyskawicy objęła położenie. — Czy wszystko ukryte? — czy niema na wierzchu broni, „papierów“, których nigdy nie brakło w „Białym dworze“? Naraz krew lodem im się ścięła — tam, w oborze, pod opieką pasterzy spoczywa ranny powstaniec — wieśniak — czy oni zdołają go ukryć?

Lecz do namysłu czasu nie było, dobijania stawały się coraz gwałtowniejsze, przekleństwa coraz dośladniejsze.

Gdy im otworzono, weszło kilku żołnierzy, uzbrojonych od stóp do głowy, z młodzikiem na czele. Był

to oddział Kubańców, którymi dowodził hr. Wahl (może to dzisiejszy wielki dygnitarz?).

Przyjechali robić rewizyę, i robili ją sumiennie, nic nie uszło ich oka, dzieci nawet wyrzucili z łóżek, aby przetrząsnąć sienniki. Przerazenie dziatwy było okropne, gdy nagle otworzywszy zaspane oczka, ujrzały nad łóżkiem draba, sięgającego prawie sufitu, obsypanego śniegiem, w wysokiej baraniej czapie, ze świecą w ręku, którą pan hrabia, wchodząc do domu, z rąk pana Z. odebrał.

Kubańcy otoczyli również zabudowania gospodarskie, stary Jędrzej, pasterz, usłyszał pierwszy niezwykły hałas, uchylił drzwi, wyjrzał, a zobaczywszy Moskali, cofnął się przerażony, zamykając starannie drzwi za sobą, zbudził swego pomocnika Franka, aby we dwóch mogli ukryć ранnego.

Błyskawicznie pojęli całą grozę położenia: są otoczeni, pomocy ze „dworu“ nie mogą się spodziewać!

W pustej na razie przegrodzie przeznaczonej dla cieląt, w której sypiał na miękkim sianie Franek, ułożyli ранnego, przywalili sianem, zostawiając otwór, aby mógł oddychać Franek owinał głowę szmatami, jakie miał pod ręką, natarł sianem policzki i położył się na sianie, tworząc puklerz dla ранnego.

Po kilku godzinach przetrząsania domu od strychu do piwnicy, Kubańcy wyszli, nie znalazłszy nic. Zaczęli robić porządek na swój sposób w zabudowaniach gospodarskich; komórki, kurniki, chlewy, wszystko splądrowali, nakoniec doszli do obory.

Drzwi zamknięte, zaczęli się dobijać, stary Jędrzej udał, że spi, w końcu niby wielce zaspany otworzył dopiero wtedy, gdy mieli drzwi wywalać. Dobitne przekleństwa sypnęły się na jego głowę wraz z nahajkami.

Horda wpadła do stajni, gdzie przy świetle latarki kłuli pikami w złoby, pod złobami, w siano założone za drabinki, słowem wszędzie, gdzie mogli pomyśleć, że coś, lub ktoś, może być ukryty, biedne krowiny przerażone tym napadem, zaczęły ryczeć, co wraz z przekleństwami najeźdźców, tworzyło wielce harmonijną muzykę. Tak doszli do zagrody, w której leżał Franek, jęcząc i gadając od rzeczy, Kubańcy stanęli nad nim, jakby zastanawiali się, co mają robić.

— Chory? — pytają Jędrzeja, (jeden z Kubańców mówił trochę po polsku).

Jędrzej im tłumaczy, że to taka zgniła gorączka, którą łatwo się zarazić a na nią rady niema, tylko się do chorego dotknąć, to jej dostanie, kto raz zachoruje, musi umierać, biedny Franek także umrze.

Kubańcy stoją, jakby zalekli, lecz po chwili nabierają fantazyi i zaczynają kłuć pikami siano w zagrodzie, unikając starannie dotknięcia Franka, który jęczy okropnie i bredzi w najlepsze.

.
Świt szary, zimowy zagłada w okna „Białego dworu“, oświecając pobożowisko opuszczone przez Mongołów. Z szaf, z komód powyrzucane rzeczy i bielezna, z łózek pościel, dzieci blade, przerażone siedzą cichutko w kąciuku. Państwo Z. znużeni zdenerwowani, lecz w oku ich radość. Biedny ranny powstaniec ocalał. Franek był dla niego tarczą!

Wicher szaleje, unosząc płatki, puszki, gwiazdki i igielki śnieżne, ugina wierzchołki smukłych niebotycznych topoli, otaczających „Biały dwór“ wpada do sadu z taką siłą, jakby chciał wyrwać z korzeniem grusze, jabłonie lub śliwy i leci dalej, hen równiną, niosąc białą, śnieżną kolumnę, która rozpryskuje się, uderzywszy o ścianę czarnego boru.

Bór zaś w złowrogim szumie śle klątwę na głowy Kubańców, pędzących w tumanie śnieżnym; pyta ich groźnie: jak śmiać deptać ziemię przesiąkniętą krwią bohaterów kościuszkowskich, jak śmiać zakłócać spokój tym, którzy pragną tylko oddychać powietrzem swej Ojczyzny wolnej i swobodnej.

A krzyż dębowy z męką pańską na wzgórgu za wsią, wyciąga błagalne ramiona ku Panu nad Pany, aby dodał sił i męstwa dzieciom tej nieszczęsnej krajiny; aby one wszystkie i te z pałaców, przez których palce złoto się przesiewa — i te z pod słomianej strzechy, których ręce namulone pracą nad ziemią-matką i te, którym głód i zimno doskwiera na poddaszu i te, którym w suterrenach brak słonka Bożego, aby one wszystkie od najbogatszych, do najbiedniejszych spełniały swój obowiązek względem Ojczyzny! — jak ten Franek, wychodowany technieniem sławy Kościuszkowskiej, która bije od tych pól, od tych łąk, której dzieje gwarzą wiekowe sosny i dęby w starych borach, słowiki tęskną melodyą o nią potrącają, skowronki do stóp Pana ją niosą, a lud okoliczny na wieczornicach cicho o niej gwarzy....

.

V.

Wielka-Noc.

Na zawrotnej wyżynie szafiru niebios srebrne oczka gwiazd powolnie mrużyły powieki, od wschodu ukazują się seledynowe smugi, noc prawie, a jednak coś drży w powietrzu, coś, co zapowiada tryumf światła nad ciemnością, życia nad śmiercią.

Polana niewielka otoczona wieńcem borów, w dali wioseczka, Samogoszcz, a wśród niej kościółek, z którego okien i drzwi otwartych na oścież, buchają snopy światła gorejących. Po polanie płyną srebrne dźwięki sygnaturki, które budzą dziwne, cudne echa w czarnych, wielkich borach.

Świątynia Pańska z modrzewiu, poczerniałego wiekami, maleńka, pomieścić nie może wiernych, niosących swe bóle i męki do stóp czarnego krzyża, który błagalne ramiona wyciąga ponad ich głowy u stropu wielkiego ołtarza.

Kapłan, siwowłosy staruszek, (kanonik Wojno) w złocistych pontyfikalnych szatach, zanosi modły do Pana nad Pany, aby dziś w Noc-Wielką, w dzień Zmartwychwstania Pańskiego, Wszechmocny dał zmartwychwstanie ukochanej Ojczyźnie.

I magiczne, drżące słowa staruszka kapłana płyną po świątyni:

„Alleluja!.. Chrystus zmartwychwstał!.. Alleluja!..

Wtem szmer powstaje w drzwiach głównych, zbита fala ludu rozsuwa się na dwie strony z czcią prawie, robiąc miejsce nowo przybyłym.

Ich świtki szare, zielono szamerowane, kołnierze czarne, barankowe i także wyłogi u rękawów, niewiele odbijają od szarych siermiąg wieśniaczych a jednak jest coś, co ich wyróżnia, prócz pełnego uzbrojenia i czerwonych krakusek z orzełkiem i trójbarwną kokardą, od tego szarego tłumu, coś, co otacza ich skronie aurełą męczeńską, bo każdy z nich, jako z gwardyi narodowej, ma z góry wyrok śmierci podpisany u wroga.

Święta ofiara ma się ku końcowi, złote promienie słońca zalewają świątynię, siwowłose kapłan otulony mgłą jedwabi, unosi w górę hostyę promienistą błogosławiąc wiernych, a szczególnie tę garstkę bohaterów, na którą z rozrzewnieniem przez łzy spogląda.

Dym kadzideł napęlnia świątynię, o wiekowe ściany z modrzewiu uderza pieśń wielka, potężna jak huragan:

„Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny
Zmknij się nad nami!...“

— — — — —
Pieśń prosi, błaga, zamienia się w łkanie ze słowy:

....od wojny i niewoli
Zachowaj nas Panie!“

— — — — —
Cmentarz okalający świątynię Pańską, napęlniony pobożnymi, garstka bohaterów na skinienie dowódcy, siada na koń, staruszek kanonik zaprasza ich w progi plebanii, choć na święcone jajko.

— Nie mogę, nie mogę — broni się dowódca —
wyższy rozkaz powołuje nas gdzieindziej, nie mam chwili do stracenia.

— Ojcie rzekł w końcu, pochylając głowę —
błogosław nas na drogę życia i śmierci—kto wie, to
może nasza ostatnia Wielkanoc.

Łzy zabłyśły w oczach staruszka kapłana a drżąca
dłoń jego uniosła się nad pochylonemi głowy bo-
haterów.

Wieśniacy łkali, starsi błogosławili ich znakiem
krzyża.

Wkrótce bohatera drużyna zniknęła w wieko-
wym borze, którego odradzające się gałązki wtórując
chórowi ptasząt, szemrały:

„Alleluja... Alleluja!...”

Od tego dnia upłynęło lat czterdzieści cztery!...

Jakże wielkie zmiany tam zaszły!—Wiem, że wie-
kowy kościółek z modrzewiu ustąpił miejsca wspa-
niałej murowanej świątyni, że czarny krzyż, który
błogosławił całym pokoleniom, zaginął gdzieś w po-
mroce zapomnienia. Zapewne i stuletnie lipy, otacza-
jące kościółek, uległy temuż losowi. Kto wie, co się
stało z owymi borami, pokrywającymi w znacznej
części równinę Maciejowicką?—Z borami, wśród cieniu
których, przesuwwały się liczne pokolenia?!...

A kto się wśród nich wychował, kto ich odżyw-
czem powietrzem oddychał, kto wsłuchiwał się w ich
szmery i szepty, jakie z sobą prowadzą, kto całą swą
istotą wchłaniał ich huk i grzmoty, płacze, zale i łka-
nia podczas burzy, ten nie zapomni ich nigdy. I nagle
—niespodzianie—zaleci go woń balsamiczna tych ła-
sów, gdy w zadumie mija duszne, wielkomiejskie uli-
ce, lub siedzi pogrążony pracą w ciszy swego poko-
ju. Usłyszy ich rozhovor w szumie płynącej z gór
rzeki, lub w odměcie i łkaniu fal morskich. Świst
wichru łamiącego się w wąwozach niebotycznego, ska-

listego Bałkanu i ten mu przypomni skargi i modły ojczystych borów, za tę ziemię przepojoną krwią, na której rosną, za jej dzieci zozproszone po obcych ziemiach.

— — — — —

Czterdzieści cztery lat upłynęło nad naszą krainą... To wielki szmat czasu... Dwa nowe pokolenia wyrosły... prawie wszystko dokoła się zmieniło... Pozostał jednak wróg, depcący naszą matkę-Ojczyznę.

Prawda, nowe warstwy ludu budzą się do życia, ale choć to inny rodzaj walki, dziś tak, jak przed czterdziestu czterema laty, dźwiękom Zygmunutowego dzwonu, głoszącego całej Polsce Zmartwychwstanie Pańskie, towarzyszy świst kul karabinowych, skrzyp szubienic, na których zawisają wciąż nowe ofiary, morze krwi na ulicach Warszawy, płacz pozostałych sierot, szczęk kajdan i jęk konających w lochach cytadel, a nurty Wisły, tak jak przed laty, chłoną w siebie setki ofiar katów naszych!

Kiedyż! kiedyż, o Panie, nadejdzie dzień Zmartwychwstania dla całej Polski?—kiedyż ten dzwon Zygmuntowy obwieści Polsce Bolesławów, Polsce Jagiellonów wolność i swobodę? Kiedyż jego spżowe dźwięki popłyną nad całą, wolną i niepodległą krainą, a tej melodyi towarzyszyć będzie szelest trójbarnych sztandarów!?

Kiedyż, o Panie! nastanie dla nas taka Noc — Wielka?! — — — — —

— — — — —

Spis rzeczy.

Część I.

Ze wspomnień powstańca.

	Stron.
Przedmowa.	
I. Przeczucie	9
II. Pod Cieplinami	17
III. Nemezis	27
IV. Macieju zawracaj!	35
V. „Do Rządu narodowego“	39
VI. Czengery	47
VII. Łzawe wesele	77
VIII. Chmieliński	85
IX. Pomyłka	101
X. Narzeczona	107
XI. Sąd wojenny	113
XII. Renegat zbawcą	119
XIII. Odwrót.	129
XIV. „Pod telegrafem“	139
XV. „Pan Kopciuszko“	149

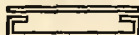
Część II.

Wspomnienia dziecka.

I. Mogiła maciejowiecka	155
II. Kwesta	161
III. Pościg	165
IV. Franek	171
V. Wielka-Noc	175

OMYŁKI DRUKU.

Strona	Wiersz od góry	zamiast	winno być
3	5	przeszłości	przeszłości
4	5	wodą	fałą
10	9	nađchodzącymi	nađchodzącymi
19	27	blisko	blizko
22	27	były	były
30	22	nieskończyła się	nie skończyła się
39	9	Iglawa	Iglawa
39	17	Iglawa	Iglawa
51	26	mia ta	miasta
69	24	Pozwalono	Pozwalano
77	22	j k	jak
80	27	ziębione	ođziębione
82	7	współuczucia	współuczucia
87	17—18	zakonkluował	zakonkludował
101	14	ka iarnie	kawiarnie
102	11	imienn	imienin
102	12	zakonkluował	zakonkludował
102	34	wielkiej idej“	„wielkiej idei“
107	9	korzyć	korzyć
107	24	ođziałku	ođdziałku
122	1	wyżsi	wyżsi
135	21	znalazł	znalazły
141	5	złożonym	złożonem
142	17	znaleść	znaleźć
158	5	sztan ary	sztandary
158	31	i kiedy	kiedy
172	17	pojeli	objeli



DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

Niektóre wydawnictwa księgarni

FELIKSA WESTA W BRODACH

OSKAR WILDE.

WACHLARZ LADY WINDERMERE

dramat dobrej kobiety — tłumaczenie T. T.

Sztuka ta graną będzie obecnie na scenach polskich.
Z powodu swej oryginalności cieszy się wielkiem powodzeniem.

K. 1-20

OSKAR WILDE.

OBRAZ DORYANA GRAY'A

W przekładzie Maryi Feldmanowej.

Jest to jedna z najlepszych powieści Wildego ze względu na swoją oryginalność.

Tłumaczona na wszystkie języki cieszy się ogromnem powodzeniem.

Tłumaczenie w języku polskim, wyszło przed kilku miesiącami — a że cieszy się i u nas powodzeniem, to najlepszy dowód, że znaczny nakład jest na wyczerpaniu.

K. 3.—

GERHARDT HAUPTMANN.

„A PIPPA TAŃCZY“

Baśń huty szklanej w czterech akt. — Przełożył A. Schröder.

Utwór ten o głębokiej treści filozoficznej jest zarazem owiany czarem prawdziwej poezyi.

Na scenach niemieckich grano „Pippę“ z olbrzymiem powodzeniem.

K. 1-50

ZANGWILL I.
MARZYCIELE GHETTA

i INNE NOWELE.

Przekład z angielskiego M. Kreczowskiej, z przedmową
W. Feldmana. Kartę tytuł. zdobił Wachtel.

Zangwill jest jedną z najciekawszych postaci współczesnej literatury angielskiej, wstawiony kilkoma powieściami z życia angielskiego, unieśmiertelnił się jednak swymi utworami z życia Żydów. Książka nadzwyczaj zajmująca. **K. 3.—**

FRYDERYK HEBBEL.

MARYA MAGDALENA.

Dramat w trzech aktach. — Tłumaczył Józef Mirski.

Dramat ten należy do najwcześniejszych płodów znakomitego dramaturga niemieckiego Hebbela — ale ze względu na potężną, pełną życia akcję, dosadny dialog i wyraziście zarysowaną ideę tragiczną, może być zaliczony do najwybitniejszych jego arcydzieł. **K. 1.—**

M. KOCIUBYŃSKI.

W PĘTACH SZATANA

NOWELE.

Tłumaczone przez B. Łepkiego.

Zewnętrzny wygląd książki bardzo ponętny, okładka ozdobiona pięknym stylowym ornamentem.

Przekład gładki — wybór bardzo piękny.

Ogólne wrażenie książki jest tego rodzaju, że powinno zapewnić jaknajsympatyczniejsze przyjęcie wśród czytelników. Przy czytaniu unieśmiertnia się, że autorem jest jakiś nowy Gorkij lub Andrejew. **K. 2-40**

TOMASZ MANN.

FIORENZA.

W tłumaczeniu Dr. Maryana Henzla.

Ostatni utwór Manna jest nowym o przejrzystej wodzie a kunsztownym oszlifowaniu kamieniem drogocennym w szeregu arcydzieł, które nam już stworzył jego niezmiernie subtelny, dziwnie dyskretny i jakby bojący się głośniejszych objawów — ale tem właśnie głębszy artyzm. **K. 1-50**

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000767485



II 71776